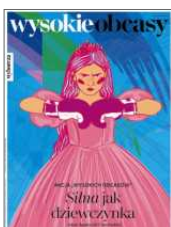


Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- To nie wstyd czytać romans o Auschwitz
- Oscary: nie wiemy, kto wygra, ale wiemy, kto powinien
- Młodzi Amerykanie: ani Trump, ani Biden
- Niemcy szykują się na AI



WYSOKIE
OBCASY
Silna jak dziewczynka
dołączajcie do akcji



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

WOJCIECH
KWAŚNIAK
**Zaatakowali mnie
bandyci i organy państwa**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Najsłynniejszy
numer w PRL**
Masz problem z władzą?
Dzwoń do Kuronia



Prawie noblista
Profesor Hirsztfeld,
pogromca
epidemii

**Wyrok na Rosję
już zapadł**
Chiny upomną się
o ziemię

Agnieszka
Kublik



Podstuch rodzaju męskiego

Za chwilę każdy, kto się przewinął przez politykę, będzie musiał oglądać się za siebie. A własny telefon potraktować jak osobistego szpicla. Każdy – bo również podsłuchujący powinni sprawdzić, czy sami nie byli podsłuchiwani.

Sprzątanie po ekipie Kaczyńskiego, Morawieckiego, Ziobry, Kamińskiego czy Wąsika, to jak lektura kryminału. Dziejącego się na żywo. Przyjemność bez precedensu. Ale i szok, że ta inwigilacja toczyła się na tak ogromną skalę.

Premier Tusk ujawnił we wtorek, że Daniel Obajtek podpisał zlecenie dla detektywa. Miał on „identyfikować i udokumentować działania nieuczciwej konkurencji wobec PKN Orlen, w tym identyfikować źródła ujawniania informacji dotyczących funkcjonowania koncernu”. Działal od stycznia 2019 do 2023 r.

„Nieuczciwą konkurencją” byli przeciwnicy partyjnych mododawców Obajtka, bo detektyw – zapewne opłacany przez Orlen – miał głównie śledzić posłów ówczesnej opozycji, Marcina Kierwińskiego, Jana Grabca, Andrzeja Halickiego.

Niedawno dowiedzieliśmy się, że podsłuchujący też był podsłuchiwany. Operacja „Vampiryna” była udana. Funkcjonariusze CBA na podstawie nagranych rozmów Obajtka i jego bliskiego współpracownika Adama Buraka zebrali dowody na

co najmniej dwa śledztwa. Obajtkowi włos z głowy nie spadł, bo był pomazańcem Kaczyńskiego.

Ciekawe, czy CBA odkryło detektywa Obajtka? A detektyw agentów CBA?

Pegasus – cyberbroń przeciwko terrorystom – u nas była wymierzona w opozycję. Zgodę na zakup tego systemu podpisali minister sprawiedliwości, prokurator generalny Ziobro i jego zastępca Michał Woś. CBA dostało 25 mln zł na Pegasus z Funduszu Sprawiedliwości. To Woś odpowiadał za ten Fundusz, który miał pomagać ofiarom przestępstw.

Niedawno „Wyborcza” ujawniła, że prokuratura krajowa kupiła szpiegowskiego Hermesa. Wydała 15 mln zł. Prokuratorem Krajowym był wtedy Bogdan Święczkowski, jeden z najbliższych współpracowników Ziobry, dziś w trybunale Przylebskiej.

Przed rokiem ujawniliśmy że w hotelach zarządzanych przez Polski Holding Hotelowy specusługi inwigilują gości. Ta państwowa spółka zarządza takimi hotelami, jak Marriott International, Hilton International czy Best Western Hotels & Resorts. Troprowadzą do PiS, bowiem prezes PHH Gheorghe Marian Cristescu przyjaźni się z Joachinem Brudzińskim, a ten z Kaczyńskim. W holelu PHH byli inwigilowani działacze ówczesnej opozycji, gdy spotkali się z przywódczynią demokratycznej, antylukaszenkowej Białorusi, Swiatłaną Cichanouską.

Czy zauważyliście, że za tymi wszystkimi szpiegowskimi metodami stoją... mężczyźni. Dostrzegam to nie tylko dlatego, że 8 marca wypada Dzień Kobiet. Takie są fakty – to inwigilujące państwo zafundowali nam mężczyźni. ●

Andrzej rysuje



Pekin Służące ludu



FOT:REUTERS/FLORENCE LO

Poniedziałek, 4 marca, ostatnie przygotowania do Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych i Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin. Coroczne spotkanie parlamentu teoretycznie ustala cele chińskiej polityki, w praktyce oklaskuje przemówienia przewodniczącego partii i premiera. Ale obrady nie są bez znaczenia – między wierszami mówcy zaszywają komunikaty o prawdziwych zamiarach Pekinu.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba dnia

4

RAZY
częściej niż inni powtarzają rok studenci z ADHD czy w spektrum autyzmu wg. raportu „Neuroróżnorodność na polskich uczelniach”.
Więcej ► Wyborcza.pl



Wysokie poziomy niedożywienia, dzieci umierające z zagłodzenia, poważne braki paliwa i środków medycznych. Brak prądu stanowi poważne zagrożenie na neonatologii

TEDROS ADHANOM GHEBREYESUS,
szef WHO, po wizycie w Gazie. Wpuszczono go do Strefy pierwszy raz od początku izraelskiej interwencji

WWW.NEKTROLOGI.WYBORCZA.PL/34300845

Pamięci naszej Córeczki

Paulinki Zysk

która jutro obchodziłaby 22. urodziny...

Córeńko,
Już po raz jedenasty, zamiast patrzeć jak dmuchasz świeczki na torcie, pójdziemy zapalić Ci znicze.

Wszystkiego najlepszego Tam, jeśli jakieś Tam w ogóle istnieje.

Kochamy Cię najbardziej na świecie Myszeńko nasza jedyna...

mama i tata



Paulinka zginęła 9 marca 2013 roku w wypadku, gdy jechała ze swoim zespołem Jazz One Junior EDS na turniej tańca spełniać swoje marzenia...

Naszych podopiecznych nie trzeba oswajać ze śmiercią, tylko z ludźmi

To już 13 rok naszej działalności z osobami przewlekle i nieuleczalnie chorymi. Prowadzimy hospicjum domowe oraz stacjonarne na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, świadcząc bezpłatną pomoc najbardziej potrzebującym u kresu życia. Na przestrzeni lat coraz częściej spotykamy się z nadużyciami wobec starszych, schorowanych pacjentów. Nie godzimy się na to! Chcemy zadbać o ich ostatnie chwile!

Trudne pierwsze spotkania

Pan Stanisław, trafił do naszego hospicjum kilka miesięcy temu. Pierwsze spotkanie było trudne. Zmęczony chorobą, otumaniony lekami, ledwo mógł usiąść, ale nie to było najgorsze. Z daleka można było wyczuć przygnębienie, rozżalenie, niechęć do ludzi, depresję w najgorszej z możliwych postaci. Ten smutek był tak dojmujący, że udzielał się nam wszystkim. Wiedzieliśmy, że miał złe doświadczenia z poprzednią placówką – wzdygał się na każdy nasz dotyk. – Natychmiast uczuliłem swój personel, że z tym pacjentem będziemy postępować „powoli”. Nie narzucając się zbyt, robiąc swoje, ale stojąc jakby trochę z boku. Będziemy tłumaczyć Panu Stanisławowi każdą rzecz, którą będziemy przy nim robić – zaczynając od badań, a skończywszy na czynnościach higienicznych czy karmieniu. Wiedziałem, że musimy dać mu dużo czasu, żeby oswoił się z nami, żeby uwierzył, że może być inaczej niż dotychczas, lepiej. – mówi dr Paweł Grabowski założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza.

Przywracać godność

Powoli, ze spokojem i właściwą empatią udało nam się zmienić nastawienie Pana Stanisława, dzięki czemu również jego organizm zaczął nabierać sił. W oczach pojawił się blask, narodziła się przyjaźń z Panem Tomaszem z łóżka obok. Teraz we dwóch na wózkach przemierzają korytarze hospicjum i wyjeżdżają na dwór. – Ostatnio widziałem jak siedzą przed drzwiami z dziewczynami z biura i śmieją się, że nie mają opon zimowych na kołach swoich wózków. – wspomina Doktor Paweł. Empatia, godność, poczucie zaopiekowania i taka zwykła życzliwość ludzka są czymś niezwykle ważnym na ostatnim etapie życia.

Oswajać nie ze śmiercią, a z ludźmi

Pana Stanisława nie trzeba było oswajać ze śmiercią, a z ludźmi. Wie, że umrze, że ten dzień nadejdzie niebawem. Najważniejsze dla niego, zresztą jak i dla wielu naszych podopiecznych jest szacunek i empatia. Zaopiekowanie i godność, których zabrakło na etapie choroby oraz późniejszym pobycie w szpitalu.

– Wielu naszych podopiecznych doświadcza dramatycznych sytuacji w szpitalach, innych ośrodkach całodobowego pobytu, a nawet w domach. Widzimy to w ich oczach czy nastawieniu,



z czasem zaczynają również mówić. Uważam, że najważniejsze co powinniśmy, a nawet musimy zapewnić to właśnie godne umieranie. Aby te ostatnie chwile były możliwie jak najlepsze, uwzględniały potrzeby i stan pacjenta. – mówi doktor Paweł Grabowski.

Czy to wstyd „oddać” osobę nieuleczalnie chorą do hospicjum?

Nie ma mowy o żadnym oddawaniu to jest powierzenie podopiecznego opiece hospicjum. TO NIE WSTYD! Nie każdy jest w stanie poradzić sobie z całodobową opieką, zwłaszcza medyczną. Nie każdy ma możliwość zapewnienia dobrych warunków w domu. Niejednokrotnie sami podopieczni nie chcą być ciężarem dla nikogo z domowników – to wpędza ich w poczucie winy, zależności, wstydu, a to z kolei powoduje pogorszenie stanu psychicznego chorego. Poczucie winy pacjenta oraz irracjonalne poczucie wstydu rodziny, że nie podołali opiece – to wszystko powoduje wiele frustracji w relacjach rodzinnych.

Hospicjum to dalej życie!

– Celebруем życie dopóki się da. Obchodzimy święta Bożego Narodzenia zasiadając przy wspólnym stole, dzieląc się opłatkiem lub prosforą. Są prezenty i wspólne śpiewanie kolęd. Obchodzimy urodziny z naszymi pacjentami. Przed nami Wielkanoc, na stole nie zabranie święconych jajek i drobnych upominków. – mówi dr Paweł Grabowski Naszą rolą jest służyć. Sprawić, aby te ostatnie chwile, dni, miesiące, lata były naprawdę dobrym umieraniem, bez bólu, w poczuciu godności i miłości, na jaką zasługują. Nasz praca nie kończy się tylko na uśmierzaniu bólu i fachowej opiece medycznej. Dajemy bliskość, cierpliwość, rozmowę – to czego najbardziej potrzeba na ostatnim etapie życia.

Hospicjum na wsi

Mieszkańcy wsi mają średnio 2-2,5 razy gorszy dostęp do opieki zdrowotnej niż mieszkańcy miast. Jeszcze kilkanaście lat temu gospodarze mieli po 60 lat. Radzili sobie i byli dumni z dzieci, które wykształcili i które mieszkają i pracują w dużych miastach. Teraz mają 80+, często są już sami i ciężko

chorzy. Wieś się wyludnia, starzejące się społeczeństwo, brak sklepów, aptek, komunikacji oraz ograniczony dostęp do opieki medycznej sprawia, że nasi podopieczni pozostawieni są sami sobie. Od ponad 12 lat prowadzimy hospicjum domowe na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, a w lipcu 2022 roku otworzyliśmy wiejskie hospicjum w Makówce (gmina Narew).

Jak to robimy?

Objęliśmy bezpłatną opieką hospicyjną ponad 750 osób nieuleczalnie chorych w ich domach. Odwiedzamy naszych podopiecznych, wykonujemy podstawowe badania, zabiegi rehabilitacyjne i medyczne. Dostarczamy leki, sprzęt rehabilitacyjny i środki higieniczne. Służymy im wsparciem psychologicznym i towarzyszymy im do ostatnich chwil. Miesięcznie personel nasz pokonuje około 9 tys. km, aby dotrzeć do wszystkich potrzebujących. Pobyt w hospicjum stacjonarnym również jest całkowicie bezpłatny dla podopiecznego. Może się wydawać, że skoro budynek stanął, to już po problemie – dalej pobyt pacjenta finansuje system opieki zdrowotnej. Niestety tak różowo nie jest: hospicjum dysponuje 28 łózkami, ale kontrakt z NFZ zabezpiecza finansowo tylko część kosztów. Rachunki za media, transport, nawet leki są poza tym wsparciem. – Dlatego, żeby zapewnić taką pomoc, na którą zasługuje każdy chory, w dodatku przez lata płacący składki na opiekę zdrowotną, potrzebujemy więcej – nie ukrywa dr Paweł.

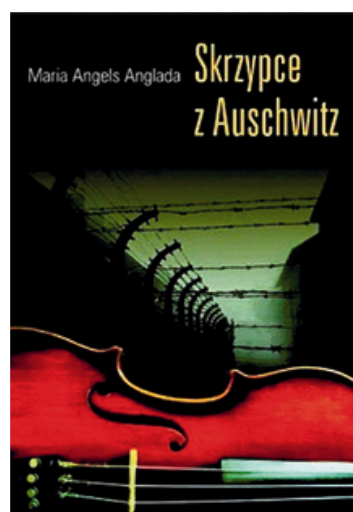
1.5% z miłości ostatnich chwil

To właśnie dzięki darczyńcom możemy pełnić swoją posługę i zadbać o ostatnie chwile naszych podopiecznych. Dzięki wpłatom płynącym prosto z serca możemy działać, pomagając nie tylko podopiecznym, ale też rodzinom w tym trudnych czasie. Dlatego prosimy pamiętać o nas przy przekazywaniu 1.5% swojego podatku z miłości do ostatnich chwil. Ostatnie chwile naszych podopiecznych są tak samo ważne jak każde inne. Pomóż nam o nie zadbać!

KRS 0000 328837
www.hospicjumeliasz.pl/1procent/
nrkonta: 811050 1953 1000 0090 3150 6141



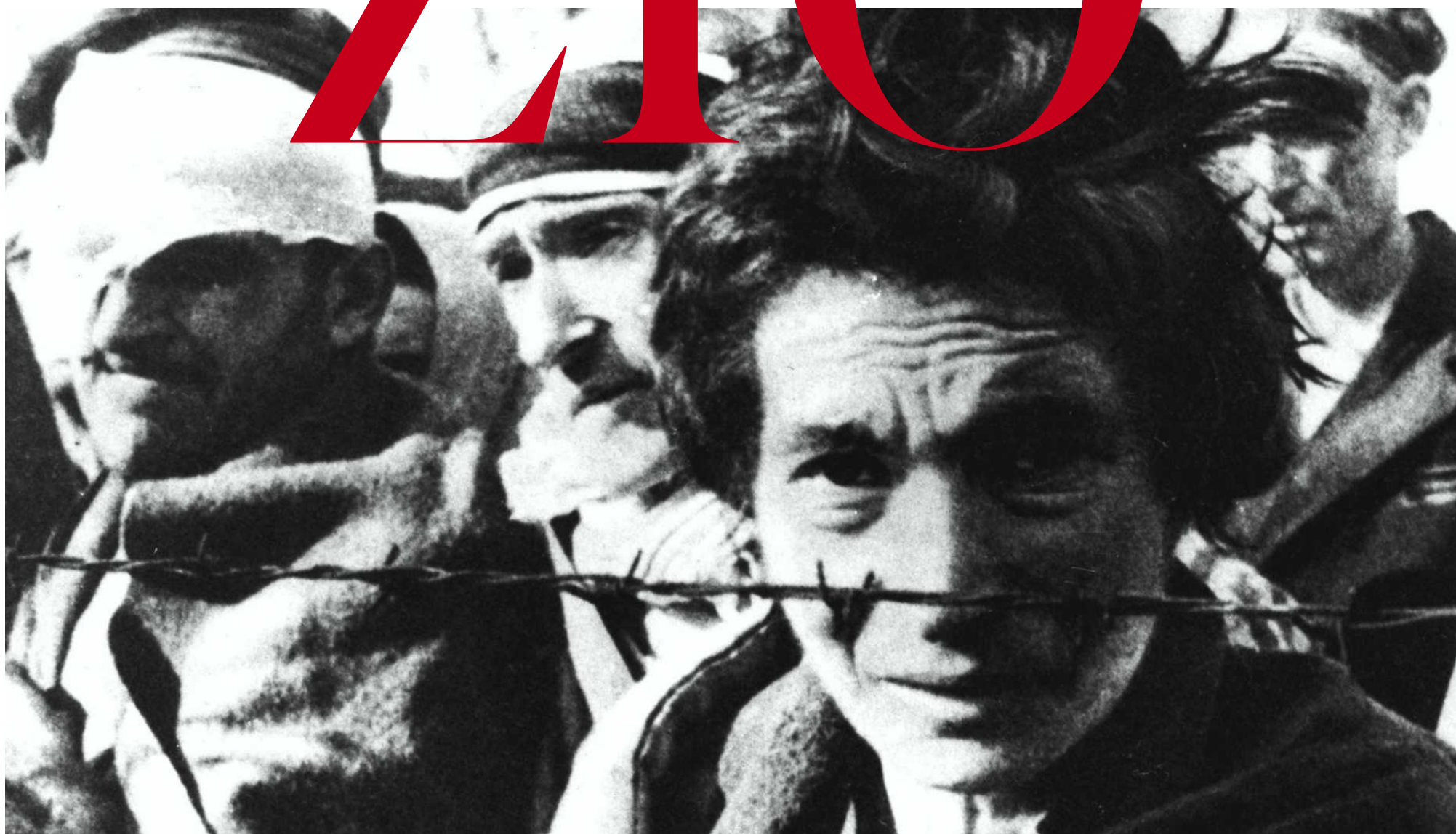
„Tatuażysta z Auschwitz”, powieści Maxa Czornyja czy Niny Majewskiej-Brown i inne książki z paskami na okładce to zjawisko podobne do disco polo.



PLUSZOWE

ZŁO

Z JANEM BOROWICZEM,
KULTUROZNAWCĄ
I PSYCHOTERAPEUTĄ,
CZŁONKIEM ZESPOŁU
BADAŃ PAMIĘCI
O ZAGŁADZIE
INSTYTUTU KULTURY
POLSKIEJ NA UW
ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT



WOJCIECH SZOT: Trudno już zliczyć powieści rozgrywające się w obozach koncentracyjnych i obozach zagłady. Wam się udało?

JAN BOROWICZ: – Jak policzyliśmy, ukazało się już ponad 50 książek, które nazwaliśmy bestsellera-mi „w paski” ze względu na ich łatwo rozpoznawalną okładkę. Najczęściej w tytule mają frazę „z Auschwitz” – jak „Skrzypce z Auschwitz”, „Anioł życia z Auschwitz”, „Sadystka z Auschwitz”, „Lekarz z Auschwitz” itd.

Po co je czytać?

– Książki Maxa Czornyja czy Niny Majewskiej-Brown są niezwykle interesujące jako zjawisko społeczne i kulturowe. Zwłaszcza że ukazują się w kraju, w którym ciągle się narzeka, że ludzie nie czytają. Okazuje się, że istnieje obieg czytelniczy, który dostrzegamy dopiero wtedy, gdy dojdzie do skandalu czy przekroczenia.

Ten skandal to oczywiście zdjęcie Czornyja upo-zowanego na zbrodniarza wojennego Amona Götha, który jest narratorem jednej z jego po-wieści. Ale zanim o Czornyju – czy coś ten obieg czytelniczy wyróżnia?

– To, że jest to obieg wyraźnie połączony z kwestią klasy, środowiska. To zjawisko podobne do disco polo – pogardzane przez pewną klasę, a jednocześnie tak masowe, że trudno udawać, że go nie ma.

O czym są te książki?

– O wielu rzeczach. Życiu, historii, traumatycznych czy bolesnych w niej momentach. To już chyba dużo.

Coś cię w niej zaskoczyło?

– Fakt, że ją się rzeczywiście dobrze wchłania. Przynajmniej na początku. Po kilku tytułach miałem dość. Zaskoczyło mnie również to, że jednak wzrusza. Nawet jak się nie chce, jak się wie, że to wszystko jest nastawione na to, by wycisnąć z nas łzę, to trudno uniknąć wzruszenia.

To chyba główny cel takiej literatury?

– Książki takie jak „Tatuażysta z Auschwitz” nowo-zelandzkiej autorki Heather Morris mają za zadanie dotknąć w nas bolesnego miejsca, ale tak, by nie bolało za bardzo. Wzruszenie pozwala nam na zektnięcie się z opisem traumatycznego doświadczenia, ale trzeba pamiętać, że jest ono w nich podawane w homeopatycznych dawkach. Ten lekki ból ma być tylko chwilowy. Człowiek, który przeczytał tzw. książkę z Auschwitz w tytule, po jej odłożeniu ma czuć spokój.

Wydaje mi się, że to może być użyteczne społecznie. Mamy kilka pokoleń ludzi przekazu-jących sobie wojenną traumę i może te teksty pomagają ich czytelnikom jakoś z tą traumą się skomunikować?

– Nie sądzę. One nie przekraczają żadnych granic. Nawet jeżeli są to, zapowiadane niezwykle krwa-wo, książki Maxa Czornyja, w których czytelnik ma się pławić w nazistowskich okrucieństwach, to i tak w finale będzie czuł się bezpiecznie. Opowieści o zbrodniarzach nazistowskich pisane są tak, byśmy przez cały czas pamiętali, że oni nie mają z nami nic wspólnego.

Zbrodniarze są dehumanizowani, pokazywa-ni jako wyjątkowi zwyrodnialcy, a nas te powieści ustawiają w pozycji sędziego. Sędziego – oczywiście – sprawiedliwego. Trudno sobie wyobrazić, że coś nas z tymi ludźmi łączy. Kwestie ideologiczne, społeczne nie odgrywają w tych książkach więk-szej roli. Dzięki temu czytelnik nie zderza się z py-taniem o to, czym jest faszyzm, dlaczego doszło do ludobójstwa, czym jest wojna.

Kiedy pisałem w „Wyborczej” o książkach z „Auschwitz” w tytule, wydawało mi się, że choć to proza naiwna, kiczowata, to jednak zawsze to jakaś nauka historii dla tych, którzy nie sięgną po opracowania historyczek i histo-ryków. Taka popkulturowa lekcja historii. Co sądzisz o takim stanowisku?

– To jest bardziej symptom historii niż lekcja histo-rii. One odwołują się do rzeczy, które każdy czytelnik zna, nie ma w nich niczego nowego. Gdyby przeana-lizować wszystkie powieści tego rodzaju, to pewnie okazałoby się, że odwołują się do niewielkiego, zamkniętego katalogu wydarzeń i wyobrażeń. W przy-padku powieści Niny Majewskiej-Brown, które ana-lizuje w „Tekstach Drugich” Justyna Kowalska-Le-der, okazuje się, że one też wymijają się z historią.

Dla Majewskiej-Brown najważniejsze jest poka-zanie, że polskie kobiety były dzielne, najważniej-

sze było dla nich macierzyństwo, a miłość zawsze zwycięża. Ktoś, kto przeczyta taką powieść, bę-dzie wiedział o świecie to samo, co wiedział przed jej lekturą. Wciąż będzie w dobrym nastroju. Po-wieść popularna ma mieć fabułę, za którą łatwo podążyć. Jej czytelnik nie powinien być wytrąca-ny z lektury myślami podającymi w wątpliwość je-go przekonania.

Częstym zarzutem wobec popularnych po-wieści „obozowych” jest zarzut o polonizację i chrystianizację Zagłady.

– Te wątki się oczywiście pojawiają, ale faktycznie trzeba podkreślić, że polskie powieści wojenne i obo-zowe – w przeciwieństwie do tych powstających na „Zachodzie” – są niemal pozbawione opisów żydow-skiego doświadczenia, nie są o Holocauście. W nich często nawet nie ma Żydów, a tematem jest polskie doświadczenie wojenne i obozowe. Nawet gdy bo-hater jest Żydem, to jego doświadczenie jest zadzi-wiająco „polskie”.

Czasem dzieje się to w karkołomny sposób – bo-haterka jest Żydówką, ale fakt ten właściwie nie ma żadnego znaczenia dla jej doświadczeń, prze-żyć. Żydzi pojawiają się w tle, na drugim planie. Wszystko po to, by nie zadawać pytań o trudne re-lacje polsko-żydowskie. Przecież – powtórzę – cho-dzi o to, żeby było miło.

O wszystkim dzisiaj decyduje marketing.
Powieść Martina Amisa „Strefa interesów”,
wybitne dzieło literackie, też zostało wydane
z paskami na okładce.

Czyli badania Jana T. Grossa, Ireny Grudziń-skiej-Gross czy Jana Grabowskiego, książki Anny Bikont i wielu innych osób nie mają na autorów tej literatury żadnego wpływu?

– Niemal. Justyna Kowalska-Leder nazywa to „urlo-pem wytchnieniowym” – czytelnik ma pewną świa-domość, że istnieją jakieś dyskusje, problemy, ale chce od nich odpocząć, odseparować się. Dlatego powieści „w paski” skupiają się na pojedynczej his-torii, na doświadczeniu „zwykłego” człowieka. To ułatwia ominięcie dyskusji.

Bohaterowie lub bohaterki tych powieści omal nie zostali zmiażdżeni przez historię, ale wycho-dzą zwycięsko ze wszystkich tarapatów. Do te-go etycznie czyści. W tej literaturze bohater, choć przeżył piekło, to – w wersji minimum – pod ko-niec jest takim samym człowiekiem jak na począt-ku powieści. W wersji maksimum – wychodzi z ta-rapatów wzmocniony, silniejszy.

Nina Majewska-Brown sięga po melodramat, czyli gatunek, w którym w codzienne, przyziemne życie wpuszczone jest coś wyjątkowego – magia, która sprawia, że zwykła miłość przestaje być zwy-klą. W melodramacie miłość do dziecka pomaga przekroczyć wszystkie granice. Takie książki cza-sem reklamowane są hasłami w rodzaju „wyjątko-wa historia w trudnych czasach”. Można ją opo-wiedzieć z użyciem dowolnych warunków histo-rycznych, pod warunkiem że będą one wyraziste i interesujące dla polskiej tożsamości. Wojna jest interesująca najbardziej wtedy, gdy pokazujemy, że Polacy zachowują się etycznie, bohatersko, są krystalicznie czyści. U Majewskiej-Brown bohater-ki przed wojną oczywiście miały przyjaciół Żydów. Co się z nimi stało? To już nie jest temat. Nie pada słowo „antysemityzm”, nie ma tu miejsca na żadne rozliczanie się z historią.

Te książki są zarazem pełne przemocy, często pornografizują okrucieństwo.

– Dotyczy to zwłaszcza Auschwitz, które dla pisa-ry i pisarek jest czymś w rodzaju „laboratorium przemocy”, wielkim studiem filmowym, w którym można się przyjrzeć przemocy z bliska i bezkarnie. Dlaczego tak jest? Bo to są powieści nie o Żydach, nie o Polakach czy innych więźniach, ale powieści o Niemcach. Bardzo szczególnych Niemcach. Na

okładkach czytamy: „studium umysłu nazistowskie-go zbrodniarza”.

Unde malum – skąd zło – w wersji popularnej.

– Powieść popularna często stawia to pytanie. Tyl-ko że odpowiedzi, które nam podsuwa, są banalne i niewystarczające. Zło bierze się stąd, że ktoś po pro-stu jest sadystą, psychopatą... To nie jest odpowiedź wnosząca coś nowego do naszej wiedzy o świecie.

Może jednak wnosi? W negatywnym oczywi-ście sensie. Czytelnicy dowiadują się, że za zło nie jest odpowiedzialna grupa, tylko pojedyn-czy jej reprezentanci.

– O to właśnie chodzi – zła jest jednostka, a nie ide-ologia czy historia. Tylko koniec końców potępia-my pojedyncze osoby, które jedynie dźwigają zja-wiska społeczne. Nie dowiemy się wobec tego, co to był nazizm. Nawet jeśli – jak w powieściach Czorny-ja – czytelnik jest wciągany w moralnie dwuznaczną, perwersyjną grę i staje się asystentem zbrodnia-rza, zafascynowanym nim obserwatorem, to w fina-le zbrodniarz zostaje ukarany, a czytelnik jest sędzią sprawiedliwym.

Wielu z tych powieści towarzyszą przedmowy albo obszerne posłowia, w których autorzy i au-torki zwracają się do czytelników, często tłuma-cząc swoje motywacje. Czornyj pod koniec powie-

ści „Mengele. Anioł śmierci z Auschwitz” pisze: „Uczestniczyliśmy [w wiwisekcji umysłu zbrod-niarza] zresztą wszyscy. I ja, i Państwo, którzy do-brnęli do tych słów. Jak to o nas świadczy? Cie-kawość jest ponoć pierwszym stopniem do pie-kła, a jednak... Pewne jest, że im bardziej złożo-na osobowość, tym bardziej fascynująco zaspoka-ja się ową ciekawość”. Czytelnik zostaje wpuszczo-ny w rolę podekscytowanego i przerażonego pod-gładacza.

Przypomina mi to scenę z „Psychozy” Alfreda Hitchcocka. Gdy morderca próbuje się pozbyć sa-mochodu, zrzuca go do bagna. Przez moment ob-serwujemy, jak auto się zatrzymuje i nie chce się zanurzyć. Zaczynamy kibicować mordercy, by jed-nak mu się udało, by zatarł ślady swojej zbrodni i zbiegł policji. Hitchcock zastawia na widza pu-lapkę.

Komentatorzy często zwracają uwagę na to, że literatura „w paski” nie jest niczym nowym, a jej prekursorem jest Ka-Tzetnik, piszący pod pseudonimem żydowski historyk i pisarz, więzień Auschwitz, który w 1956 r. wydał „Dom lalek”, książkę opisującą tzw. oddziały rozko-szy.

– Gdy dzisiaj przeczyta się Ka-Tzetnika i Czornyja, łatwo dostrzec, że jednak to, co można opisywać, się zmieniło. Na jeden gwałt u Ka-Tzetnika przypa-da kilka w książkach „w paski”. Różnicę czyni rów-nież fakt, że Ka-Tzetnik był w obozie zagłady, że był przedstawicielem społeczeństwa, które dotknęło ludobójstwo. „Dom lalek” był pisany z innych przy-czyn, miał inne cele. Powieści Czornyja nie są czy-tane dlatego, że opowiadają jakąś nową historię czy coś nowego odsłaniają. Przeciwnie – ich popular-ność związana jest z tym, że doskonale wiemy, cze-go się po nich spodziewać.

Ale kiedy Czornyj pokazał się w mediach spo-lecznościowych upozowany na zbrodniarza, o którym pisał, to – pozwól, że użyję popularne-go zwrotu – internet zawył. Czyli jednak mamy jakieś wycucie granic?

– Jedni mają, a drudzy nie. Wydaje mi się, że – jeśli oceniać je pod względem marketingowym – było to doskonale posunięcie. Pewnie byśmy nie rozmawia-

li, gdyby nie to zdjęcie. I właśnie to zjawisko wykorzystuje jego proza – łapania czytelnika w sidła.

Weźmy na przykład „Bestię z Buchenwaldu”. Trudno streścić fabułę tej powieści, bo jej akcja polega na bardzo szczegółowych opisach kolejnych zbrodni, a właściwie na ich wyliczeniu. Czyta się je z mieszaniną grozy, obrzydzenia, ale też fascynacji. Fascynacji polegającej na identyfikacji ze zbrodniarzem. Co jakiś czas jednak narrator przypomina czytelnikowi, że – wypowiadający się w pierwszej osobie – nazista zwraca się do niego. Tak, żebyśmy pamiętali, że mamy być sędziami. To jest niezbędny środek bezpieczeństwa. Przypomina się czytelnikom, że lektura tych powieści ma służyć pamięci o ofiarach i temu, żeby „nie było nowych Mengelów”. Jak sądzę, jest to jednak raczej mechanizm obronny, żeby w identyfikacji z mordercą nie zająć za daleko.

Czy zdarzają się wyjątki od reguły – powieści, które zaskakują?

– Takim wyjątkiem jest „Dybuk” Marka Świerczka – powieść szeroko reklamowana, ale jeszcze sprzed boomu popularności „książek w paski”. To fabuła hojnie korzystająca z prac Jana Tomasza Grossa – „Śąsiadów” i „Strachu”. Całość sprawia dziwne wrażenie, bo jest tam też sporo miejsca dla stylu à la Tarantino, dowcipu, ale też sprawnej sensacji. Świerczek opowiada o rozszałalym w powojennej Polsce antysemityzmie. Mimo to „Dybuk” składa się z dziesiątek antysemickich klisz.

Głównym bohater powieści jest ziemianin, ktoś na kształt „żołnierza wyklętego”. Obserwuje szalejący antysemityzm, którego kulminacją jest pogrom w Kielcach. I się nawraca – staje się obrońcą Żydów, wręcz mścicielem. To zaskakujący obrót spraw i intrygująca powieść. Pokazuje, że dyskusje naukowe mogą przeniknąć do obiegu literatury popularnej.

Piszesz w „Tekstach Drugich”: „Kultura popularna anektuje przestrzeń szczególnie ważną dla polskiej tożsamości, a wraz z tym pozbawia ją niebezpiecznego ładunku traumy”.

– O wszystkim dzisiaj decyduje marketing. Powieść Martina Amisa „Strefa interesów”, wybitne dzieło literackie, też zostało wydane z paskami na okładce. Wydawnictwo reklamuje ją jako opowieść o „miłości w czasach krematoriów”, co może naprawdę zaskoczyć czytelnika, który sięgnąłby po nią jako krzepiącą narrację. To gęste, polifoniczne, wymagające dzieło. Ale żeby je sprzedać

masowemu czytelnikowi, wydawca sięgnął po chwytty rodem z popularnych powieści z „Auschwitz” w tytule.

Czasem trzeba zmelodramatyzować tytuł. „Kommando Puff” Dominika W. Rettingera obecnie ukazuje się jako „Sekret Elizy. Auschwitz. Płatna miłość”. Pierwotny tytuł odnosił czytelnika do jakiejś wiedzy, a „Sekret Elizy” nie stawia już żadnych wymagań.

– Autor w przedmowie mówi, że książkę pisał, chcąc zrobić coś dla pamięci o ofiarach. I ja mu nawet wierzę. Jednocześnie problematyczne jest to, że Rettinger opi-

wi, jak mamy postępować? To jest rozrywka, nauka historii, a tak w ogóle to atak elit na autorów i ich czytelników. W tym konflikcie doskonale odnajdują się autorzy, którzy napuszczają jednych na drugich i wychodzą z tego zwycięsko.

Mamy w tym konflikty klasowe, ale też przekonanie, że istnieje jeden sposób pamiętania o Zagładzie. Oczywiście warto mówić o tym, co w tej prozie jest problematyczne – przemocy seksualnej wobec ofiar czy wymazywaniu historii Żydów. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że nie tędy droga. Niektóre instytucje...

pisana, jest w nich wiele treści, z którymi się nie zgadzam, ale wtedy zastanawiam się nad sobą, czy to, co ja myślę, nie jest przypadkiem na przykład kwestią klasową. I czy ja wiem, jak tak naprawdę pisarze powinni tworzyć, a czytelnicy czuć? Przekonuje mnie Umberto Eco, który pisząc o powieściach popularnych, zauważył, że krytycy literaccy i badacze zachowują się jak krytycy kulinarni – biorą do ust cukierek i mówią: ziemisty, gorzki, słony, wytrawny... Ale nikt nie powie, że cukierek jest po prostu słodki. Przy powieściach Majewskiej-Brown człowiek się po prostu wzrusza. Mówienie o kiczu, o sentymentalizmie, naiwności to

Fabuła ma wciągać okrucieństwem, opisami seksualnej przemocy, a zarazem wszystko ma się optymistycznie skończyć

suje, jak ofiary mogły czerpać przyjemność z przemocy seksualnej. To powieść, która chciałaby połączyć dwa najpopularniejsze typy opowieści „z Auschwitz”, czyli melodramat i erotyczny horror. Fabuła ma wciągać okrucieństwem, opisami seksualnej przemocy, a zarazem wszystko ma się optymistycznie skończyć. Zło zostaje ukarane, a dobrzy bohaterowie pozostają dobrzy. Na tej samej zasadzie komplementarna jest twórczość Maxa Czornyja i Niny Majewskiej-Brown, dwójga najpopularniejszych polskich autorów powieści „w paski”. Melodramat ma wzbudzać wzruszenie i pokrzepiać, a horror przerażać i oferować rozładowanie w przemocy.

Śledziliście też reakcje na publikację prasowe dotyczące Czornyja. Jakież wnioski?

– Uwidocznił się podział na czytelników „amatorskich” i „profesjonalnych”. Ci drudzy to badacze, historycy, krytycy czy naukowcy. „Profesjonałsi” mówią „amatorom”, że źle czytają, źle postępują z pamięcią o Zagładzie czy w ogóle z pamięcią o wojnie. Tym samym mówią: my wiemy, jak to należy robić.

Czytelnik nieprofesjonalny reaguje wtedy pytaniem: dlaczego ktoś nam mó-

...jak Muzeum Auschwitz-Birkenau...

– ...wypominają Czornyjowi, że myli się w dacie jakiegoś wydarzenia czy coś przeinaczył. To do niczego nie prowadzi, a daje jeszcze amunicję autorowi, prowokuje go do odpowiedzi.

Komentarze do „afery Czornyja” pokazują, że wiele osób wierzy w to, że pamięć o Zagładzie i II wojnie światowej powinna mieć bardzo określoną formę, a wszystko, co nie pasuje do tego kanonu, jest przekroczeniem, blasfemią, dla niektórych wręcz zbrodnią. Badacze uzurpują sobie prawo do mówienia innym, co powinni robić, jak powinni czuć. I robią to w sposób, który jeszcze nikogo do niczego nie przekonał.

Czyli?

– Z pozycji dominacji. Jeśli chcemy budować bardziej inkluzywne, demokratyczne i tolerancyjne społeczeństwo i uważamy, że pamięć o Zagładzie ma nas do niego doprowadzić, to nie powinniśmy mówić innym, jaką literaturę mają czytać, co jest dla nich dobre, a co złe.

Co wtedy z krytyką literacką?

– To jest rzeczywistość złożony temat. Uważam, że większość tych powieści jest źle na-

wnoszenie konstrukcji obronnych przed emocjami, które mamy w sobie.

Można się zżymać na wiele – na to, że te powieści są do siebie bardzo podobne, strukturalnie niemal identyczne, na to, o czym mówią, jak to robią, ale one się podobają. I to trzeba uszanować. I rozumieć, co się za tym kryje. ●



• Na początku 2024 roku ukazał się – zatytułowany „Beletrystyka z Auschwitz” – numer „Tekstów Drugich” poświęcony popularnym powieściom podejmującym tematykę II wojny światowej i Zagłady, redagowany przy współpracy merytorycznej członków zespołu, Justyny Kowalskiej-Leder i Jana Borowicza. Czasopismo wydaje Instytut Badań Literackich PAN.

FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZAPL

REKLAMA

KRAJ/34306542

Autorka monumentalnych „Córek Wawelu” powraca z nową powieścią!

WYDAWNICTWO LITERACKIE

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydlit

Z **WOJCIECHEM KWAŚNIAKIEM***
ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

DONATA SUBBOTKO: 10 lat mija w kwietniu od zamachu na pana. WOJCIECH KWAŚNIAK: Mam to zarejestrowane w zwolnionym tempie. Wracałem z pracy, bezpośrednio po posiedzeniu Komitetu Stabilności Finansowej, który omawiał sprawy SKOK-u. Minęliśmy się z żoną samochodami, jechała do filharmonii na wielkanocny koncert Beethovenowski. Zatrzasnąłem furtkę i podchodziłem do drzwi domu. Wybiegł wysoki zamaskowany mężczyzna z metalową pałką, jak się potem okazało. To był gangster z wielką kartoteką kryminalną, wynajmowany do dyscyplinowania grup przestępczych. Musiał czekać w ogrodzie, gdy jeszcze żona była w domu. Poczulem straszny ból, jakby ktoś przyłożył mi do głowy rozgrzane żelazo, chyba wtedy złamał mi czaszkę, bo przez chwilę nic nie widziałem. Nie chciałem upaść, bo wiedziałem, że nie wstanę. Poczulem żal, że zaraz zginę, a co będzie z synem i żoną. Później już nic nie czulem, żadnego bólu. Mój syn, wówczas 15-letni, był w pokoju na górze z Harrym, naszym starym, ledwo chodzącym labradorem, i ze studentem-korepetytorem, mieli lekcję fizyki. Nie wiedział, że ja tu pod drzwiami nieomal zostałem zabity.

Nie krzyczał pan?
– Nie miałem kiedy. Byłem na granicy czegoś. Wiedziałem, że ktoś chce mnie zabić, wstąpiła we mnie siła, zacząłem się bronić. Później specjaliści z terroru powiedzieli, że to zdecydowało, bo 90 procent ludzi w takich sytuacjach się poddaje, ogarnia ich paraliż. Udało mi się ściągnąć temu człowiekowi kominiarkę, miał jeszcze na twarzy pończochę. Potem uciekł. Kręciło mi się w głowie, chciałem wymiotować. Bałem się, że stracę przytomność, usiadłem na schodach. Zacząłem składać telefon, który wypadł z teczki. Zadzwoiłem do kuzyna, emerytowanego policjanta, który mieszka niedaleko na Kabatach, powiedziałem tylko: napadli mnie pod domem. Potem do mojego szefa, przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego Andrzeja Jakubika – był na jakimś spotkaniu, powiedział, że już podejmuje działania.

Z posesji obok wyjeżdżał samochód – może dlatego ten sprawca uciekł? Zacząłem machać ręką. To był obcokrajowiec, który wynajmował tu dom. Zatrzymał się na wysokości furtki, odsunął szybko. Mogę sobie wyobrazić, co zobaczył, było po 18, jeszcze widno, 16 kwietnia. Krew mi się lała z głowy, drzwi były wymazane krwią, przed domem pełno krwi. Musiał zadzwonić do swojej żony, bo przybiegła z sąsiadkami. Miały koc i opatrunki. Po chwili przyjechał kuzyn z dorosłym synem. Potem karetka pogotowia i policja, nie wiem, kto po nich zadzwonił. Policji powiedziałem, kim jestem i żeby zawiadomili Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

A pana syn?
– Kuzyn wszedł do domu i zabronił mu schodzić na dół, nie chciał, żeby syn mnie zobaczył. Zadzwoił też do mojej żony, ale kiedy przyjechała, mnie już nie było. Mówiła potem, że nie wiedziała, że człowiek może stracić tyle krwi i żyć. Kuzyn zdjął mi zakrwawioną płaszcz, marynarkę, założył jakiś polar. Jazda karetką była straszna, bardzo trzęsło, przy każdym ruchu bolała mnie głowa.

W Szpitalu Czerniakowskim założono mi gips na rękę i ponad 40 szwów – na głowie, twarzy i szyi, nawet usta szyli od środka. Zgadzałem się, że w tym szpitalu szyją najlepiej. Położyli mnie w pokoju jednoosobowym. Rano weszło dwóch rośliwych mężczyzn. Przeraziłem się, że chcą mnie dobić, nie mogłem krzyczeć, spod bandaży wystawało mi tylko jedno oko. A to byli policjanci w cywilu, z wydziału do zwalczania terroru i zabójstw Komendy Stołecznej. Pan Błażej i pan Bartosz, którzy potem przejęli śledztwo, działali szybko, skutecznie i nie ufa-

li nikomu. Myślę, że gdyby nie oni, sprawa nie byłaby wykryta. Nie pamiętam nazwisk, a nie zostali uhonorowani, przeciwnie, dzisiaj żaden z nich nie pracuje w tym wydziale, podobnie jak ich koledzy zajmujący się moją sprawą.

Na drugi dzień przewieziono mnie do szpitala na Szaserów na oddział traumatologii, gdzie zajęto się moją głową i zoperowano rękę. Dostałem stałą ochronę policji. Po ośmiu czy dziewięciu dniach wypuszczono mnie ze szpitala i ukryto w pewnym miejscu w Polsce. Chcieli wywieźć całą rodzinę, ale żona się nie zgodziła, syn chodził do szkoły, tutaj byli monitorowani. Miałem tam siedzieć co najmniej miesiąc, ale po dwóch tygodniach uparłem się, żeby wrócić do domu, bo w pierwszej połowie maja była 25. rocznica naszego ślubu z Agatą. I potem przez kilkanaście miesięcy byłem chroniony, wożony do pracy i z pracy opancerzonym samochodem, w kamizelce kuloodpornej. Do momentu, kiedy ci policjanci z terroru ustalili powiązania sprawców ze SKOK-iem Wołomin, czego dziwnym trafem nie potrafiła zrobić badająca SKOK Wołomin prokuratura w Warszawie z udziałem ABW i CBŚ.

POD OKIEM PROKURATURY I ABW

Dlaczego „dziwnym trafem nie potrafiła”?

– Właśnie, chciałbym, żeby ktoś na to pytanie odpowiedział. Najlepiej, jeśli zbada to komisja śledcza. Z dokumentów wynika, że prokuratura prowadziła sprawy dotyczące działalności SKOK-u Wołomin już od 2011 r. Dokładnie: Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga z udziałem Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie, ABW, Generalnego Inspektora Informacji Finansowej oraz CBŚ. Na początku 2013, gdy my, czyli Komisja Nadzoru Finansowego, wchodziliśmy na kontrolę do SKOK-ów, prokurator generalny Andrzej Seremet – jak informował posłów w Sejmie w maju 2015 – zlecił, żeby wszystkie sprawy SKOK-ów koordynowano w Prokuraturze Generalnej. Wszyscy oni wiedzieli o działaniach przez nas prowadzonych.

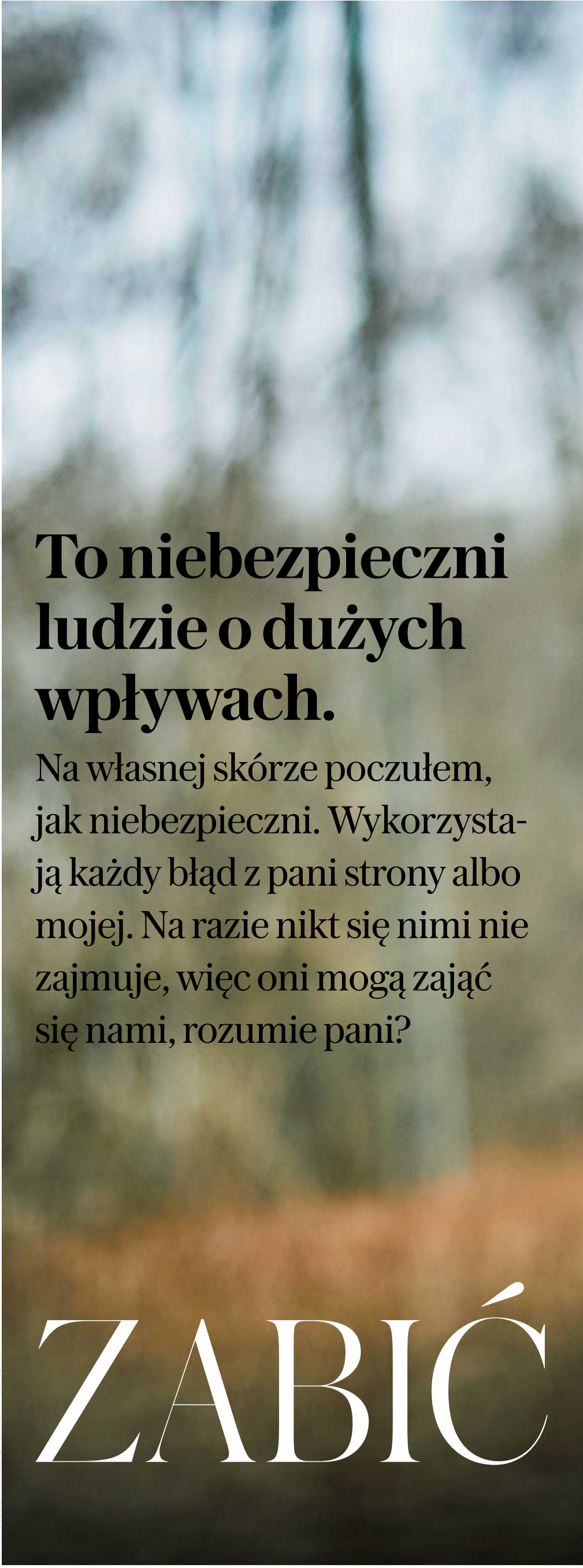
W maju 2013 KNF złożyła doniesienie do prokuratury o podejrzeniu złamania przez zarząd i radę nadzorczą SKOK-u Wołomin ustawy o rachunkowości, tj. art. 77, chodzi o sprawozdania finansowe tej kasy. Do dzisiaj nie wiadomo, co prokuratura z tym zrobiła. Prowadziliśmy wtedy też korespondencję z Prokuraturą Okręgową Warszawa-Praga w ramach otwartego przez nas postępowania administracyjnego, mającego zbadać przesłanki do wprowadzenia w tej kasie zarządu komisarycznego, a moi pracownicy spotykali się z funkcjonariuszami ABW, którzy chcieli się dowiedzieć, co robimy. I to wszystko nie uchroniło mnie przed zamachem. Z jakichś względów do niego dopuszczono. To mogło spotkać każdego innego pracownika KNF – spotkało mnie, bo ja nadzorowałem departamenty, realizujące zadania nadzorcze wobec SKOK-ów.

Kto dopuścił? Prokuratura i ABW?

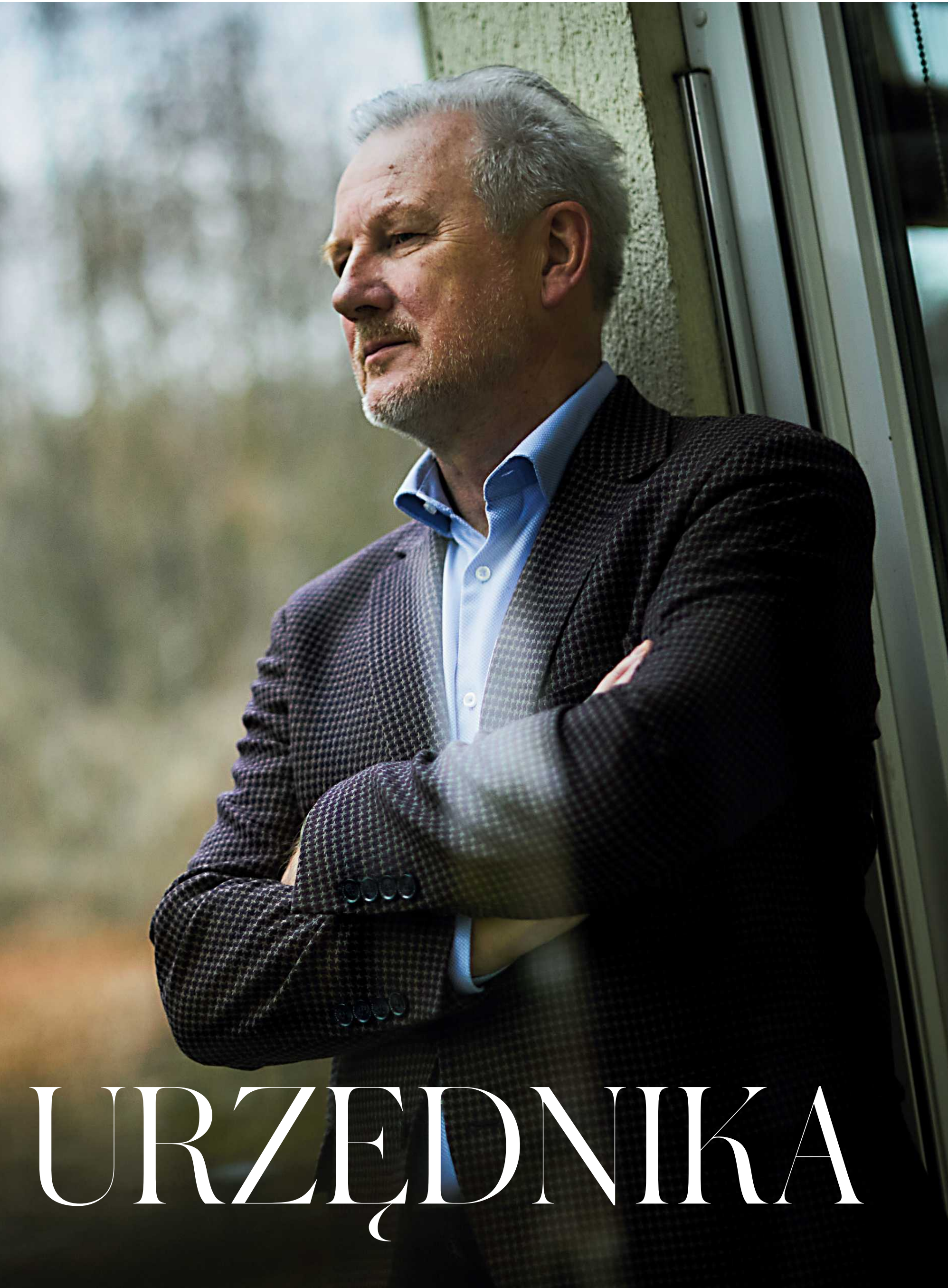
– Tak, bo te organy znacznie wcześniej niż my zaczęły sprawdzać działalność SKOK-u Wołomin. Wiedziały, jaki jest stopień zagrożenia, jacy tam są ludzie. Powinny więc zapewnić nam skuteczną ochronę, ale tego nie zrobiły. Wie pani, na początku, kiedy policjanci z terroru pytali, czy zamach może być związany z moją pracą, to ja nawet nie wymieniałem SKOK-u Wołomin, bo do głowy mi nie przyszło, że mogłoby do tego dojść pod okiem prokuratury i ABW.

Miał pan kontakt z ABW?

– Bardzo dziwny. Gdy zostałem na chwilę przywieziony do domu ze szpitala, zanim wywieźli mnie poza Warszawę, to przyjechał wysoki funkcjonariusz ABW, policjanci z terroru zażądali, żeby się wylegitymował – nie chciał, ale go przymusili. Intereso-



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



wała go tylko jedna rzecz: czy jestem w stanie rozpoznać sprawcę i czy kojarzę napaść z konkretną sprawą.

Ci, o których chcemy mówić, to niebezpieczni ludzie o dużych wpływach. Na własnej skórze poczułem, jak niebezpieczni. Każdy błąd z pani strony albo mojej wykrzystają przeciwko nam. Na razie nikt się nimi nie zajmuje, więc oni mogą zająć się nami, rozumie pani?

Może czas, żeby ktoś zajął się nimi?

– Po dziewięciu latach skończył się proces i zapadły wyroki w pierwszej instancji. Ale nie wszystkie osoby, które inspirowały i planowały zamach na mnie, znalazły się na ławie oskarżonych. Jedynie ci bezpośrednio zaangażowani i to bez tego, którzy mnie napadł, dwa lata temu go wypuścili i nie mogą znaleźć.

Wypuścili?

– Był tak złego zdrowia, że na procesie nie był w stanie siedzieć, musiał leżeć. Dostał przerwę w areszcie, żeby zrobić badania, potem miał się stawić na konsylium lekarskie – i zginął. Władza, która w ostatnich latach podobno intensywnie zwalczała przestępczość, tak działała, że ten człowiek jest na wolności. Poszukują go listem gończym, ale moja sprawa nie jest w nim nawet wymieniona. Tak traktowany jest zamach na mnie.

Kogo jeszcze brakuje na ławie oskarżonych?

– Nie ma tam nikogo z władz SKOK-u Wołomin ani ludzi służb, którzy korzystali ze środków finansowych tej kasy.

Powinni być?

– Wedle samej prokuratury oskarżeni byli częścią zorganizowanej grupy przestępczej. Ale sądzono tylko cztery osoby. Piotra Polaszczyka, byłego wiceprzewodniczącego rady nadzorczej SKOK-u Wołomin, agenta Wojskowych Służb Informacyjnych, który zlecił zamach na mnie. Plus trzech bandziorów ze środowiska Wołomina: Krzysztofa A., który pomagał w realizacji zamachu, on dostał przywilej małego świadka koronnego i już wcześniej dostał wyrok prawomocny, drugiego Krzysztofa A., pseud. „Twardy”, który mnie napadł i go wypuścili, oraz Jacka W., który podwoził „Twardego” pod mój dom. Polaszczyka skazano teraz w lutym na 10 lat, Jacka W. na dwa. Prokuratura nie rozwijała wątków innych osób z grupy przestępczej, która opanowała SKOK, a wydaje się oczywiste, że powinno być inaczej.

Dlaczego to oczywiste?

– W grudniu – dopiero po wyborach, po 12 latach śledztwa – w innym, głównym wątku sprawy SKOK-u Wołomin skierowano do sądu akt oskarżenia wobec 62 osób o oszustwa, wyludzenie kredytów i spowodowanie znacznej szkody majątkowej, w tym i wobec zarządu tej kasy. Zdaniem prokuratury od maja 2006 w SKOK-u Wołomin działała zorganizowana grupa przestępcza. Była to druga co do wielkości kasa w systemie spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych. Władze Kasy Krajowej zrzeszającej wszystkie SKOK-i w Polsce, które ją przez lata nadzorowały, bardzo ją ceniły i wyróżniały, mimo że wiedziały o grupie Polaszczyka i sposobie jej finansowania.

Skąd pewność, że wiedziały?

– Z akt spraw, które prokuratura dostała od Komisji Nadzoru Finansowego. Chodzi o m.in. wewnętrzny dokument Kasy Krajowej z listopada 2008, ujawniony przez zarządzącę komisarycznego. Wynika z niego, że Kasa Krajowa już wtedy miała sygnały od własnych kontrolerów o działalności grupy Piotra Polaszczyka i możliwych zagrożeniach dla SKOK-u Wołomin. Od tego czasu władze Kasy Krajowej mogły temu przeciwdziałać, ale tego nie robiły. Mało tego, nagradzały prezesa SKOK-u Wołomin.

Mariusza Gazdę. W 2011 SKOK przyznał mu swoją nagrodę Feniksa dla menedżera roku.

– Do 2014 r. SKOK Wołomin dostawał nagrody z różnych miejsc, np. od tygodnika „Wprost” kierowanego przez Sylwestra Latkowskiego. Prezes SKOK-u Wołomin był również – na wniosek zarządu Kasy Krajowej – wybrany do komisji funduszu stabilizacyjnego Kasy Krajowej, z którego udzielana jest pomoc finansowa poszczególnym kasom. Dlatego na pytanie, czy za zamach na mnie osądzeni zostali wszyscy, którzy powinni, odpowiadam: nie.

SENATOR BIERECKI: TO MISTYFIKACJA

Ale sąd przesłuchiwał związanego z PiS senatora Grzegorza Biereckiego, twórcę SKOK-ów i przez 20 lat prezesa Kasy Krajowej, później przewodniczącego jej rady nadzorczej.

– Został wezwany, dlatego że oskarżony Polaszczyk na początkowych etapach śledztwa mówił, że to nie on chciał mnie „zlikwidować”. Wskazywał szereg osób ze środowiska służb specjalnych, w tym i SKOK-ów, mogących mieć związek z zamachem na mnie. Mówił, że m.in. Bierecki był ze mną w konflikcie, a nawet że między nim a mną i Komisją Nadzoru Finansowego trwała wojna. Prokuratura miała dziewięć lat, żeby zweryfikować, czy on pomawia Biereckiego i inne osoby, czy coś jest na rzeczy – ale tego nie zrobiła. Nawet nie przesłuchiwała Biereckiego w tej sprawie. Zrobił to dopiero sąd na wniosek mój i mojego pełnomocnika, mecenasa Jerzego Naumanna.

Uważa pan, że senator Bierecki brał udział w zleceniu zamachu na pana?

– Nie wiem, ale prokuratura dawno powinna sprawdzić informacje Polaszczyka – ile w nich prawdy.

W sądzie zapytał pan o to Biereckiego?

– Rok zajęło sądowi doprowadzenie do wysłuchania świadka Biereckiego, bo wiele razy nie przychodził, stawiał się dopiero we wrześniu 2023. Pierwsze pytanie, które zadał mu mec. Naumann, było: czy zlecił pan zamach na Wojciecha Kwaśniaka? Pan Bierecki odpowiedział, że to ciekawe pytanie, ale nie. Potem ja też zadałem mu to pytanie, odpowiedział: „nie, nie zlecilem” i że w jego ocenie zamach na mnie to mistryfikacja.

I co pan na to?

– Pomyślałem, że na szczęście moja żona już tego nie słyszy. Zapytałem go, czy szkody na moim zdrowiu zawarte w dokumentacji medycznej są sfalszowane. Odpowiedział, że do zdarzenia doszło, on tego nie kwestionuje, chodzi mu o to, kto je zaplanował.

Czyli pan sam zlecił zamach na siebie?

– Taka wydaje się koncepcja senatora Biereckiego. Mówił, że to KNF jest winna sytuacji w SKOK-ach, a usiłuje się jego tym obciążyć i on na to nie może pozwolić.

Jak zdrowie dzisiaj?

– Nie miałem wcześniej takich bólów i zawrotów głowy, skoków ciśnienia, czekają mnie operacje oczu. Ręka jest sprawna, ale nie podnoszę ciężkich rzeczy. Świeżo po zamachu największy problem był z krwią na mózgu, ryzyko, że umrę albo zapadnę w śpiączkę. Podobno miałem szczęście, że dużo krwi wylało się na zewnątrz, nie do środka. Biegły stwierdził, że gdybym dostał minimalnie głębiej, byłaby śmierć na miejscu. Dlatego nie rozumiem prokuratury. Oni to wiedzieli i nie postawili oskarżonym, nawet bezpośrednio sprawcy, zarzutu zabójstwa z zamiarem ewentualnym, tylko ciężkiego pobicia funkcjonariusza publicznego. Mało tego, od razu po zamachu puscili informację do mediów, że to na pewno nie była próba za-

bójstwa. Na jakiej podstawie to stwierdili? W tym czasie nic nie było ustalone.

Jaką informację konkretnie?

– Na początku maja 2014, dwa tygodnie po zamachu, ukazał się artykuł Piotra Nisztorra w „Pulsie Biznesu”, który przywoływał wypowiedź Przemysława Nowaka, rzecznika prasowego Prokuratury Okręgowej w Warszawie, że wyklucza się próbę zabójstwa. Przewodniczący KNF Jakubiak się zdenerwował i złożył skargę do prokuratora generalnego Seremeta, a ten odpisał, że zlecił to do zweryfikowania Prokuraturze Rejonowej na Woli, która jednak szybko umorzyła tę sprawę. Artykuł był tym bardziej dziwny, że sprawy nie prowadziła Prokuratura Okręgowa, ale Prokuratora Rejonowa Warszawa-Mokotów. Kiedy składałem tam zeznania, zapytałem panią prokurator, dlaczego coś takiego ukazało się w prasie. Zapewniła, że ona nie wydawała żadnego postanowienia o dopuszczeniu kogokolwiek do aktu.

Na próbę zabójstwa wskazuje użycie ciężkiej palki przez zamaskowanego, silnego mężczyznę, który atakował tylko moją głowę. Jak wynika z zeznań, w zleceniu pa-dały słowa, że trzeba mnie unicestwić, spacyfikować, zlikwidować na parę miesięcy. Organizatorzy musieli brać pod uwagę, że mogą nie przeżyć. Ten, który mnie napadł, powiedział, że najłatwiej byłoby mnie zastrzelić z pewnej odległości. Co te słowa znaczą? Zeznawali, że nie wiedzieli, że jestem funkcjonariuszem publicznym. To kłamstwo, bo dostał zlecenie na mnie razem z gazetą, gdzie było moje zdjęcie z podpisem, kim jestem, adresem biura. Zastanawiali się, gdzie to wykonać: w centrum Warszawy za dużo kamer, więc podłożyli mi pod służbowy samochód GPS i ustalili, gdzie mieszkam. W czasie procesu skojarzyłem, w którym dniu stali pod urzędem, obserwowali mnie. Cały kontekst, charakter działań świadczy o ich zgodzie na to, że może dojść do zabójstwa. Prokuratury to nie przekonało.

Z jakiego powodu komuś by zależało, żeby nie było zarzutu próby zabójstwa?

– Bo waga sprawy byłaby większa, biorąc pod uwagę moje stanowisko. Akt oskarżenia zostałby skierowany do sądu okręgowego, nie rejonowego. Podobnie ze śledztwem, które poszło do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów, prowadziła je prokurator Dorota Miskurka-Sokół, obecnie szefowa Prokuratury Rejonowej Warszawa-Ursynów. Potem, na wniosek policjantów ze zwalczania terrorku i zabójstw, przejęła je prokurator Agnieszka Leszczyńska z Prokuratury Okręgowej w Gorzowie Wielkopolskim, która przy okazji innej sprawy wpadła na trop SKOK-u Wołomin i zaczęła go drażnić. Prokurator Leszczyńska uwolniła de facto prokuraturę w Warszawie od wysiłku związanego z moją sprawą, chociaż podejrzewam, że nie miała pełnej swobody w prowadzeniu śledztwa. Sprawa toczyła się na najniższym możliwym poziomie, a ława oskarżonych była tak wąska, jak tylko mogła być. Notabene Polaszczyk po zatrzymaniu – to też jest w aktach – stwierdził, że w Warszawie nigdy nie byłby zatrzymany, tak był przekonany o swoich wpływach.

Uważa pan, że w Warszawie po zamachu zrobiono za mało?

– Państwo nie podjęło wtedy specjalnych działań. Zamach poruszył głównie tych, którzy ze mną współpracowali. Oni wiedzieli, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Ale sprawa poszła do prokuratury rejonowej, jakby to była awantura pod sklepem. Zapytany o to w Sejmie prokurator generalny Seremet nie potrafił tego wyjaśnić. Napadnięto wiceprzewodniczącego KNF, która nadzoruje cały rynek finansowy w Polsce, zabezpiecza interesy ekonomiczne państwa, a prokurator generalny nie wie, dlaczego sprawa jest prowadzona w rejonówce. A jednocześnie przyznaje, że od początku 2013, kiedy KNF decyżją

Sejmu zaczęła kontrolować SKOK-i, to on sam zarządził szczególny nadzór Prokuratury Generalnej nad sprawami dotyczącymi SKOK-ów.

Nic się tu nie zgadza.

– Nic. Bo co to znaczy? W czasie, kiedy nad śledztwem w sprawie SKOK Wołomin był nadzór Prokuratury Generalnej i ABW, zorganizowana grupa przestępcza działająca przy tym SKOK-u zorganizowała na mnie zamach. Dlatego oskarżam organy ścigania w Warszawie, że pod ich parasolem doszło – na skutek ich nieborności czy jakichś interesów – do zamachu na mnie, w którym mogłem stracić życie.

6 GRUDNIA 2018 WKRACZA CBA

Jesienią 2015 sprawa trafiła do Sądu Rejonowego Warszawa-Mokotów, do młodej sędzi Doroty Gozalbo-Gągolewicz. Sąd nie zawiadomił mnie – a powinien – że odbędzie się posiedzenie, na którym mogę zdecydować, czy chcę być oskarżycielem posiłkowym. Odkrył to przypadkowo mecenas Maciej Bednarkiewicz, który powiedział, że to niedopuszczalne, co mnie spotkało, i on się zajmie tym pro bono. Sąd wyjaśniał, że wysłali mi zawiadomienie do pracy – sprawdził, że nie ma sprawy, że nie przyszło. Ta sama sędzia chciała zmienić kwalifikację czynu na jeszcze niższą: naruszenie nie-tykalności, co właściwie uprzedzało zakończenie sprawy. Nie dopuścił do tego mecenas Naumann, który przejął moją sprawę po śmierci mec. Bednarkiewicza. W końcu sędzia poszła na urlop macierzyński. Wiosną 2019 proces zaczął się od nowa i był już sprawnie prowadzony przez sędzię Edytę Snastin-Jurkun, mimo że druga strona stosowała wybiegi, żeby go przedłużyć, a nawet żeby wyłączyć sędziego.

Po co mieliby to robić?

– Nowy proces rozpoczął się trzy miesiące po zatrzymaniu mnie przez CBA 6 grudnia 2018. Sprawa była głośna, myślę, że chcieli przeciągnąć sprawę zamachu, żeby media straciły zainteresowanie. Zatrzymanie mnie i innych pracowników KNF, a potem wszczęcie procesu przeciwko nam odbieram jako polityczną zemstę za to, że ujawnialiśmy działania przestępcze nie tylko w SKOK-u Wołomin, ale i w wielu innych SKOK-ach. I jako próbę odwrócenia uwagi od działań samej prokuratury, która w sprawie SKOK-u Wołomin była zastanawiająco mało efektywna.

Niech pan opowie o zatrzymaniu.

– Ranek, ciemno, ktoś dzwoni, żona wyrwana ze snu widzi przez okno ludzi biegnących przy płocie, samochody – to nie były radiowozy, nie byli umundurowani. Była przerażona, początkowo myślała, że to przestępcy chcą nas napaść, bo przecież wcześniej długo byłem chroniony przez policję i BOR. Wyjrzałem i od razu powiedziałem, że przyjechali po mnie. Jakby nie mogli wysłać mi wezwania, przecież cała historia mojego życia nie świadczyła o tym, że będę się ukrywał.

Skąd pan wiedział, że przyjechali po pana?

– Bo co i raz kogoś zatrzymywano, a minister Ziobro zapowiadał, że sprawy SKOK-u Wołomin będą wyjaśnione. Aczkolwiek dwa lata wcześniej, w sierpniu 2016, na konferencji prasowej powiedział, że prokuratura już w 2009 powinna się zająć SKOK-iem Wołomin. Co się stało później, że nagle zajęli się nami?

Pan wie, co się stało?

– Wiem tylko, że doniesienie do prokuratury złożyło na nas dwóch byłych posłów związanych ze SKOK-ami: Jerzy Szmit i Przemysław Wipler. Napisali, że to KNF odpowiada za upadłość SKOK-u Wołomin, a nadzorująca go Kasa Krajowa działała właściwie. Szmit, poseł PiS, był

w przeszłości prezesem SKOK-u w Olsztynie. Wipler bronił władz SKOK-ów przed działaniami KNF w mediach związanych ze SKOK-ami, m.in. wGospodarce.pl czy wPolityce.pl.

Należące do spółki Fratria braci Karnowskich, gdzie SKOK-i są właścicielami większościowym – to de facto media Biereckiego. Często tam pana krytykują. – Przed sądem pan Bierecki powiedział: to, że ktoś jest właścicielem mediów, nie znaczy, że ma wpływ na to, co tam jest napisane. Atakują mnie tam od dawna, bo moja historia nadzorcza ze SKOK-ami ciągnie się od lat. Już po 2000 r. SKOK-i stały się inwestorem w Wielkopolskim Banku Rolnym w Kaliszu, gdzie jeszcze jako generalny inspektor nadzoru bankowego w NBP wprowadzałem zarząd komisaryczny, który zidentyfikował nadużycia związane z umowami podpisywanymi z grupą SKOK. Skutkiem były postępowania prokuratorskie, po kilku latach umorzone. Położyło się to cieniem na działaniach SKOK-ów, gdy chciały tworzyć bank komercyjny w formie spółki akcyjnej, ale dostały negatywną decyzję KNF.

Przez lata niektórzy z uczestników rynku mnie krytykowali za nadmierną restrykcyjność, a potem wymyślono, że jednak byłem zbyt liberalny. Wipler zaś to były członek PiS, potem m.in. wiceprzewodniczący partii KORWiN, której szef Janusz Korwin-Mikke współpracował z pismem związanym ze SKOK-iem Wołomin „Dobry Znak”.

Pisali tam też Rafał Ziembkiewicz, Jan Maria Jackowski, Aleksandra Jakubowska...

– Ta darmowa gazeta miała dużą siłę przekazu. Wychodziła w 150 tysiącach egzemplarzy, plus dodatki regionalne w nakładach do 60 tys. Redaktorem naczelnym był prezes SKOK-u Wołomin.

W grudniu 2018 CBA wpadło po pana o 6 rano i co?

– Przyjechali trzy albo cztery samochody, część ludzi ze Szczecina, część z Warszawy. Zażądałem – każdy ma prawo – konsultacji z lekarzem, bo od zamachu brałem leki na ciśnienie. Zabrali mnie w kajdankach do szpitala na Solcu. Kiedy tam byłem, przywieziono też przewodniczącego Jakubiaka, jeszcze jakiegoś naszego pracownika i jedną z pań dyrekterek, która tak źle się poczuła, że zostawił ją na oddziale, do Szczecina zabrano ją dzień później. W sumie zatrzymano siedem osób: mnie, Andrzeja Jakubiaka, dyrektora i dwóch zastępców departamentu oraz dwóch naczelników – wszystkich z Komisji Nadzoru Finansowego, którzy śmieli poważnie zając się sprawami działalności SKOK-ów. Do funkcjonariuszy CBA ciągle ktoś wydzwaniał, poganiał. Potem zrozumiałem, dlaczego – tego samego dnia była konferencja prasowa. Byłem jeszcze w drodze do Szczecina, kiedy minister Ziobro i prokurator krajowy Bogdan Święczkowski informowali o naszej winie, bo za długó zwlekaliśmy z ustanowieniem w SKOK-u Wołomin zarządu komisarycznego, czym umożliwiliśmy wyprowadzanie stamtąd pieniędzy. Powiedzieli, że to jest „prawdziwa afera KNF-u”.

Bo „Wyborcza” ujawniła wtedy, że Marek Chrzanowski, szef KNF z nominacji PiS, oferował „spokój” Leszkowi Czarneckiemu, właścicielowi Getin Noble Banku, w zamian za ok. 40 mln zł. Zresztą wcześniej to Chrzanowski zwolnił pana z KNF. – Powiedział: „Z panem dobrze mi się współpracowało, ale musiałem”. Kiedy został przewodniczącym, to jeszcze trzy i pół miesiąca byłem jego zastępcą. Ale w końcu 2018 r. dwie sprawy ekscytowały Polskę. Ta z Chrzanowskim i Czarneckim, oraz informacja nawiązująca do zeznań Polaszczyka, że SKOK Wołomin przekazywał koperty z pieniędzmi m.in. Jackowi Sasinowi. Więc nas zatrzymano, żeby ogłosić: oto ci źli urzędnicy KNF-u, a SKOK Wołomin upadł, bo to oni źle działali.

Do Szczecina dojechaliliśmy jakoś po 16, wpierv mnie wzięli do CBA, potem do prokuratury, gdzie pani prokurator przedstawiła mi zarzuty i zaczęła przesłuchanie, jeszcze zanim dojechał mój obrońca. Mówilem o naszej kontroli w SKOK-u Wołomin i o zamachu na mnie. I ta prokurator zaczęła się denerwować, wychodziła z pokoju i wracała. Wpadła w stan roztrzęsienia. Nagle powiedziała: „Nie, ja nie będę tego prowadziła!”. I wyszła. Czyli chyba odmówiła prowadzenia mojej sprawy.

Wtedy nie wiedziałem, że gdy zeznawałem, w mediach było zamieszanie, dlatego nas w ogóle zatrzymano. Przyszedł prokurator Adam Gołuch, który do dzisiaj prowadzi tę sprawę przeciwko nam i przesłuchanie zaczęło się od początku. Przedstawił mi zarzuty z art. 231 kk: niedopełnienie obowiązków i osiągnięcie korzyści majątkowej przez inne osoby. Zdaniem prokuratury, ja i przewodniczący Jakubiak oraz pozostałe osoby z KNF, dopuściliśmy do szkody interesu publicznego w kwocie ponad 1,5 mld zł, bo tyle wypłacił klientom SKOK-u Wołomin Bankowy Fundusz Gwarancyjny, i ponad 58 mln na szkodę interesu

prywatnego, bo prokuratura uznała za pokrzywdzonych wszystkich członków tej kasy, którzy mieli w SKOK-u Wołomin depozyty powyżej kwoty gwarancji. Czyli oskarżają nas o to, że działaliśmy w sprawie SKOK-u Wołomin za wolno, ażeby przysporzyć korzyści zorganizowanej grupie przestępczej, w skład której wchodzili niektórzy członkowie tej kasy oraz jej władze.

A pan co z tego ma?

– Dziurę w głowie, rękę na drutach, uszkodzone trwale oczy i zniszczone życie rodzinne.

I jak prokuratora logicznie to łączy z użyskaniem przez pana korzyści?

– Nie wiem. Ale wydaje się to zbieżne z koncepcją senatora Biereckiego: sam zleciłem zamach na siebie, żeby powstał mit o bohaterskim urzędniku, który przeciwstawiał się przestępcom. Dodam, że jako zastępca przewodniczącego KNF, kazałem publikować swoje oświadczenia majątkowe, mimo że przepisy mnie do tego nie zobowiązywały.

Grzegorz Bierecki też publikuje swoje oświadczenie majątkowe, jako senator musi. Czerpie dochody z wielu firm związanych ze SKOK-ami.

– Radzę zapoznać się z raportem o powiązaniach personalnych i kapitałowych w grupie SKOK, który opublikowały KNF i Komitet Stabilności Finansowej w październiku 2014 r. Moje dochody i innych pracowników w KNF nie osiągały łącznie takiego poziomu, jakie osiągają niektóre osoby w SKOK-ach, nie mówiąc o zgromadzonym majątku.

CO UKRYŁ I CO DODAŁ PROKURATOR GOŁUCH

Przesłuchanie było bardzo długie, skończyliśmy po północy i przewieźli mnie do aresztu śledczego w centrum Szczecina. Zabrali do pomieszczenia bez kamer, chy-

ba żeby nikt nie mógł potem tego skontrolować, i kazali mi się rozebrać. Sprawdzali, czy nie przechowuję czegoś w odybycie. Powiedzieli – było ze mną dwóch czy trzech mężczyzn – że może schowałem tam telefon. Myślę, że chcieli mnie upokorzyć.

Trafiłem do celi jednoosobowej, kłaustrofobicznej, chciało mi się pić, raz dostałem herbatę. Rano kromka chleba i serek topiony, potem obiad. Po południu ponownie do prokuratury. Pan Gołuch zapytał, czy chcę uzupełnić zeznania. Powiedziałem, że oczywiście, bo te wcześniejsze nie są pełne. Nie był zadowolony, ale usiedliśmy i znowuż to trwało prawie do północy. Był ze mną mecenas Naumann, który zabral mnie potem do Warszawy. Była 5 czy 6 rano, sobota, kiedy zajechaliśmy pod mój dom. Nigdy nie zapomnę wzroku żony, tej mieszkanki strachu i radości. Uważam, że gdyby nie zamieszanie w mediach i wsparcie byłych prezesów NBP: Hanny Gronkiewicz-Waltz, Leszka Balcerowicza i Marka Belki, ludzie ze świata nauki, biznesu, to oni by nas z tego Szczecina nie wypuścili.

Nie powiedziałem, dlaczego tak długo składałem zeznania. Gdy zobaczyłem za-

W „Sowie i Przyjaciolach” Morawiecki z Jagiełłą komentowali, że pieniądze ze SKOK-u Wołomin idą na różne inicjatywy w polityce i w mediach, w tym na telewizję Republika

rzuty, nie było w nich ani słowa o zamachu na mnie związanym z obowiązkami wykonywanymi w stosunku do SKOK Wołomin. Dlaczego prokurator Gołuch to ukrył?

Początkowo żądano, żebym wpłacił kaucję 250 tys. zł. Dla mnie ta suma była symboliczna, bo tyle samo miał dostać sprawca zamachu na mnie – najpierw zaliczkę 40 tys. zł i motor, potem mieli mu dołożyć 200 tys. Miałem też zakaz pracy na rynku finansowym i musiałem się zgłaszać co miesiąc na komisariat w Wilanowie. Policjanci byli zdziwieni, bo pamiętali, jak ustawiali patrole wokół mojego domu i chronili mnie po zamachu.

W lutym 2019 sąd w Szczecinie uchylił wszystkie środki zapobiegawcze i wskazał, że prokurator Gołuch pominął informację o zamachu na mnie, a zarzutami objął czas, w którym był ten zamach, leżałem w szpitalu i byłem później leczony. I co zrobił prokurator Gołuch? W akcie oskarżenia dopisał, że doszło „do uszkodzenia ciała”, co jest przedmiotem sprawy o sygnaturze takiej i takiej, w związku z czym przebywałem na zwolnieniu lekarskim. Ktoś, kto to czyta, nie domyśli się, że to „uszkodzenie ciała” miało związek ze SKOK-iem Wołomin i moją pracą. Może Kwaśniak się gdzieś skaleczył, rozumie pani?

Nie.

– Dzisiaj żałuję, że po zamachu zbyt szybko przerwałem zwolnienie. Lekarze chcieli mnie dłużej trzymać, ale wołałem wrócić do pracy, bo trwały europejskie badania odporności banków – my, jako jedyny kraj w UE, zbadaliśmy to własnym potencjałem inspekcyjnym. Prowadzili je moi inspektorzy, mieli ogłosić wyniki, od tego zależał obraz i zaufanie do polskiego systemu bankowego. Gdybym był mało odpowiedzialnym urzędnikiem, to bym siedział na zwolnieniu. W każdym razie sąd w Szczecinie orzekł, że zatrzymanie nas przez CBA było bezzasadne i prokuratura powinna umorzyć postępowanie.

Ale nie umorzyła. Dlaczego?

– Ano dlatego, że minister Ziobro powiedział do dziennikarzy, że on się nie zgadza z tym wyrokiem i sprawa pójdzie do sądu w Warszawie. A Maciej Wąsik, z-ca koordynatora służb specjalnych, uchylił mi dostęp do informacji tajnych.

Wystąpiliśmy o zadośćuczynienie za zatrzymanie. Przyznano mi 20 tys. zł, ale minister Ziobro złożył kasację do Sądu Najwyższego i czeka na rozstrzygnięcie. Prawnicy ze Stanów mówią mi: gdyby to się wydarzało w USA – chociaż nie mogłoby się wydarzyć – to byśmy się sądzili o miliony dolarów, a ty ile dostałeś? Nie chodzi o pieniądze, ale tak wygląda w praktyce ochrona urzędnika państwa w Polsce. Jeśli ktoś jest ze świata polityki albo ma kolegów polityków, to może liczyć na ochronę i wsparcie, a zwykły urzędnik taki jak ja, który nigdy nie miał żadnych powiązań z polityką, ale się w nią zaplątał swoją pracą, jest sam.

Akt oskarżenia przeciwko nam poszedł do sądu Warszawa-Śródmieście, który odmówił prowadzenia tej sprawy. Ostatecznie proces ruszył we wrześniu 2023 w Sądzie Okręgowym, prowadzi go sędzia Marzena Tomczyk-Zięba, nasz wniosek o skład

wieloosobowy oddalono. Sąd mógł tę sprawę odrzucić, jako że w naszej ocenie nie ma podstaw do jej prowadzenia, ale tak się nie stało.

Ale w tym procesie na ławie oskarżonych siedzi 11 osób, czyli nie tylko wy z Komisji Nadzoru Finansowego?

– Nie. Prokurator Gołuch dołączył jeszcze, czego nie rozumiemy, cztery osoby, które miały powoływać się na wpływy, aby doprowadzić do tego, żeby w SKOK-u Wołomin nie było zarządu komisarycznego. Dwie z tych osób są chyba też objęte zarzutami wyłudzeń środków finansowych ze SKOK-u Wołomin. Trzecia osoba to prawnik Marcin D., czwarta – Przemysław M., kiedyś urzędnik Ministerstwa Finansów, później wiceminister skarbu. Chyba chodzi o wytworzenie atmosfery, że na jednej ławie oskarżonych siedzą i urzędnicy, i osoby jakoś powiązane ze SKOK-iem Wołomin.

My w KNF dostaliśmy SKOK-i do nadzoru z końcem 2012 r. Wcześniej były nadzorowane tylko przez Kasę Krajową SKOK, w której były obowiązkowo zrzeszone, i która zapewniała, że ich sytuacja jest dobra. Na początku 2013 zaczęliśmy nadzór. Na koniec roku już 44 kasy na 55 działających były objęte postępowaniami naprawczymi, a w ponad 20 prowadziliśmy postępowania o ustanowienie zarządu komisarycznego. Zdecydowaliśmy, że stan zagrożenia jest tak duży, że trzeba to zrobić. Pierwsze zarządy komisaryczne były wprowadzone w już 2013 i 2014, następowały pierwsze przejęcia kas przez banki, nieliczne były łączone z silniejszymi kasami. Były też pierwsze upadłości, gdy aktywa nie wystarczały na pokrycie zobowiązań lub gdy kasa traciła trwale płynność.

W dodatku w SKOK-u Wołomin działaliśmy od pewnego momentu wspólnie z prokuraturą. W 2014 zaprosiliśmy do postępowania administracyjnego w sprawie ustanowienia tam zarządu komisarycznego trzech prokuratorów okręgowych: z Warszawy, Białegostoku i Gorzowa. Przystąpili dwaj, prokurator z Warszawy nie wyra-

ził zainteresowania. Prokurator w postępowaniu administracyjnym sprawdza, czy wszystko idzie zgodnie z prawem – żaden z nich nie miał uwag do naszego działania, nie widział ani przewlekłości, ani jakiegokolwiek naruszenia prawa. Czy to oznacza, że ci prokuratorzy byli ze mną w zмовie? A jeśli tak, to dlaczego oni nie siedzą z nami na tej ławie oskarżonych? Mało tego, wszyscy awansowali.

Czym pan to sobie tłumaczy?

– Złożonością interesów ludzi służb specjalnych i ich powiązań z politykami. Chodzi o interesy finansowe, dla których przeszkodą i zagrożeniem były działania moje i KNF. Spośród tylu organów państwa zajmujących się SKOK-iem Wołomin, dlaczego ta grupa przestępcza obawiała się KNF i tylko mnie chciała „unicestwić”?

Jakich służb?

– Do SKOK-u Wołomin przyklejone były osoby ze służb specjalnych jeszcze z lat 80. i nie tylko. Prokuratura z Gorzowa oskarżyła te osoby o wyłudzenia środków finansowych. Ja nie mam takiej wiedzy, jaką ma prokuratura, ale skoro wiadomo, że niektórzy z tych osób były funkcjonariuszami wyższymi stopniem niż Polaszczyk, to powstaje wątpliwość, czy nie było w tym procedurze ważniejszych osób od niego i czy one też nie uczestniczyły w planowaniu zamachu na mnie.

KOPERTY SZŁY DO WIELU OSÓB

Pan wierzy Polaszczykowi?

– Mam bardzo ograniczone zaufanie, ale mówi prawdę o tym, że problem korzystania z funduszy tej kasy jest szerszy i sprawa zamachu na mnie nie dotyczy tylko jego. Bo niby tylko on wszystkim kierował? Przecież tam koperty szły do wielu osób. Od tego są służby państwa, żeby wyjaśnić, czy on był częścią układu, czy sam o wszystkim decydował i kto ostatecznie posiada wyłudzone środki finansowe.

To, że w grupę przestępczą w SKOK-u Wołomin były zaangażowane osoby ze służb specjalnych, pokazał m.in. film „Korzenie zła” braci Sekielskich. Polaszczyk mówił tam o swoich związkach z nimi i politykami, o przekazywaniu im środków finansowych ze SKOK-u Wołomin, nie tylko Jackowi Sasinowi. Zeznał to także przed sądem w 2018 r. Pan Sasin wprawie mówił, że wytoczy Polaszczykowi proces, ale później prokuratura z urzędu postawiła Polaszczykowi zarzuty mówienia nieprawdy i proces ruszył chyba wiosną 2023. Polaszczyk mówił też, że środki ze SKOK-u Wołomin były wykorzystywane przez różne osoby, nie tylko przez niego, do handlu hurtowego narkotykami, przestępstw skarbowych, prania pieniędzy, przestępstw związanych z nieruchomościami itp. Oczekiwał statusu świadka koronnego, ale go nie otrzymał.

A zyski miały iść na co?

– Nie wiem, ja tylko mówię, co on powiedział. Dzisiaj nie budzi wątpliwości, że w działalność SKOK-u Wołomin byli uwikłani ludzie służb i że w bliskich związkach z tym SKOK-iem było wiele osób publicznych. W listopadzie ub. roku w mediach była np. informacja, że prokuratura zatrzymała byłego szefa Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie Zygmunta K., który miał za dłuzżenia w SKOK-u Wołomin. Kiedy zatrzymało mnie CBA wraz z innymi pracownikami KNF, po kilku dniach media ujawniły, że rzecznik CBA sam ma w SKOK-u Wołomin kredyt i od kilku lat go nie spłaca.

Coś w tych zeznaniach i ciemnych sprawach szczególnie pana zaskoczyło?

– Niedługo przed zakończeniem procesu w sprawie zamachu na mnie obrona Polaszczyka nagle wyciągnęła świadka z kapełusa, prezesa GetBacku Konrada K., który siedział długo w areszcie w sprawie śledztwa dotyczącego upadłości GetBacku. Po-

wiedział przed sądem, że w areszcie przypomniał sobie, jak w 2014 słyszał, że to nie strona polityczna związana ze SKOK-ami cieszyła się z napaści na mnie, tylko strona przeciwna. Wskazał wszystkich swoich wrogów. Zadałem mu tylko jedno pytanie: czy to prawda, jak sam powiedział w jednym z wywiadów, że był współpracownikiem CBA. Potwierdził. No to mi wystarczy, jeśli chodzi o wiarygodność tego świadka.

Nie ufa pan nikomu nawet z tych dzisiejszych służb?

– Nie bardzo. Bo np. jeden świadek, który odsiaduje wyrok jako dłużnik SKOK-u Wołomin, zeznał, że w jego spotkaniach z Polaszczykiem uczestniczyli też inni przedstawiciele służb specjalnych. A na pytanie, czy z pieniędzy tego SKOK-u korzystały osoby publiczne i czy je widział w SKOK-u Wołomin, powiedział, że tak, ale nazwisk nie wymieni, bo się boi o życie i chciałby odsiedzieć wyrok do końca.

Wie pani, ja już niczym innym się nie zajmuję, tylko tymi procesami, ale sedno się rozmywa, bo są w to uwikłani pewni wpływowi ludzie. Dlatego Polaszczyk w trakcie procesu odmówił składania wyjaśnień i odpowiedzi na pytania. Wierzył do końca w swoich protektorów i wygląda na to, że się zawiódł, bo dostał wysoki wyrok. A teraz próbuje się ze mnie zrobić przestępcę. Jak mówiła moja żona, oskar-

kę, wybrała projekt, raz tylko mnie przewiozła na budowę, a gdy w 2006 się wprowadziliśmy, przykręciłem dwie półki. Żona wisi na tym portrecie za panią. Wchodzę do domu, wychodzę, zawsze ją widzę. Była bardzo ładna, drobna i zgrabna, codziennie ćwiczyła jogę. Z synem mówiliśmy do niej czasem „dziewczynko”. Ale to ona o wszystkim decydowała. Kiedyś w wywiadzie, gdy zamykaliśmy jakiś bank, zapytano mnie, w którym banku trzymam pieniądze. Powiedziałem: nie wiem, bo u mnie w domu finansami zajmuje się żona, mnie tylko interesuje, czy karta działa. Miała umysł matematyczny, ja mam raczej predyspozycję do spraw prawnych. Jeżeliby pani z nią rozmawiała, to po każdym zdaniu mogłaby powiedzieć, ile w nim było liter. Śmiała się, że to rodzaj manii. Była racjonalna, zadaniowa. Traktuję nasz dom trochę jak muzeum, wszystko ją przypomina. Sam sprzątam, to mnie uspokaja. I książki historyczne, starożytność. Żona żartowała, że tyle ich kupuję, a czy zdążę przeczytać. Chciałbym, żeby te sprawy w końcu się uspokoiły, naprawiłbym sobie wzrok i czytał. Z żoną często chodziliśmy do filharmonii i opery. Po jej śmierci dalej wykupuję abonament na dwie osoby. Jak żona chciała mnie wprawić w dobry humor, to puszczała arię Cavaradossiego z III aktu „Toski” albo Nadira z „Polawiaczy perel”, ona najbardziej lubiła „Madame Butterfly”.

Na pytanie, czy za zamach na mnie osądzeni zostali wszyscy, którzy powinni, odpowiadam: nie

żyli mnie o to, że za późno dałem się pobić. Zniszczyli całe moje życie zawodowe i osobiste. Jakbym naruszył swoim działaniem jakieś klejnoty narodowe. Po co to robiliś – do tego to się sprowadza.

Nawet jeśli proces, w którym jestem teraz oskarżony, zostanie kiedyś pozytywnie zakończony, to czy, jeśli dożyję, ktoś powie mi: dziękuję, przepraszam? Jako nawet nie urzędnik, ale zwykły obywatel, nie mam już zaufania do polskiego wymiaru sprawiedliwości. Czasem w jednym tygodniu miałem sprawy w dwóch sądach, oddalonych od siebie 500 m. W jednej byłem pokrzywdzonym i oskarżycielem posiłkowym, w drugiej jestem oskarżonym, a obie dotyczą SKOK-u Wołomin. Zaatakowali mnie nie tylko bandyci, ale i organy państwa. Czy to normalne w kraju UE? W innych państwach urzędnicy wykonujący nadzór nad rynkiem finansowym korzystają ze specjalnej wzmocnionej ochrony prawnej. Dlaczego tak nie dzieje się w Polsce, mimo że od lat wskazuje na to MFW i Bank Światowy w swoich raportach? Kiedy rozmawiam ze światowymi ludźmi w kraju albo z zagranicy, to nikt nie rozumie, że tak można potraktować swojego urzędnika.

Nie można.

– Dlatego zabieram głos, mimo że to mnie kosztuje dużo zdrowia, frustracji. Już dawno powinienem wyczyścić traumy, a przez 10 lat mi się na to nie pozwala.

CO WIEDZIAŁ MORAWIECKI

Piękny dom, ale nie boi się pan tutaj żyć?

– Już przestałem się bać. Mogą mnie tylko zabić. Jeśli jest jakaś przyszłość, to spotkam się z żoną, ale nie mogę za szybko, bo kazała mi zajmować się synem. Powiedziałem: przecież wiesz, że zawsze robię wszystko tak, jak mi kazałaś.

Dom nie jest duży. Od początku do końca zbudowała go moja żona, ja nie miałem czasu, pracowałem, bo to było w okresie polskiej akcesji do UE. Agata znalazła dział-

ka to, co się z nami stało, winię swoją pracę. Żałuję, że przeżyłem, bo gdyby mnie zabili, to może moja żona by nie zachorowała. Zamach był traumą dla całej naszej rodziny, tylko swojej blisko 90-letniej mamie, kiedy mnie zobaczyła już pozszywanego i wyglądałem jak po operacji plastycznej, powiedziałem, że przewróciłem się na rolkach. Ale jakoś wszyscy z tego koszmaru wychodziliśmy. Natomiast po zatrzymaniu przez CBA w grudniu 2018 trauma wróciła, spotęgowana, bo to państwo robiło nam paskudne rzeczy. Żona straciła poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że stoją za tym grupy przestępcze powiązane z wpływowymi osobami. Kiedy wychodziłem i nie było mnie za długo, od razu dzwoniła. Proszę sobie wyobrazić, co czuła, gdy pan Bierecki – polityk pełniący funkcje publiczne – mówił o mnie, że „nie zawsze biją tego dobrego”. Czyli to ja jestem ten zły, który zasłużył na takie potraktowanie, tak? Moja żona zwróciła się publicznie do Morawieckiego: panie premierze, pan zna mojego męża, niech pan to zatrzyma. Zero reakcji.

Zna go pan?

– Tak jak wielu prezesów banków, które nadzorowaliśmy. Także dzięki mojej akceptacji został prezesem WBK, co było związane z jego doświadczeniem, odbytymi szkoleniami itd. Uczestniczyłem w wielu rozmowach z jego bankiem. Miałem dobrą reputację wśród prezesów w Związku Banków, który zresztą poparł mnie po zatrzymaniu. Morawiecki musiał wiedzieć, że jego bank jest uczciwie traktowany przez nadzór, dlatego kiedy mnie oskarżono, mógł przynajmniej kazać sprawdzić działania ministra sprawiedliwości w swoim rządzie. Mało tego, niedawno w internecie znalazłem rozmowę z kwietnia 2013 nagraną w restauracji Sowa i Przyjaciele z udziałem pana Morawieckiego. Jest tam mowa też o SKOK-ach. Skąd oni dysponowali takimi informacjami, jakie tam padają? Przecież KNF pierwszą informację na temat sytuacji w sektorze SKOK opublikowała w maju 2013.

Jakimi informacjami?

– Każdy może sobie odsłuchiwać. Rozmowa o sektorze SKOK zaczyna się w 7 minucie i 11 sekundzie nagrania. Panowie Morawiecki i Zbigniew Jagiello komentują, że działania nadzorcze KNF wobec SKOK-ów doprowadzą do poważnego zamieszania na rynku, ile tam mniej więcej brakuje środków finansowych i na co idą pieniądze m.in. ze SKOK-u Wołomin.

Na co?

– Na różne inicjatywy w polityce i w mediach, w tym np. na telewizję Republika.

Czyli na propagandę partyjną PiS.

– I o to prokuratura powinna tych panów pytać, miała na to tyle lat – rozmowę ujawniono w 2015, a odbyła się wiosną 2013 r., kiedy Morawiecki był prezesem Banku Zachodniego WBK, a Jagiello – prezesem PKO BP. Przy rozmowie byli też Krzysztof Kilian, ówczesny prezes PGE i jego zastępczyni Bogusława Matuszewska. Dlaczego żadne służby przez ostatnie lata nie spytały Morawieckiego i Jagielly, skąd wtedy wiedzieli, gdzie idą pieniądze z kas, w tym ze SKOK-u Wołomin, i dlaczego nadzór KNF wywołał perturbację i awanturę na rynku.

Kiedy mnie zatrzymano za rzekomo za późno i powolne działania wobec SKOK-u Wołomin, premier Morawiecki nie zrobił nic, mimo apelu mojej żony. Ona widziała,

jak jestem zaszczuwany, martwiła się o bezpieczeństwo syna, nie mieliśmy już ochrony. I nagle w polowie 2021 diagnoza: rak jelit, a nigdy nie chorowała. Lekarze mówili, że przy pewnych skłonnościach przyczyną może być długi, silny stres.

TATA HODOWAŁ PSZCZOŁY

Ona też uważała, że to przez wasze przejścia?

– Kiedyś w szpitalu powiedziała: gdybym wiedziała, że w Polsce zostanie przywrócona praworządność, to chyba bym wyzdrowiała. Ale też prosiła: ty się w ogóle tymi sprawami nie zajmuj, liczy się tylko to, jaką masz opinię u ludzi uczciwych.

Zaczęło się od niestrawności, gorączki. Badania coraz poważniejsze, operacje. Rzadki przypadek. W przeddzień Wigilii lekarz powiedział, że jest bardzo źle. Odżywianie pozajelitowe. I w końcu usłyszałem, żebym załatwiał hospicjum. Nie byłem w stanie podjąć tej decyzji, sama zdecydowała. W hospicjum była tylko siedem dni. Jeździłem do niej wieczorem, nie pozwalała, żebym wychodził z pracy. I tego dnia, 7 marca 2022, postanowiłem pojechać jednak wcześniej. Lekarz powiedział, że jest w śpiączce, ale prawdopodobnie słyszy. Zadzwoń do syna, dałem go na wideo, długo mówił do swojej mamy, że 40 minut. Reagowała na jego głos, próbowała otworzyć oczy, lzy jej leciały. Skończył, przetrzymałem jej twarz, ja coś mówiłem i znowu lzy jej poleciały. Nie minęło 15 minut od telefonu Janka, jak przestała oddychać. Byłem przy niej do końca, tak jak jej kiedyś przysięgałem.

Dla mnie najtrudniejszy nie był ten pierwszy okres, bo tyle formalności, później było coraz gorzej, odczuwa się pustkę. Żyję z dnia na dzień, między pracą, domem i sądami, raz w miesiącu jeżdżę do rodzinnej miejscowości żony pod Wadowcami, gdzie jest jej grób na wzgórzu z pięknym widokiem na Beskidy. Syn do mnie dzwoni codziennie wieczorem, pewnie nie-

długo zadzwoni. Studiował w Wielkiej Brytanii, potem w Holandii, teraz robi doktorat we Włoszech – o populizmie w polityce, po tym, co przeszedł, temat wybrał nie przypadkowy.

A wie pani, że mogłem być ogrodnikiem? Żona żartowała, że mieszkalbym na wsi i blokował drogę Warszawa-Lublin, protestując z rolnikami: jak to jest złe. Skończyłem technikum nukleoniczne w Otwocku, ale chciałem studiować ogrodnictwo na Akademii Rolniczej. Tylko nie miałem w szkole biologii, sam się przygotowałem i nie zdałem. A jadąc na egzaminy, zabłądziłem na wydział zarządzania, gdzie rok później złożyłem papiery. Wybór losu.

Pochodzę z Sobolewa, 80 km od Warszawy. Mój tata był robotnikiem, mama nie pracowała, mam dwóch braci. Tata był obciążony wojną, cudem przeżył, był w Batalionach Chłopskich, a później w AK, za co ci pierwsi chcieli go zabić. Został ciężko pobity, przeżył dzięki temu, że jego bracia byli w BCh. Potem ich wywieziono do gulagu, jednego do Workuty, drugiego gdzieś na teren obecnej Białorusi.

Za co?

– Rosjanie znaleźli u nich po wojnie broń schowaną w gospodarstwie, mój tata uciekł, strzelali do niego, braci zatrzymali i wywieźli chyba na siedem lat. Tata ujawnił się jakiś czas po wojnie, ale nie chciał o tym rozmawiać, może moim braciom coś mówił, ja byłem najmłodszy. Tylko zawsze powtarzał, że trzeba być ostrożnym na wypadek wojny. Mieliśmy mały sad i ule, tata hodował pszczoły.

Pewnie dzisiaj z czym innym się panu kojarzy plaster miodu?

– Znak towarowy SKOK-ów. Ma się kojarzyć z pracowitością, ale pszczoły są różne: królowa matka, pracownice i trutnie. Generalnie SKOK obsługuje tylko swoich członków. Żeby nim zostać, trzeba się zapisać do stowarzyszenia. W przypadku SKOK-u Wołomin to stowarzyszenie początkowo nazywało się Pomoc Bliżniemu im. Matki Teresy z Kalkuty, potem usunięto Matkę Teresę, a Pomoc Bliżniemu zmieniono na Pomoc Bliźniego. Jest różnica.

To pewnie przypadek, że plaster miodu był też znakiem „programowego ula” Prawa i Sprawiedliwości.

– Pszczoła przetworzy wszystko. Miód spadziowy jest z odchodów mszyc – kiedy kwitnie wrzos, sosna czy lipa, to liście aż się kleją od różnych larw, pszczoły to zbierają i przerabiają.

Mój dziadek Franciszek miał przed wojną wielką pasiekę i leczył produktami pszczelimi, był znachorem. Jeszcze 20 lat po jego śmierci przyjeżdżały do nas starsze osoby, że chcą do siebie. Tym dwóm moim stryjom z gulagu dziadek wyleczył produktami pszczelimi choroby skóry czy rany. Tata przy pszczolach pracował bez zabezpieczeń, chodziły po nim, nie atakowały, a on je lubił. Ja przeciwnie, zawsze byłem pożądlony. Wolałem przycinać drzewka i sadzić kwiaty. Mam w telefonie zdjęcie tulipanów, które dałem mojej żonie w ostatnie urodziny w przerwie między szpitalami. Konwalie albo tulipany zawsze pozwalały przełamywać jej zasadniczość.

Ona też skończyła zarządzanie, mieszkaliśmy w jednym akademiku, na Zamenhofa. Ale mało tam bywałem, trenowałem piłkę nożną, byłem środowowym pomocnikiem w klubie Zryw Sobolew. Wyjeżdżałem na weekendy, a w tygodniu w Warszawie stale biegałem. Dopiero pod koniec studiów zostaliśmy parą. Na początku 1989 wyjechalśmy do Norwegii z zamiarem niewracania, byli tam już nasi przyjaciele. Ślub braliśmy w pięknym Stavanger przy jednej butelce alkoholu przywiezionej z Polski. Ja pracowałem w ogrodach, malowałem domy, sprzątałem, żona opiekowała się dziećmi. Po 4 czerwca jednak wróciliśmy, żeby być przy tych wszystkich zmianach, zostawić pierwszy ślad na piasku to wielka sprawa.

Zaczynaliśmy od samego dołu, nie mieliśmy gdzie mieszkać. Znalazłem na uniwersytecie ogłoszenie z ofertą pracy w NBP i zostałem inspektorem ekonomicznym. Szybko awansowałem, aż do generalnego inspektora nadzoru finansowego, potem byłem doradcą prezesów NBP Skrzypka i Belki. Uczestniczyłem we wszystkim, co było związane z rynkiem finansowym i przygotowywaniem Polski do UE. Żona wcześniej niż ja uzyskała stanowiska dyrektorskie na komercyjnym rynku bankowym. Kiedy miała być prezesem banku hipotecznego, mnie zaproponowano w 2011 funkcję wiceprzewodniczącego KNF i dla mnie zrezygnowała z tej prezesury, bo to byłby konflikt interesów. Zarabiałaby dużo więcej niż ja, ale uznała, że moja praca będzie ważna dla państwa. Nigdy nie żałowała, ja tak. Poświęciłem całe życie dla państwa, moja krew została wylana dla tego państwa – a to państwo mnie zdradziło. A dzisiaj prokurator Gołuch – ten, który mnie oskarża, zresztą opisany w raporcie Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia „Królowie życia w prokuraturze ‘dobrej zmiany’” – jest wiceszefem prokuratury w Szczecinie.

Panie Wojciechu, powoli idą zmiany.

– Straciłem zaufanie do prokuratury i nieprędko odzyskam. Coś jeszcze pani powiem: 12 marca 2019, już po zatrzymaniu mnie i moich współpracowników, odbyła się w Sejmie komisja finansów ws. SKOK-u Wołomin i tam prokurator Prokurator Krajowej Janusz Grzyb powiedział, że prowadzone są śledztwa nie tylko przeciwko nam, ale także w sprawie niedopełnienia obowiązków przez prokuratorów, generalnego inspektora informacji finansowej i funkcjonariuszy ABW. Wszyscy oni znacznie wcześniej niż KNF wiedzieli, co się dzieje w SKOK-u Wołomin. Z wiedzy, którą mam z procesu, wynika, że prokurator Grzyb świadomie wprowadzał posłów i opinię publiczną w błąd: takie postępowanie było, ale już pięć miesięcy wcześniej umorzyła je znana prokuratura regionalna w Lublinie. Dlaczego? Wyłania się ponury obraz działań prokuratury.

WSZYSTKO BYŁO FAŁSZOWANE

Prokuratury pod rządami Seremeta i Ziobry?

– Tak jest. Przedstawiciele Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, Apelacyjnej, ABW i CBS od stycznia do kwietnia 2014 odbyli wiele spotkań ws. SKOK-u Wołomin, a 16 kwietnia był zamach na mnie. I oni nie wiedzieli, co tam się dzieje i że moi inspektorzy kończą tam kontrole? Dlaczego aż kilka miesięcy zajęło im zabezpieczenie dokumentacji SKOK-u Wołomin? Takiej niesprawności nigdy nie widziałem! 10 lat prowadzili śledztwo i zastanawiali się, czy wysłać do sądu akt oskarżenia przeciwko członkom zarządu tej kasy za udział w grupie przestępczej i wyrządzenie wielkiej szkody majątkowej. I zrobili to dopiero teraz, po wyborach! A mnie i sześciu urzędników KNF potrafili jednego dnia zgarnąć o 6 rano, zrobić przeszukiwania i wszystkich dowieźć do Szczecina, a potem błyskawicznie przesłać akt oskarżenia. Dlaczego nie potrafiono takich rzeczy zrobić z ludźmi zarządzającymi SKOK-ami?

Minister Ziobro po moim zatrzymaniu powiedział w TVP, że ja przez lata rozzuchwalałem przestępców ze SKOK-u Wołomin. Przez jakie lata? Nadzór nad SKOK-iem Wołomin objęliśmy na początku 2013 r., ok. półtora roku przed wprowadzeniem zarządu komisarycznego, a później upadkiem tego SKOK-u, podczas gdy grupy przestępcza działała tam od 2006. To kto ich przez lata rozzuchwalał? Przecież nie my – nadzorowała ich Kasa Krajowa, wszystkie SKOK- były obligatoryjnie w niej zrzeszone.

Na początku SKOK Wołomin wykazywał nam wysokie zyski, potwierdzane przez dwóch różnych biegłych rewidentów, z cze-

go jeden międzynarodowy. Skąd te zyski? Jak odkryliśmy, tam wszystko było fałszowane, cała dokumentacja, akty notarialne, wyceny, kredyty dostawały osoby podставione, w tym bezdomne, z fałszywą tożsamością, tzw. słupy. KNF to nie jest organ śledczy, nie ma uprawnień, żeby sprawdzać, czy ktoś fałszuje akty notarialne czy inne dokumenty – pracuje tylko na dokumentach udostępnionych przez podmiot nadzorowany. Dopiero w 2014 r. KNF weszła we współpracę z Prokuraturą Okręgową z Gorzowa, skąd dostaliśmy dowody poświadczające, że SKOK Wołomin fałszuje dokumenty, dzięki czemu mogliśmy wydać dalsze decyzje. Nie mogliśmy kierować się samymi podejrzeniami, decyzje KNF są przecież weryfikowane później przez sądy.

Prokuratura twierdzi, że Kasa Krajowa poinformowała was o nieprawidłowościach we wrześniu 2012, a wy zrobiliście kontrolę dopiero od lutego do marca 2013, i z tego powodu SKOK Wołomin upadł.

– To gadanie pod publikę dla kogoś, kto nie zna procedur prawnych, w których się obraca organ publiczny. Przypomnę, że ustawa, która wprowadzała nadzór państwowy nad SKOK-ami, weszła w życie 27 października 2012. Od razu po tym biegli rewidentci przeprowadzili badania sprawozdań finansowych kas. Co ważne: kiedy w 2006 robiono reformę nadzoru w Polsce i tworzone KNF, to jej działalność oparto w pełni na procedurze administracyjnej. Wcześniej nadzór nad bankami był w gestii NBP, gdzie byłem generalnym inspektorem i procedura była elastyczna, mogliśmy w kilka dni wprowadzić zarząd komisaryczny i często w bankach to robiliśmy. NBP ostrzegał, że przejście na pełną procedurę administracyjną spowodni działania nadzorcze. Za rządów PiS minister finansów zainicjował projekt zmiany tych przepisów, ale nie zgodziły się na to Ministerstwo Sprawiedliwości, Kasa Krajowa oraz NIK, twierdząc, że to ograniczy prawa podmiotów nadzorowanych i nadmiernie wzmocni nadzór. A teraz nagle prokuratura mówi: co prawda nie naruszyliście przepisów prawa, ale mogliście działać szybciej! My twierdzimy, że zrobiliśmy to najszybciej, jak było można, według procedury administracyjnej, do przestrzegania której jesteśmy jako KNF zobowiązani.

Jednocześnie władze Kasy Krajowej działały przynajmniej od końca 2008, że tam się źle dzieje, i nic z tym nie robiły. A gdy w 2013 objęliśmy ten SKOK nadzorem, to Kasa Krajowa – obowiązana do współdziałania z KNF – nie składała żadnych wniosków dowodowych mogących przyspieszyć to postępowanie. Nasze działania uważała za zbyt restrykcyjne. Zarząd komisaryczny działał przez miesiąc i zwrócił się do Kasy Krajowej o pomoc finansową dla SKOK-u Wołomin – może gdyby ta pomoc została udzielona, to żaden z członków kasy nie poniósłby strat. Z sobie znanych powodów Kasa Krajowa odmówiła, wiedząc, że w tej sytuacji SKOK Wołomin czeka upadłość. Odpowiedzieli, że nie znaleźli „formuły na udzielenie pomocy”.

W ponad 20 SKOK-ach skierowaliśmy sprawy do prokuratury. Dlaczego przez tyle lat nie osądzono władz tych SKOK-ów, tylko postanowiono ściągać nas. Czytam, że teraz, po wyborach, prokuratura – po 10 latach – skierowała akt oskarżenia w sprawie SKOK-u Wesola w Katowicach i SKOK-u Kujawiak w Bydgoszczy. A kiedy proces się zakończy? Mnie mogli oskarżyć w przyspieszonym tempie, prawda? To pokazuje, z czym mamy do czynienia.

Z czym?

– Ginęły środki finansowe SKOK-u Wołomin i było w to zaangażowanych wiele osób o znaczącej pozycji. Niektórzy powiązani ze służbami specjalnymi. Doszło do zamachu na funkcjonariusza publicznego, który dostał system SKOK-ów do nadzoru. Popatrzymy w słownik: czy to się nie składa na definicję mafii?

Pani, która była zarządcą komisarycznym jednego ze SKOK-ów w Warszawie, w 2015 zniszczyli samochód kijami bejsbolowymi. Dostała ochronę. Wybitny specjalista, którego 4 listopada 2014 wyznaczaliśmy na zarządcę SKOK-u Wołomin, powiedział, że on się tego nie podejmie bez ochrony – i ją dostał, jak wielu innych. Do zarządcy na południu Polski wydzwaniali rosyjskojęzyczni zbójcy i go straszili. Nie będą wszystkich przypadków wymieniał, bo z 55 SKOK-ów na koniec 2022 r. zostało tylko 19. To świadczy o skali problemu.

Musi pani wiedzieć jeszcze jedno: ustanowienie zarządu komisarycznego – co w akcie oskarżenia pada dopiero na trzysta którejś stronie – jest fakultatywne. To KNF decyduje, czy go wprowadzić, czy nie. My je wprowadziliśmy w wielu SKOK-ach, w tym w SKOK Wołomin. Zarzucają nam, że za mało zrobiliśmy. A gdybyśmy w ogóle ich nie wprowadzili?

Może miałby pan spokój?

– Działanie przeciwko nam odwraca uwagę od rzeczywistych sprawców, władz SKOK-u Wołomin, nadzorującej je Kasy Krajowej i od samej prokuratury, bo to jej zadaniem jest zwalczanie przestępczości. Jakoś nie przebiło się do mediów, że oskarżając nas, prokuratura uznała przy okazji za błędny raport ws. realizacji ustaw o spółdzielczych kasach oszczędnościowo-kredytowych, który Sejm przyjął w 2015 r., a którego jeden rozdział poświęcony był SKOK Wołomin.

Jak to błędny?

– Prokuratura widać uważa, że Sejm nie dysponował taką wiedzą o SKOK-u Wołomin, jaką ona ma teraz, bo jej zdaniem bardziej winna jest KNF, niż władze SKOK-u i Kasy Krajowej.

Prokuratura sama oczyszcza władze SKOK-u?

– Dokładnie temu służy akt oskarżenia przeciwko nam. Przyjęto koncepcję niespotykaną w orzecznictwie: to KNF miała zapewnić, żeby SKOK-i były stabilne i wypłacalne, a nie ich władze i właściciele. To jakby zamykać policjantów, bo ich celem jest zwalczanie przestępczości, a przecież do niej dochodzi. Firma oszukała w zeznaniu podatkowym – winny jest urzędnik kontroli skarbowej. To absurd. I zemsta za działania, które KNF prowadziła w stosunku do SKOK-ów.

Czyja?

– Tych, którzy byli zainteresowani wcześniejszym standardem funkcjonowania SKOK-ów.

Grzegorz Bierecki i nieżyjący Adam Jędrliński, którzy od 1990 r. tworzyli SKOK-i, to dobrzy znajomi braci Kaczyńskich.

– Jako urzędnik nie chcę i nie mogę się wypowiadać na tematy polityczne, ani nie wypada mi przypisywać działań państwa tylko do jednej partii. O patologiach, do jakich dochodziło w systemie kas, wielokrotnie pisała dziennikarka Bianka Mikołajewska.

U podstaw SKOK-ów były teoretyczne dobre zasady integrujące ludzi, w USA i wielu państwach afrykańskich ten ruch jest silny. Założenia nośne społecznie: powstaną w Polsce spółdzielnie finansowe, których członkowie będą zarazem ich właścicielami. I będą sobie wzajemnie pomagać, udzielać pożyczek. Uznano, że solidarna więź członków zwiększa bezpieczeństwo i nie ma potrzeby narzucać wyśrubowanych wymagań, dlatego SKOK-i nie muszą stosować takich wskaźników bezpieczeństwa jak np. banki. Zresztą muszę powiedzieć, że w mniejszych SKOK-ach nie mieliśmy krytycznych uwag, one często były prowadzone ostrożnie, ludzie się nawzajem kontrolowali. W większych nadzór właścicielski ze strony członków przestawał działać, co pozwalało jakiejś grupie wywierać nadmierny wpływ na działalność, pojawiały się błędy i sprawy kryminalne.

SKOK Wołomin miał w różnych okresach od 30 tys. do 60 tys. członków, a przez lata kontrolowała go grupa ok. 20 osób, w tym powiązanych ze służbami specjalnymi. Nadzór nad SKOK-iem Wołomin miała tylko Kasa Krajowa, która nie podejmowała skutecznych działań, żeby uporządkować sytuację, ukrócić działania grupy Piotra Polaszczyka. Ludzie wpłacali oszczędności, bo kierowali się wysokim oprocentowaniem, a uprzywilejowana grupa brała te pieniądze na swoje cele, rozdawała kredyty. W ten sposób dużą część środków wyprowadzono na tzw. słupy lub niespłacane kredyty. Ale kto był ostatecznym odbiorcą tych środków? To może powiedzieć Polaszczyk, gdyby tylko chciał.

NIK TEŻ NIE WIDZI, ŻE BYŁ ZAMACH

Kto był odbiorcą?

– Mam nadzieję, że organy prokuratury kiedyś nam to wyjaśnią. Albo komisja śledcza. Część środków wracała dla podtrzymania płynności kasy, Polaszczyk mówił w filmie „Korzenie zła”, że jedna trzecia. W SKOK-u Wołomin wszystko fałszowano, jeśli chodzi o działalność kredytową. Więc jaka jest gwarancja, że prawdziwy był rejestr tych, którzy mieli tam oszczędności? Czy tam nic nie fałszowano? A może za niektórymi depozytami też stały podstawione osoby? Może jacyś ludzie robili sobie ze środków kredytu depozyt? Gdy ustanowiony przez KNF zarządca komisaryczny przestał udzielać nowych kredytów na podejrzane operacje, to zaczęły się problemy z tymi animowanymi sztucznie splatami, rozumie pani?

Nikt tego nie sprawdził?

– Ktoś powinien, ale wątpliwe, że to uczyniono, bo prokuratura wszystkich członków mających w SKOK-u Wołomin oszczędności ponad kwotę gwarancji Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, uczyniła pokrzywdzonymi. Ludzie chcą odzyskać swoje pieniądze – no to pretensje kierują nie do władz SKOK-ów, bo może się boją, że oni działają nieczysto. Łatwiej mówić, że państwo jest winne. Więc prokuratura skierowała te zarzuty przeciwko nam, KNF. Nawet w grudniu 2018 r. zamieścili na stronach Prokuratury Krajowej komunikat, że jeśli zostaniemy skazani, to oznacza, że państwo jest winne, a wtedy państwo wypłaci członkom tej kasy pieniądze, zamiast tych, którzy rządili SKOK. Taki mechanizm.

Jak to możliwe, że władze Krajowej Kasy SKOK-u za nic nie odpowiadają?

– Mało tego, pan Bierecki jest wpływowym senatorem. Nawet gdy z panią o tym rozmawiam, jest to dla mnie frustrujące, znowuż wszystko się przypomina. Prowadzono zakłamaną narrację w sprawie działań KNF, żeby odwrócić uwagę od rzeczywistych sprawców problemów w kasach. Jak zwykły mawiać prof. Balcerowicz, podpalacz ma pretensje do strażaka, że gasi pożar.

W 2017 prezydent Duda odznaczył Grzegorza Biereckiego Krzyżem Wolności i Solidarności.

– No widzi pani, jaki jest zasłużony. Pan Bierecki do dzisiaj nie wyjaśnił, co on zrobił w sprawie grupy przestępczej działającej w SKOK-u Wołomin, którą jako prezes Kasy Krajowej nadzorował. Na pytanie w sądzie o Polaszczyka i o inne osoby związane ze SKOK-iem Wołomin, o których mowa w raporcie z likwidacji WSI, odpowiada, że raport przeczytał zbyt późno, bo dopiero w 2012 r. Wszyscy wiedzieli, kim jest Polaszczyk, tylko jego nadzorca nie wiedział.

Politycy PiS, włącznie z prezydentem Dudą, zawsze bronili SKOK-ów przed nadzorem państwowym.

– Bo taki nadzór ogranicza swobodę działalności. Dlatego wyłączną pieczę nad szeregowymi SKOK-ami miała sprawować tylko Kasa Krajowa. Po 2000 r. SKOK-i zaczęły się bardzo szybko rozwijać i centralizować w duże podmioty, dlatego w 2009 r. Sejm uchwalił, że KNF musi jednak objąć nad nimi kontrolę. Ale ustawę zaskarżył do Trybunału Konstytucyjnego prezydent Lech Kaczyński i weszła w życie dopiero po trzech latach, jesienią 2012. I my na przełomie lutego i marca 2013 przeprowadziliśmy tam kontrolę.

Nagle, tuż przed wejściem w życie tej ustawy zaczęło dochodzić do dziwnych zdarzeń. Na początku października 2012 Grzegorz Bierecki zrezygnował z funkcji prezesa zarządu Kasy Krajowej i został przewodniczącym jej rady nadzorczej, a na początku 2013 z funkcji w zarządzie zrezygnowało dwóch wiceprezów i zostali dyrektorami zarządzającymi. O co chodziło? Ano o to, że zgodnie z przepisami KNF mogła dokonać oceny wyłącznie prezesa i członków zarządu Kasy Krajowej, ale nie miała uprawnień dotyczącej rady nadzorczej lub dyrektorów zarządzających. Czyli KNF siłą rzeczy już nie mogła dokonać oceny tych osób, które wcześniej rządziły.

W tym samym czasie zlikwidowano Fundację na rzecz Polskich Związków Kredytowych, która miała większość udziałów w Kasie Krajowej, w jej władzach siedzieli Bierecki i Jedliński, w radzie kiedyś Lech Kaczyński. A jej pieniądze, ponad 65 mln zł, poszły na konto prywatnej firmy braci Biereckich i Jedlińskiego. I tu też wkroczyła KNF.

– Fundację utworzono w 1990 dzięki środkom, które były darem od organizacji amerykańskiej. Przez lata pomnożyła te środki, ściśle współpracując ze SKOK-ami – do 2012 miała prawa członka Kasy Krajowej i kontrolowała jej działalność. W owym czasie jej prezesem był Bierecki, tak samo jak prezesem Kasy Krajowej. Przed wejściem SKOK-ów pod nadzór państwowy podjęto decyzję o jej likwidacji i o sposobie zadysponowania pieniędzmi. KNF miała jednak wątpliwości co do tej transakcji. Uważała, że chociaż część tych środków powinna być przeznaczona na ratowanie kas będących w trudnej sytuacji. Przewodniczący Jakubiak w 2015 przekazał informację o tym do premier Kopacz i ABW. To się przedostało do mediów.

Senator Bierecki wskazywał, że o sposobie zadysponowania tych środków decydował darczyńca amerykański. KNF nie mogła tego sprawdzić, bo nie nadzorowała tej fundacji. Rozumiem, że prokuratura to zweryfikowała, bo sprawę umorzyła.

Po wygranych przez PiS wyborach. Za to wszczęto śledztwo w sprawie przecieku do prasy.

– Ono obejmowało także KNF, bo utrzymywano, że to my byliśmy źródłem informacji, a tak nie było. Z jakiego źródła to wypłynęło publicznie, tego KNF nie wie do tej pory.

Ostatnio Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport z kontroli SKOK-u Wołomin – po tylu latach! Nie stwierdziła żadnego naruszenia prawa ze strony KNF przy nadzorowaniu tego SKOK-u i odstąpiła od wydania zaleceń pokontrolnych, co oznacza, że nie mają uwag. Ale mimo to NIK uznał, że mogliśmy działać szybciej. KNF na to odpowiedziała, jak należało – totalnie odrzuciła takie stanowisko NIK, wskazując m.in., że NIK prowadził kontrolę tyle czasu, co KNF w przeszłości postępowanie w sprawie zarządu komisarycznego. Po drugie, to KNF decyduje o tym, jakiego instrumentu nadzoru użyć, zarządu komisarycznego nie ma obowiązku wprowadzać, a my go wprowadziliśmy. Ale jest dla mnie przykre, że ani w stanowisku NIK, ani obecnej KNF nie ma słowa o tym, że w czasie kontroli SKOK-u Wołomin doszło do zamachu na mnie ja-

ko tego przewodniczącego KNF, który ten podmiot kontrolował i wysyłał do niego inspektorów nadzoru na kontrole. To się zaskakująco komponuje – prokuratura, stawiając mi zarzuty, wpraw w ogóle nie widzi, że był na mnie zamach, później NIK tego nie widzi, a nawet obecna KNF o tym zapomina. Interesujące byłoby zapytać szefa NIK i tych, którzy za tę kontrolę byli odpowiedzialni, o ich doświadczenie w stosowaniu procedury administracyjnej oraz o ich związki z polityką i innymi kwestiami dotyczącymi spółdzielczości.

Dlaczego chcę komisji śledczej? Bo nie mam nic do ukrycia. W sprawie SKOK-u Wołomin i wielu innych kas KNF działała bardzo transparentnie – stąd wynikała nasza skuteczność. Utrzymywały się dziesiątki naszych decyzji skarżonych do sądów, bo oparte były one na przestrzeganiu prawa i procedur administracyjnych. Żaden znany mi nadzór w Europie nie poświęciłby tak dużo uwagi tak małym instytucjom finansowym.

Prokuratura przez te lata robiła wszystko, żeby sprawę prowadzić przewlekłe i zatrzymać na poziomie podstawowym, nie sięgać wyżej. Zarówno w sprawie zamachu na mnie, jak i działalności niektórych SKOK-ów. Bo to dotyczyło wielu osób publicznych oraz służb specjalnych. Miarą porządnego państwa jest wyjaśnienie tych związków. Czy ja, urzędnik, którego chciano zabić za to, że nadzorował SKOK-i, nie zasługuję na to, żeby wyjaśnić tę sprawę bez precedensu w historii 30 lat wolnej Polski? Chcę tylko ujawnienia prawdy, nie chcę już w życiu niczego więcej. ●

Wojciech Kwaśniak

● (1962) – Były zastępca Przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego (2011-17). Członek m.in. Grupy ds. Standardów Nadzoru przy Bazylejskim Komitecie Nadzoru Bankowego. Były generalny inspektor nadzoru bankowego (2000-07). Doradca prezesów NBP (2007-11). Obecnie doradca w Departamencie Stabilności Finansowej NBP. Otrzymał m.in. Odznakę Honorową Prezesa NBP za zasługi dla bankowości RP i Złoty Krzyż Zasługi za wybitne zasługi dla rozwoju systemu finansowego w Polsce. W zeszłym roku Europejski Kongres Finansowy przyznał mu tytuł honorowy „Zasłużony dla zrównoważonego i stabilnego rozwoju polskiego systemu finansowego” m.in. za to, że polski nadzór bankowy pod jego kierownictwem był uważany za jeden z najlepszych w UE.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34300403

wyborcza.pl



GŁOSUJĘ NA MIASTO,
NA REGION, NA EUROPE

Zagłosuj na
LISTĘ PRZEBÓJÓW KPO
w swoim mieście i regionie

WYBORCZA.PL/GLOSUJ

REKLAMA

PARTNERZY GŁÓWNI:







PARTNERZY:









































Born in the USA

W Teksasie ostrzygą Jezusa

Przyszłość Ameryki wisi na włosku

Jarkowiec



Dawno, dawno temu, gdy mieliśmy z kuzynem po naście lat, nad świątecznym stołem oświadczyliśmy całej rodzinie, że zapuszczamy włosy. Sprzeciw ojców, matek i ciotek był kategoryczny: „Po naszych trupach”. Starszy kuzyn miał jednak w zanadrzu argument, który wygłosił uroczystym tonem, odsunawszy talerz z karpem: „Jezus też miał długie włosy”. Zapadła martwa cisza. Dwa lata później wyglądaliśmy jak prawdziwi metale.

W Teksasie tak tani chwyt nie przejdzie. Nie dlatego, że uczeni w historii chrześcijaństwa Teksasie czycy wiedzą, iż długowłosość Chrystusa jest jedynie spekulacją pierwszych twórców jego podobizny powielanej później przez dwa tysiąclecia. Raczej dlatego, że włosy były i pozostają polem bitwy w wojnie kulturowej, jaką konserwatyści, odkąd pamięć sięga, toczą ze zdrowym rozsądkiem.

Darryl George, uczeń trzeciej klasy publicznego liceum w mieście Mont Belvieu, od kilku miesięcy nie chodzi do szkoły z powodu dredów. Od szkolnych władz dostał ultimatum: fryzjer albo zawieszenie. Na jego argument, że dredy są częścią kulturowej tożsamości, dyrekcja odpowiedziała wzruszeniem ramion. Gdy pierwsze, miesięczne zawieszenie się skończyło, Darryl wrócił do szkoły w dredach i po kilku dniach znów został usunięty. W tym tygodniu decyzję dyrekcji podtrzymał sąd stanowy. Sprawa rozbudziła emocje w całym kraju. Teraz o przyszłości włosów i edukacji Darryla zdecyduje sąd federalny.

Długa jest historia za długich włosów w Ameryce. Niewolników strzyżono na jeża, żeby wyglądali na cywilizowanych i nie roznosili robaków. Jeśli chodzi o czarne kobiety, Luizjana w 1786 roku wprowadziła przepis pozwalający im na długie włosy tylko pod warunkiem, że przykryją je chustką. W odpowiedzi wiele demonstracyjnie ubierało chusty w jaskrawych kolorach.

Dzieci z rdzennych narodów zwężone przymusowo do szkół z internatami, gdzie zgodnie ze słowami założyciela pierwszej z nich miano „zabić w nich Indianina, aby ocalić człowieka”, strzyżono równo i krótko – tak samo chłopców jak dziewczynki.

Gdy w latach 60. nadciągnęła obywatelska rewolucja, Afroamerykanie demonstrowali tożsamość z pomocą etnicznych fryzur. Wkrótce afro stało się znakiem Czarnych Panter i ruchu Black Power, a dla konserwatystów – symbolem napaści na stare, dobre wartości białej Ameryki. W tym samym czasie wojownicy z Ruchu Amerykańskich Indian walczący o równouprawnie-



• **Darryl George wraca do szkoły po tygodniowym zawieszeniu za odmowę ścięcia dredów. Matka podnosi go na duchu, bo nastolatek za karę będzie miał lekcje indywidualne i boli go, że nie może uczestniczyć w życiu szkoły, zwłaszcza w zajęciach sportowych** FOT. MICHAEL WYKE / AP PHOTO/EAST NEWS

nie rdzennych społeczności, zapuszczali długie włosy i pletli je w warkocze. Pewien „obrońca tradycji” straszyl w telewizji, że będzie im je ośbiście obcinał.

Długie włosy nosili też hippisi, którzy nie chcieli ginąć za demokrację w dżunglach Wietnamu. W muskalu „Hair” uciekali przed poborem a gdy jeden trafił na fotel golarza, na widok nożyczek kilkadziesiąt razy wyrzeszczał „Nie!”, po czym z innym długowłosymi zaśpiewał o włosach kultową piosenkę. W kontrkulturowym hicie „Swobodny jeździec” prawdziwi Amerykanie z Południa z długowłosymi się nie patyczkowali – rozwalali ich strzałami z myśliwskich strzelb.

Współcześnie dredy (co do pochodzenia których toczy się spór – wymyślili je rastafarianie z Jamajki lub wojownicy Mau Mau z Kenii) i inne antyamerykańskie fryzury w konserwatywnych regionach kraju mogą być powodem zwolnienia z pracy albo wydalenia ze szkoły. Nieraz trzeba dokonywać dramatycznych wyborów. W 2018 r. 16-letni Andrew Johnson w czasie zawodów zapaśniczych minutę przed walką usłyszał od sęd-

ziego, że albo obetnie dredy, albo zostanie zdyskwalifikowany. Trenerka chwyciła za nożyczki. Andrew wygrał starcie, ale schodził z maty ze łzami w oczach.

Nagranie przymusowego strzyżenia w kilka godzin obejrzało w internecie dziesięć milionów ludzi. Media doniosły, że wcześniej chłopak stoczył ponad dwadzieścia walk z taką samą fryzurą i żaden sędzia nie widział w tym problemu. Ten, który zakwestionował dredy – jak się okazało – miał na koncie karę za rasistowskie obrażanie innego sędziego.

Sprawa Johnsona doprowadziła do powstania koalicji organizacji obywatelskich zabiegających o prawo do ochrony włosów. Jako pierwsza ustawę zwaną CROWN Act (od: Creating a Respectful and Open World for Natural Hair) w 2019 r. przyjęła Kalifornia. Dziś przepisy zakazujące dyskryminacji ze względu na fryzurę obowiązują w ponad 20 stanach. Kiedyś, gdy niernormatywnie owłosiona osoba zwolniona z pracy bądź wyrzucona z drużyny sportowej albo ze szkoły wnosila sprawę do sądu, z reguły przegrywała. Każda organizacja ma prawo określać to, jak wyglądają jej członkowie – orzekano. Teraz CROWN Act stoi na straży wolności włosów.

We wrześniu ustawę przyjął również Teksas. Mimo to Darryl George został zawieszony, gdy odmówił obcięcia dredów. Władze okręgu szkolnego w Mont Belvieu stwierdziły, że CROWN Act odnosi się do etnicznych fryzur, ale nie mówi nic o długości włosów. Dredy Darryla nachodzą na uszy, czego – w przypadku chłopców – zakazuje szkolny regulamin. Chłopak protestował: dredy skrócone do regulaminowej długości

nie będą już prawdziwymi dredami. Sąd stanowy stanął po stronie okręgu. Rodzina się odwołała i w kolejnej instancji wypowie się sąd federalny.

Czy sprawa włosów Derryla dojdzie aż do sądu najwyższego? Liczy na to Greg Poole, szef okręgu szkolnego w Mont Belvieu: „Niedawno sąd najwyższy zdecydował, że akcja afirmatywna [m.in. promująca czarnych w rekrutacji na studia, co miało wyrównywać szanse] jest niezgodna z konstytucją. Wierzę, że kiedyś sąd tak samo orzeknie w kwestii CROWN Act”. Swoją wypowiedź Greg Poole pokazuje, że pozornie błahy spór jest w istocie śmiertelnie poważny. Tu nie chodzi o włosy, tylko o obronę starych, dobrych wartości białej Ameryki. ●

Maciej Jarkowiec



„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-e-seistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl.

A już wkrótce ukazuje się książka Macieja Jarkowca o Hollywood

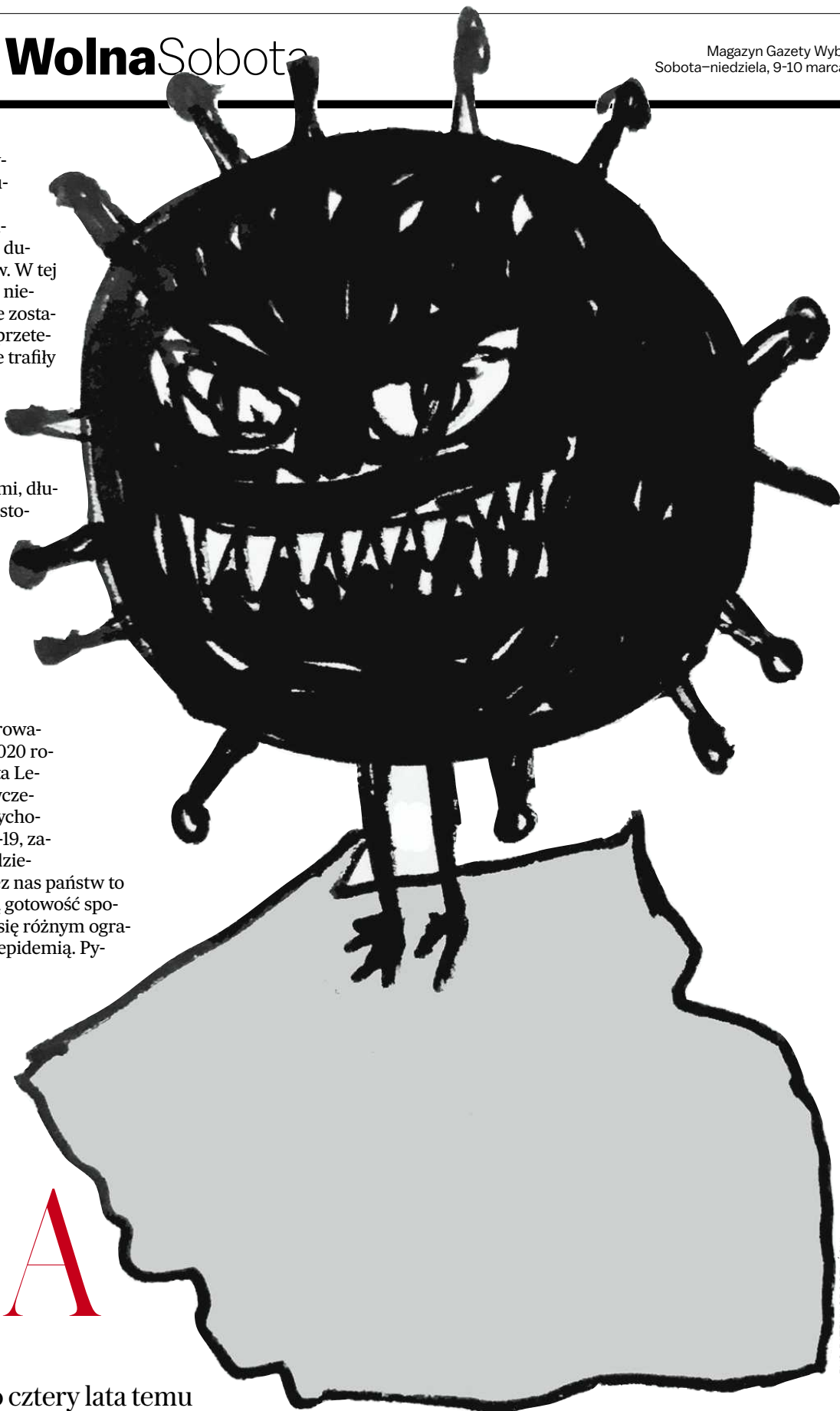
Michał Bilewicz

Do to dwadzieścia tysięcy ludzi. Miasto wielkości Walbrzycha albo Kalisza. Warszawa, z której nagle, w dwa lata znikają wszyscy mieszkańcy Żoliborza i Pragi. Skala tragedii, z jaką Polacy zmierzli się w czasie epidemii COVID-19, nie została jeszcze dobrze opisana. Tak jak w czasie katastrofy pod Smoleńskiem ludzie mieli świadomość, że stracili ważne dla siebie postaci sceny politycznej – tak od 2020 roku tracili najbliższych, ludzi, z którymi dopiero co rozmawiali.

W październiku 2020 roku pracowaliśmy nad opinią Komitetu Psychologii PAN w pewnej ważnej społecznie sprawie. Jeden z kolegów, znakomity profesor KUL, człowiek wysportowany i silny, skończył swój mail, przepraszając, że tak późno odpisuje, bo wstał po całonocnej walce z wysoką gorączką. Dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że nie żyje. W maju 2022 roku cieszyliśmy się z kolegą z Uniwersytetu Massachusetts ze wspólnego artykułu o roli zaufania w czasach epidemii, który właśnie przyjęto do publikacji w renomowanym czasopiśmie. Kolega wspominał o kolejnych artykułach, które teraz powinniśmy napisać na podstawie zgromadzonych danych. Kilka miesięcy później dostałem informację od jego współpracownika, że Berni zmarł na COVID-19. Miał trzydzieści dziewięć lat.

jednak zgodni, że to głównie epidemia koronawirusa, a dokładniej niski poziom zaszczepienia populacji przyczynił się do tak dużej śmiertelności Polaków. W tej grupie znalazły się osoby niezdiagnozowane, które nie zostały wystarczająco szybko przetestowane, oraz takie, które trafiły z powodu innych chorób do przeciążonych szpitali. Karetki, które długo woziły pacjentów pomiędzy przepełnionymi oddziałami covidowymi, długie kolejki do punktów testowania. COVID-19 stanowił swoisty test wydolności systemu opieki zdrowotnej. Ale nie tylko. Stanowił też test odporności na kryzysy polskiego społeczeństwa. I o tym wiele mówi psychologia społeczna.

W badaniach, które prowadziliśmy późną wiosną 2020 roku z zespołem Bernhardta Leidnera, wspomnianego wcześniej amerykańskiego psychologa zmarłego na COVID-19, zauważyliśmy, że spośród dwiętnastu badanych przez nas państw to w Polsce widać najniższą gotowość społeczeństwa do poddania się różnym ograniczeniom związanym z epidemią. Py-



RYS. PATRYK SRODZYŃSKI

PS

Po epidemii COVID-19

NIEOPOWIEDZIANA TRAUMA

„Zamknąć Śląsk, do cholery!!!” – żądano równo cztery lata temu

Zapewne wielu czytelników straciło również swoich krewnych, przyjaciół, blizszych bądź dalszych znajomych...

Czy rzeczywiście zrobiliśmy wszystko, by choroba nie zabrała nam tak wielu bliskich i znajomych? Czy nasze państwo zadziałało? Czy gdybyśmy inaczej żyli i inaczej się zachowali w czasie pandemii, to ofiar byłoby mniej? W Polsce rozedrganą kolejnymi kryzysami, kampaniami wyborczymi, wojną z wschodnią granicą, zabrakło poważnej refleksji na ten temat. A jest o czym mówić. Pod koniec 2022 roku w sieci krążyła grafika opracowana na podstawie danych OECD, z której wynikało, że w Polsce mieliśmy w czasie epidemii najwięcej nadmiarowych zgonów (ponad 6 tysięcy na milion mieszkańców). Wprawdzie statystyki te były niepełne – brakowało informacji z kilku tygodni dla niektórych państw – ale z dostępnych danych OECD wyłania się jasny obraz: Polska należy do grupy trzech państw europejskich, gdzie odnotowano najwięcej nadmiarowych zgonów w latach 2020–2022. W tej niechlubnej czołówce znajdują się z nami Bułgaria i Rumunia. Liczba nadmiarowych zgonów przeliczanych na milion mieszkańców w Belgii, Hiszpanii czy Szwecji była ponad dwukrotnie niższa.

POGLĄDY A SZCZEPIONKA

Oczywiście nadmiarowe zgony w tym okresie to nie tylko COVID-19. Lekarze są

taliśmy badanych, czy myją przez ponad 20 sekund ręce wodą z mydłem po kontaktach z ludźmi; czy starają się utrzymywać dystans ponad dwóch metrów od innego człowieka w miejscach publicznych i czy rezygnują z podróży, gdy nie są one absolutną koniecznością. Zauważyliśmy też, że ze wszystkich badanych państw, to w Polsce niechęć do działań ograniczających rozprzestrzenianie się wirusa była najsilniej związana z nieufnością do naukowców i lekarzy. Polacy nie słuchali wskazań ministra zdrowia, głównego inspektora sanitarnego, nie wierzyli uczonym przekonującym do izolacji społecznej i lekarzom sugerującym regularne testowanie się, bo nie wierzyli, że ci ludzie faktycznie troszczą się o dobro zwykłych obywateli.

Tak dramatyczny przebieg epidemii COVID-19 wynikał w dużej mierze z braku zaufania, typowego dla historycznie traumatyzowanych społeczeństw. A zaufanie i – czasem nawet nieco ślepe – posłuszeństwo wobec władzy w sytuacjach poważnego zagrożenia może być niezwykle ważne. Bardzo szybko okazało się, że pomimo dostępności szczepionki opartej na RNA, Polacy niezbyt chętnie po nią sięgali. Postanowiliśmy zbadać, kim są ludzie niechętni szczepieniom, a co cechuje ludzi gotowych do szczepień. Ogromną rolę odgrywały w tym, jak się okazało, przekonania polityczne. I to nie te najbardziej oczywiste – jak prawicowość, lewicowość, konserwatyzm czy liberalizm. Chodziło raczej

o autorytaryzm, czyli przekonanie, że władzy należy ufać i słuchać jej nakazów. Ten światopogląd oczywiście jest częstszy na prawicy, choć nie na całej. Wielu zadeklarowanych prawicowców twierdzi bowiem, że państwo nie powinno się wtrącać do ich życia, politycy mają zagwarantować bezpieczeństwo na ulicach, a ich nadmierne ingerencje są raczej zgubne. W czasie epidemii paradoksalnie to osoby o poglądach prawicowo-autorytarnych były najbardziej gotowe do przyjęcia szczepionki przeciw COVID-19. Polacy wyznający inny typ myślenia prawicowego, czyli „wolność Tomku w swoim domku”, byli najbardziej podejrzliwi wobec szczepień. I to oni prawdopodobnie odpowiadają za wiele nadmiarowych zgonów w czasie epidemii.

ANTYSZCZEPIONKOWCY NA PIECHOTĘ

Władza miała zresztą świadomość, że duża część ich wyborców nie ufa takim nakazom i nie pozwoli sobie niczego narzucić. Pewnego dnia mój kolega, również psycholog społeczny, piastujący wówczas eksponowaną pozycję w rządzie i w dużej mierze odpowiedzialny za działania przeciwdziałające rozwojowi pandemii, zaprosił mnie do swojego biura, by omówić badania o politycznych przesłankach niechęci do szczepień. Z tych badań można było jasno wywieść strategię, jaką należało zasto-

sować, by przekonać antyszczepionkowców. Wiemy bowiem, że ultrawolnościowcy światopogląd jest też powiązany z obsesją ciągłej rywalizacji i chęcią bycia na szczycie drabiny społecznej. Jeśli tak jest, to gdyby powiązać szczepienia z pewnymi ograniczeniami (na przykład: nie przyjmiesz szczepionki, to nie wejdiesz do kina, restauracji czy metra), wówczas można by przekonać nawet najbardziej zatwardziałego zwolennika antyszczepionkowych teorii spiskowych. Bo ci ludzie nie byłiby w stanie wytrzymać braku dostępu do pewnych usług – gdy inni, zaszczepieni, obywatele mogliby z nich korzystać. Kolega popatrzył na mnie i zaczął pukać się w czoło. „Przecież jak my wprowadzimy takie ograniczenia, to oni nas zjedzą i od razu pójdą głosować na inne partie”, odpowiedział. Wtedy zrozumiałem, że nawet partia mająca rzekomo pełnię władzy w Polsce, nie potrafi być sprawcza i zdecydowana w takich sytuacjach. Nawet wtedy, gdy stawka jest życie obywateli. Dlaczego więc ludzie mieliby tej władzy zaufać?

Nie ufając władzy, naukowcom i lekarzom, większość ludzi zachowywała się tak, jakby epidemii wcale nie było. Wiadziałem to bardzo wyraźnie we wrześniu 2021 roku, gdy kilka dni spędziłem w niemieckiej Ratybnie. Już pierwszego dnia w Niemczech uderzyło mnie, że na przystankach, stojąc na świeżym powietrzu, wszyscy ludzie mieli usta zakryte maskami. Jak się okazało, nie było wówczas ta-

kiego nakazu. Był to rodzaj odruchowego posłuszeństwa wobec sugestii lekarzy i naukowców, nawet przy braku jakichkolwiek kar. W restauracjach nie było kart z daniami, tylko skanowało się kody QR nadrukowane na stole. To wszystko były drobne rzeczy, ale dawały one ogólne wrażenie, że ludzie robią co się da, by zminimalizować ryzyko transmisji wirusa. Po powrocie do Polski zobaczyłem tłumy ludzi bez masek w miejscach publicznych, w środkach transportu ludzi w maseczkach niezakrywających nawet nosa, by wygodniej było oddychać. „Idziemy na rekord zachorowań”, pomyślałem.

BÓG ŻADNYCH WIRUSÓW
NIE ROZPRZESTRZENIA

Moje obserwacje Sulejówka i Ratyzbony oddawały też to, co widzieliśmy w badaniach. Epidemia COVID-19 rozpoczęła się, gdy byliśmy w trakcie realizowania długiego polsko-niemieckiego badania panelowego. Pierwszy pomiar w ramach tego badania przeprowadziliśmy we wrześniu 2019, na pół roku przed pandemią. Drugi zaś w marcu 2020 roku, gdy wirus już dotarł do Polski i Niemiec. W marcu wirus był jeszcze czymś nieznanym, niepokojącym. Chcieliśmy sprawdzić, czy poczucie zagrożenia koronawirusem będzie się przekładało na jakieś zmiany przekonań Polaków i Niemców. Niemcy, którzy uznali, że wirus stanowi poważne zagrożenie dla ich życia i zdrowia, zaczęli jeszcze bardziej ufać swoim władzom. Wzrosło u nich to, co psychologia nazywa autorytarnym posłuszeństwem – przekonanie, że rząd ma zawsze rację, że należy słuchać ekspertów i oddać władzom część swojej wolności. U Polaków nic takiego nie miało miejsca. Polacy, którzy poczuli się zagrożeni nowym wirusem, zareagowali wzrostem agresji, ale i tego, co psychologia społeczna nazywa autorytarnym konwencjonalizmem. Zwrócili się ku starym, sprawdzonym sposobom zachowania, utrwalonym zwyczajom, zaczęli przejmować się tradycjami. Można powiedzieć, że w Polsce „jak trwoga – to do Boga”. Skoro państwo nie wzbudza zaufania, pozostaje tylko religia, zwyczaje, tradycje. A w czasie epidemii nie był to najlepszy pomysł. Przypomnijmy choćby wystąpienie znanego księdza, profesora katolickiej uczelni, który w Telewizji Trwam przekonywał, że w kościele nic ludziom nie grozi: „Podczas spotkania sakramentalnego, czyli przyjścia na modlitwę, Bóg żadnych wirusów nie rozprzestrzeni. (...) Niektórzy

się obawiali, że kapłan, który koncelebruje mszę i udziela komunii do ust, może zarażać. Kapłan ma po pierwsze konsekrowane dłonie, po drugie kapłan jako jedyna osoba w zgromadzeniu liturgicznym ma umywane dłonie przy Lavabo, czyli przy ofiarowaniu darów dla Boga”. Niestety takie postawy nie były w Kościele rzadkie, a w wyniku nacisku na władze publiczne – pomimo zamknięcia wielu instytucji publicznych, w kościołach nadal odbywały się obrzędy liturgiczne, choć z ograniczoną liczbą uczestników.

Niemcy, w przeciwieństwie do Polaków, zaufali swojemu państwu i służbie zdrowia. Widoczne to było w badaniach prowadzonych w kolejnych miesiącach. Zapytani w badaniu YouGov, czy ich rząd dobrze radzi sobie z pandemią, zdecydowana większość Niemców odpowiedziała twierdząco – od 68% do aż 80% w badaniach realizowanych w maju i czerwcu 2020 roku. Tylko nieliczni Polacy ufali, że rząd dobrze radzi sobie z zagrożeniami COVID-19: w maju i czerwcu od 36% do 44% wyraziło się z aprobatą o działaniach rządu. Gdy po roku pandemii w badaniach Eurobarometru Komisja Europejska postanowiła zbadać zaufanie do rządu, parlamentu i samorządów, Polacy i Niemcy znów znaleźli się na przeciwległych krańcach. Nawet wtedy, w środku pandemii, połowa Niemców zadeklarowała, że ufa swojemu rządowi, 51% mówiło, że ufa posłom Bundestagu, a aż 75% zaświadczyło, że ufa samorządowi. W Polsce? Tylko co czwarty badany deklarował zaufanie do rządu i parlamentu, a 54% oświadczyło, że ufa władzom samorządowym.

HANYSY, JAK WIADOMO,
NIE LUBIĄ MYĆ RĄK

Znamienna była też reakcja Polaków w początkowym okresie pandemii. Gdy w Polsce pojawiły się pierwsze wypadki osób zarażonych wirusem COVID-19, reakcje przypominały nieco to, co dało się zaobserwować w pierwszych dniach po katastrofie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. Ludzie, zwykle bardzo zatomizowani, zamknięci w swoich domach przed telewizorami, komputerami i smartfonami, nagle zaczęli się aktywnie wspierać. To zresztą właśnie w mediach społecznościowych powstała niezwykła inicjatywa „wizualnej ręki”. Na początku była to grupa znajomych, którzy pomagali sobie w czasie kwarantanny. Gdy ktoś nie mógł wychodzić z domu, inni przynosili mu zaku-

■
*Nauczeni historycznymi
doświadczeniami
nie potrafimy zaufać
władzom, naukowcom,
lekarzom*

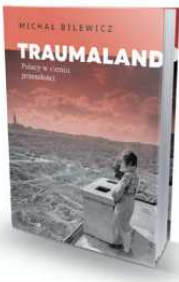
py, wychodzili z psem. Powstał „kryzysowy rynek zleceń” dla ludzi, którzy stracili możliwość zarobkowania w czasie pandemii. Czasem zwykli ludzie starali się pomagać najstarszym osobom, które nie radziły sobie z pandemiczną sytuacją.

Ten okres wspólnoty nie trwał jednak długo. Wkrótce zaczęły napływać informacje o napaściach na osoby pochodzące z Azji Wschodniej – rzekomo odpowiedzialne za rozprzestrzenianie wirusa. W Łukowie na Lubelszczyźnie grupa nastoletnich chłopców zaczęła wyzywać i rzucać kamieniami w kobietę z Wietnamu wracającą do domu z pracy. Światowa Organizacja Zdrowia alarmowała, że na świecie pojawia się stygmatyzacja grup mniejszościowych związana z epidemią COVID-19. Od Egiptu po Stany Zjednoczone obserwowano napaści na Chińczyków i inne narodowości Azji Wschodniej. W Polsce dotyczyło to również innych grup mniejszościowych i ludzi z konkretnych regionów kraju, których badaliśmy wtedy wspólnie z zespołem prof. Justyny Olko. Na Śląsku, gdzie w pierwszym okresie epidemii zaobserwowano większą liczbę zachorowań, o czym chętnie rozpiszywały się żądne sensacji media, aż dwie trzecie mieszkańców twierdziło, że Polacy traktują ich jako zagrożenie i obwiniają za rozprzestrzenianie się wirusa. W internecie pojawiła się fala antyśląskiego hejtu. Bartłumiej Wanot odnotował wiele takich przykładów: „Wszystko przez pierdolonych węglajadów”, „Śląskość to nienormalność”, „Hanysy, jak wiadomo, nie lubią myć rąk (...)”, dlatego hanyski Śląsk choruje, a pobliskie wyższe kulturowo i cywilizacyjnie Zagłębie ma znikomą ilość przypadków”, „Zamknąć Śląsk, do cholery!!!” „Otoczyć ich murem, czołgi na ulice i pilnować, żeby żaden hanys nie uciekł”...

Z czasem doszły do tego teorie spiskowe przedstawiające samą epidemię jako wymysł skorumpowanych medyków i naukowców („plandemia”), sugerujące, że ma ona służyć władzom do inwigilacji społeczeństw i ograniczenia wolności, w końcu

– najbardziej rozpowszechnione – dotyczące szczepionek i ich rzekomo ukrywanej szkodliwości. Z jednej strony za tymi teoriami kryła się potrzeba nieograniczonej wolności, szczególnie dojmująca w czasie rozmaitych obostrzeń związanych z pandemią. Z drugiej zaś strony teorie spiskowe napędzało poczucie braku kontroli i bezradności. Coraz więcej ludzi traciło możliwość utrzymania się, upadały przedsiębiorstwa, całe grupy zawodowe zaczęły się obawiać o swoją przyszłość. To było idealne podglebie dla teorii spiskowych. Badania zespołu Tomasza Oleksego dowiodły, że Polacy odczuwający bezradność w czasie epidemii zaczęli wierzyć, że epidemia to fikcja służąca realizacji interesów jakichś mrocznych sił i rządów, co w efekcie przekładało się na niechęć do nakładania maseczki ochronnej czy utrzymywania dystansu. Zwolennicy teorii spiskowych, pomimo że podważali samą epidemię, to jednak domagali się powstrzymania jakichkolwiek migracji, twierdząc, że mogą one zagrażać zdrowiu Polaków. Brzmi to dość nielogicznie, lecz w myśleniu spiskowym trudno doszukiwać się logiki. Sytuacja bezradności i braku kontroli nad własnym życiem wepchnęła znaczną część Polaków w szpony teorii spiskowych. Te zaś utrudniły skuteczną walkę z epidemicznym zagrożeniem.

Spółeczeństwa historycznie traumatyzowane często nie radzą sobie z kryzysami. Historie wojen, okupacji, ludobójstw długofalowo osłabiają zdolność do konfrontowania się z zagrożeniami. Nauczeni historycznymi doświadczeniami nie potrafimy zaufać władzom, naukowcom, lekarzom. Teorie spiskowe zastępują wiedzę naukową, a to tylko przekłada się na jeszcze większą traumatyzację społeczeństwa. Epidemia koronawirusa, która nawiedziła Polskę równo cztery lata temu, jest nadal nieopowiedzianą traumą – nie mamy jej zapisów na kartach literatury, nie odnajdziemy jej w filmach i serialach. A szkoda. Tylko jeśli dobrze zrozumiemy, co wtedy zawiódło, staniemy się bardziej odporni na podobne kryzysy w przyszłości. ●



Fragment książki „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości”, która ukaże się 7 marca nakładem wydawnictwa Mando

OŚWIADCZENIE PŁATNE

Kraj/34306100



Ostatnie chwile w życiu naszych podopiecznych są niezwykle ważne. Pomóż o nie zadbać!

PRZEKAŻ 1,5%

z miłości do ostatnich chwil!

KRS 0000 328837

www.hospicjumeliasz.pl/1procent/

ANDRZEJ DZIĘGA SZCZECIN

ITo najświeższy przykład. Arcybiskup ogłosił, że odchodzi na wcześniejszą emeryturę. Kilka dni później Nuncjatura Apostolska doprecyzowała, że „decyzje związane z odejściem abp. Andrzeja Dziegi z urzędu arcybiskupa metropolity szczecińsko-kamieńskiego zostały podjęte w następstwie dochodzenia prowadzonego z ramienia Stolicy Apostolskiej w sprawie zarządzania diecezją, a w szczególności zaniedbań, o których mowa w dokumencie papieskim »Vos estis lux mundi«”.

W przywołanym dokumencie doprecyzowano proces zgłaszania do Stolicy Apostolskiej przypadków złamania prawa przez biskupów. Sprawy tuszowania przypadków pedofilii przez hierarchów mogą zgłaszać księża i świeccy. Następnie sprawę bada Watykan i teoretycznie w ciągu 90 dni od zgłoszenia ma zapisać wyrok. Wiadomo jednak, że młyny sprawiedliwości za Spizową Bramą miały powoli.

Przeciwko Dziędze toczyły się dwa procesy kanoniczne. Jeden dotyczył okresu, gdy hierarcha był biskupem sandomierskim (2002-09). Akta tej sprawy trafiły do Watykanu już w grudniu 2021 r. Druga sprawa dotyczyła ks. Andrzeja Drymera, jednego z najbardziej znanych księży w Szczecinie, który miał się dopuścić wielu przestępstw na tle seksualnym. Był przez wiele lat chroniony przez Dzięgę.

SŁAWOJ LESZEK GŁÓDŹ GDAŃSK

2Jeden z najbardziej znanych polskich biskupów, twórca Ordynariatu Polowego Wojska Polski po zmianach ustrojowych w 1989 r. Przez wiele lat kierował diecezją warszawsko-praską, a następnie gdańską, gdzie zastąpił popularnego i lubianego abp. Tadeusza Gocłowskiego.

W roku 2010 ks. Mirosław Bużan został skazany za molestowanie i rozpijanie 15-letniej dziewczynki. Gdy sprawa była już znana arcybiskupowi, powołał księdza do prestiżowej kapituły. Pozbawił go co prawda funkcji proboszcza, ale pozwolił zamieszkać przy ośrodku dla dzieci w Żarnowcu. Opinia publiczna poznała również sprawę księdza Michała L., który został prawomocnie skazany za gwałt na 17-letniej dziewczynie. Głódź przenosił go kilkakrotnie do innych parafii, rodzina nastolatki twierdziła, że został powiadomiony o czynach księdza. W sądzie Głódź zasłaniał się niepamięcią.

Do tego dochodzi historia ks. prałata Andrzeja Czerwińskiego z Gdyni, który został uznany za winnego „złamania szóstego przykazania z osobą nieletnią” i wydalony ze stanu kapłańskiego. Głódź miał zamykać sprawę pod dywan.

Stolica Apostolska nakazała metropolie zamieszczać poza archidiecezją, zakazała uczestniczenia w publicznych celebracjach i spotkaniach na jej terenie, a także zobowiązała do wpłaty na rzecz Fundacji św. Józefa na przeciwdziałanie nadużyciom seksualnym i wsparcie ofiar. Stracił również honorowe obywatelstwo w trzech miastach. Biskup wielokrotnie szokował wiernych, pojawiając się na publicznych uroczystościach, chociażby na otwarciu Mierzei Wiślanej czy na jubileuszu bp. Antoniego Pacyfika Dydyca.

Głódź pobiera miesięcznie 20 tys. zł emerytury.

HENRYK GULBINOWICZ WROCŁAW

3Człowiek legenda. W PRL-u wspierał opozycję antykomunistyczną, był niezwykle popularnym biskupem, nie tylko we Wrocławiu, ale też w całej Polsce. Na 10 dni przed śmiercią Watykan pozbawił go prawa używania insygniów biskupich oraz przywileju pochówku w katedrze.

Arcybiskup w 2005 r. osobiście poręczył w prokuraturze za byłego ks. Pawła Kanię. Mężczyzna został zatrzymany na gorącym uczynku, gdy proponował seks oralny dwóm nieletnim chłopcom. Znalaziono przy nim prezerwatywy, a na plebanii całą masę dziecięcej pornografii. Jedyną karą, jaką go spotkała, było przeniesienie do innych parafii. W „Wyborczej” opisaliśmy również sprawę z końca lat 80., kiedy zrobiło się głośno o wykorzystywaniu dzieci na wrocławskim Nowym Dworze. Gulbinowicz osobiście pojawił się w parafii, by podziękować księdzu za posługę. Ks. Piotr M. został zatrzymany dopiero w 2019 r., gdy na jaw wyszło, że molestował niepełnosprawne intelektualnie dziewczynki.

Arcybiskup pojawił się także na dożynkach w Pszenniu tuż po tym, jak w 2002 r. miejscowy ksiądz Edward P. został skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu na cztery lata za molestowanie dwóch 14-letnich ministrantów. Towarzyszył mu bp Edward Janiak, który z ks. Edwardem znalazł się z czasów seminarium.

Gulbinowicz również został oskarżony o molestowanie. W maju 2019 r. Przemysław Kowalczyk opowiedział „Wyborczej” o wydarzeniach z 1990 r. Jako seminarzysta został wysłany do wrocławskiej kurii po korespondencję. Nie była jeszcze gotowa, więc poproszono go, by został na noc. – Miałem kłaść się spać, kiedy bez pukania wszedł kardynał Henryk Gulbinowicz. Był ubrany po cywilnemu, ale od razu go poznałem. Kardynał był legendą. Jak wszedł do pokoju, szybko zakryłem się koldrą, bo miałem na sobie tylko majtki. On spytał, jak mi się podoba w seminarium, czy mam kłopoty z nauką, a potem przysiadł się do mnie, włożył rękę pod koldrę i zaczął masować mi penis. To trwało kilka minut, po czym kardynał po prostu wyszedł – relacjonował Kowalczyk. Sprawa stała się podstawą do ukarania Gulbinowicza.

JAN TYRAWA BYDGOSZCZ

4„W następstwie formalnych zgłoszeń, Stolica Apostolska przeprowadziła postępowanie dotyczące sygnalizowanych zaniedbań biskupa bydgoskiego Jana Tyrawy w sprawach o nadużycia seksualne wobec osób małoletnich ze strony niektórych księży pracujących w diecezji bydgoskiej. Po zakończeniu tego postępowania, mając na uwadze również inne trudności w zarządzaniu diecezją, biskup bydgoski złożył rezygnację z pełnienia swojej posługi, przyjętą przez Ojca Świętego” – ogłosiła w maju 2021 r. Watykan.

Tyrawa był bliskim współpracownikiem Gulbinowicza, a także jednym z negatywnych bohaterów filmu Tomasza Sekielskiego. Biskup zgodził się na przeniesienie do swej diecezji Pawła Kani, który w 2006 r. trafił do jednej z bydgoskich parafii, gdzie został opiekunem ministrantów, w gimnazjum pracował jako katecheta. Sąd, który badał sprawę, jednoznacznie orzekł, że bp Jan Tyrawa doskonale wiedział o skłonnościach pedofilskich ks. Kani.

MARIAN GOŁĘBIEWSKI WROCŁAW

5Sprawę księdza Kani miał tuszować również abp Marian Gołębiewski. Kierował wrocławską kurią, gdy ta wspólnie z bydgoską uzgadniały, jak przykryć skandal z zatrzymaniem księdza przez policję w 2005 r. Wówczas znaleziono przy nim dziecięcą pornografię.

Do tego doszła historia z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, którą Gołębiewski kierował w latach 1996–2004. W tym czasie Zbigniew R., były proboszcz parafii św. Wojciecha w Kołobrzegu, skrzywdził chłopca. W 2012 r. został skazany na dwa lata więzienia m.in. za doprowadzenie 12-latka do czynności seksualnych.

Gołębiewski dostał m.in. zakaz uczestniczenia we wszelkich uroczystościach publicznych. I nic sobie z tego nie zrobił. W ubiegłym roku pojawił się na ingresie biskupa w Gliwicach, a w 2021 r. widziano go na uroczystości wręczenia doktoratu honoris causa księdzu Fernandowi Ocárizowi Brañie, prałatowi Opus Dei. W auli Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu zasiadł w pierwszym rzędzie. Dzień później wziął udział w konferencji naukowej na temat 50-lecia stabilizacji polskich struktur Kościoła na Ziemiach Zachodnich.

EDWARD JANIAK KALISZ

6Bp Edward Janiak przez lata chronił pedofila ks. Arkadiusza Hajdasza, co ujawnili w filmie „Zabawa w chowanego” bracia Sekielscy. Biskup wiedział o jego skłonnościach co najmniej od 2016 r., wówczas odwiedzili kurię rodzice jednej z ofiar. Janiak szybko uciął rozmowę. Przez trzy lata nie powiadomił Watykanu ani prokuratury. Po ujawnieniu skandalu sprawę zgłosił do Stolicy Apostolskiej prymas Polski abp Wojciech Polak.

Hierarcha sam złożył na ręce papieża dymisję, a potem Watykan obłożył go karami. Dostał nakaz zamieszkania poza diecezją kaliską, zakaz uczestniczenia w publicznych celebracjach religijnych lub



NIESPRAWI

Polski Kościół jest ewentualnie
rzadko się zdarza, żeby w tak krótkim czasie

Arkadiusz Gruszczyński

Papież Franciszek poważnie podchodzi do tuszowania pedofilii wśród księży. Główną rolę odgrywają biskupi, którzy rekrutowali liczbą w Polsce została ukarana za krycie pedofilów w sutannach. Abp Andrzej Dzięga nie jest ostatni. Sprawdzamy, kto już pożegnał się ze stanowiskiem.

Już za pontyfikatu Jana Pawła II pojawiły się pierwsze, choć rzadko rejestrowane, przepisy. Ich cel był jeden: o wszystkich księżach pedofilach miał dowiadywać się

Watykan. Kolejni papieże zaostrzyli prawo kościelne. W tym momencie surowe kary – łącznie z wydaleniem z kapłaństwa – są powszechną praktyką Państwa Kościelnego. Franciszek mówi wprost, że w centrum zainteresowania Kościoła jest ofiara, a nie oprawca w sutannie.

Jeden z księży opowiadał o swoim biskupie: – Widać, że jest przestraszony nową sytuacją, ponieważ był wychowywany przez starą gwardię, która kryła swoich i wszystkie problemy załatwiała w zaciszu kurii. Starsi biskupi wolili przerzucić winę na oskarżonego przez wierznych o molestowanie seksualne czy pedofilię do innej parafii albo umieścić go w domu księży



EDLIWYCH

mentem na skalę świata:
czasie Watykan ukarał aż tyłu hierarchów

emerytów. Nie wszczynano żadnej procedury.

Ksiądz dodaje, że nowe pokolenie biskupów postępuje inaczej. – Kiedy tylko pojawia się cień podejrzenia, natychmiast zgłaszają sprawę do Watykanu. Wiedzą, że od tego zależy ich kariera w Kościele. Choć starsi księża w moim dekanacie nadal są skłonni chronić kolegów, jeśli ich wikary zostaną złapany na nieobyczajnym zachowaniu, to wysyła się go na urlop, a kuria nic nie wie, aż do czasu dziennikarskiego śledztwa czy protestu wiernych.

Do reform jednak doszło. W każdej diecezji pracuje delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży. Młodszy biskupi odrobili lekcję i zgłaszają wiele przypadków przestępstw na tle seksualnym.

Polski Kościół jest ewenementem na skalę świata: rzadko się zdarza, żeby w tak krótkim czasie aż tylu hierarchów zostało ukaranych przez Watykan.

Spójrzmy, kto pożegnał się z przywilejami i władzą. Na liście znajdziemy biskupów z każdego zakątka kraju. Można wyróżnić jedną, szczególną grupę hierarchów związanych z kard. Henrykiem Gulbinowiczem, którzy przetrucali między diecezjami księdza pedofila. Inną grupę stanowią ci biskupi, którzy – mimo kar nałożonych przez Watykan – nadal pojawiają się na publicznych uroczystościach organizowanych przez Kościół. Nie umieściliśmy tych hierarchów, wobec których Stolica Apostolska umorzyła postępowania. ●

spotkaniach świeckich na terenie diecezji oraz nakaz wpłaty z osobistych funduszy odpowiedniej sumy na rzecz Fundacji św. Józefa. Biskup zmarł we wrześniu 2021 r., kilka miesięcy po papieskiej decyzji.

WIKTOR SKWOREC TARNÓW

Biskup tarnowski został oskarżony przez pięcioletniego nieprawidłowości (nie tylko nadużycia seksualne, ale też zamiatanie pod dywan współpracy duchownych z komunistyczną bezpieką) ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego o przeniesienie za granicę podlegającego mu księdza pedofila Stanisława P. Jak informowały media, Isakowicz-Zaleski zwrócił się do abp. Marka Jędraszewskiego, aby przekazał Kongregacji ds. Biskupów prośbę o wyjaśnienie tej sprawy.

9 lipca 2021 r. Watykan poinformował o zakończeniu dochodzenia. Skworec złożył rezygnację z członkostwa w Radzie Stałej KEP oraz z funkcji przewodniczącego Komisji ds. Duszpasterstwa KEP, uprzedzając tym samym decyzję Franciszka. Zobowiązał się też wesprzeć z prywatnych środków wydatki diecezji tarnowskiej związane ze sprawami wykorzystania seksualnego.

Skworec „nie widział niestosowności” w tym, by rok później, „jakby nigdy nic organizować w katowickim NOSPR obchody własnych 75. urodzin, 25-lecie sakry biskupiej i 50. rocznicę święceń kapłańskich”, pisał na naszych łamach Jarosław Makowski. Arcybiskup kierował diecezją aż do połowy maja ubiegłego roku, kiedy zastąpił go abp Adrian Galbas.

TADEUSZ RAKOCZY BIELSKO-BIAŁA

Biskup Rakoczy miał dwa razy spotkać się z molestowanym w dzieciństwie ministrantem. Pierwszy raz na początku lat 90. Nie podjął działań, ten sam ksiądz wykorzystał kolejne dziecko. W 2021 r. Watykan ukarał Rakoczego zakazem uczestniczenia w jakichkolwiek celebracjach lub spotkaniach publicznych oraz w zebraniach plenarnych episkopatu, nakazem prowadzenia życia w duchu pokuty i modlitwy oraz nakazał wpłatę na rzecz Fundacji Świętego Józefa.

„Przez ponad dwadzieścia lat musiałem znosić jego widok za ołtarzem. Dla lokalnej społeczności był autorytetem, kimś, z którego zdaniem liczą się wszyscy, którego pytają o radę” – pisał Janusz Szymik, ofiara ks. Jana Wodniaka. „Zgwałcił mnie kilkakrotnie. Ale tak naprawdę to tylko jedna ze stacji mojej drogi krzyżowej. Jestem wrakiem człowieka. Wykryto u mnie nowotwór i nie mam już być może zbyt wiele czasu. Chciałbym jednak doczekać jeszcze sprawiedliwości wobec popełnionych przestępstw”. Szymik zgłosił się do bp. Rakoczego w 1993 r. Ten zbagatelizował sprawę.

STEFAN REGMUNT ZIELONA GÓRA

W mojej rodzinnej diecezji biskup musiał przejść na wcześniejszą emeryturę. Stefan Regmunt, który kierował diecezją zielonogórsko-gorzowską, nie zareagował na oskarżenie o pedofilię dwóch księży. Jeden z kapłanów był ekonomem w seminarium w Paradyżu i proboszczem w Witnicy. Ofiara spotkała się z Regmuntem. – Obiecał, że załatwi sprawę jak należy. Jakiś czas później napisał, że z punktu widzenia prawa kościelnego sprawa jest przedawniona i księdzu „przysługuje domniemanie niewinności”. I nigdy więcej się nie skontaktował.

Po dochodzeniu Stolica Apostolska zakazała bp. Regmuntowi uczestniczenia w spotkaniach publicznych na terenie diecezji, udziału w gremiach Episkopatu i „finansowe uczestnictwo” – z prywatnych środków – w wydatkach diecezji związanych z przeciwdziałaniem wykorzystaniu seksualnemu małoletnich.

Jak donosiła „Rzeczpospolita”, Regmunt wbrew postanowieniom Watykanu pozostawał członkiem Komisji Rewizyjnej KEP oraz Komisji Nadzorczej Caritas Polska. W ubiegłym roku jako były ordynariusz zielonogórsko-gorzowski został odznaczony przez biskupa połowego Wiesława Lechowicza medalem Milito Pro Christo. Ordynariat Połowy WP przyznaje go osobom, „które dają świadectwo najwyższymi wartościami”.

STANISŁAW NAPIERAŁA KALISZ

Był poprzednikiem Edwarda Jania. Państwowa Komisja ds. Pedofilii uważa, że złamał prawo, ponieważ nie powiadomił prokuratury o czynach pedofilskich ks. Arkadiusza Hajdasza. Dowiedział się od nich od matki jednej z ofiar już w 2003 lub 2004 r.

Jak pisali poznańscy dziennikarze „Wyborczej”, Napierała może być pierwszym polskim hierarchą, któremu prokuratura postawi zarzuty zatajenia informacji o kościelnej pedofilii. „Na zarzut biskup Napierała nigdy nie odpowiedział. Dziennikarze próbowali go o to pytać w 2020 roku, gdy udzielał święceń przyszłym kapłanom. Odmówił jednak rozmowy i zalecił modlitwę. O tuszowanie kościelnej pedofilii oskarżyła go pod imieniem i nazwiskiem Ewa Hurna, matka Andrzeja Hurnego, molestowanego w dzieciństwie przez księdza Hajdasza”.

Watykan zalecił Napierale wpłacenie według uznania – z prywatnych środków – odpowiedniej sumy na rzecz Fundacji Świętego Józefa” oraz „nieobecność na publicznych celebracjach lub wydarzeniach”.

ZBIGNIEW KIERNIKOWSKI LEGNICA

W 2004 r. w diecezji siedleckiej, którą kierował wówczas bp Zbigniew Kiernikowski, doszło do molestowania uczennic na lekcjach religii przez proboszcza wsi Połoski Zbigniewa Sz. Proboszcz został aresztowany. Biskup poręczył za niego i zaproponował „umieszczenie księdza w jednym z miejsc, gdzie byłby pod kontrolą kurii biskupiej i do dyspozycji prokuratury i sądu”. Kiedy Kiernikowski przeniósł się do Legnicy, wybuchł kolejny skandal. Proboszcz z Ruszowa molestował dwie niepełnosprawne dziewczynki. Kiedy został aresztowany, rzecznik kurii umył ręce mówiąc, że Kościół nie jest w tej sprawie stroną.

Watykan standardowo zakazał oskarżonemu biskupowi uczestniczenia w publicznych uroczystościach i wpłatę prywatnych pieniędzy na pomoc ofiarom księży pedofilów.

HENRYK TOMASIK RADOM

Dwa lata temu informowaliśmy, że emerytowany biskup radomski Henryk Tomasiak został ukarany za ukrywanie pedofilii w diecezji radomskiej. Taką wiadomość otrzymały osoby pokrzywdzone przez księdza Stanisława S. Stolica Apostolska uznała, że biskup jest winny niezgłoszenia przypadków pedofilii w diecezji. Kara: trzyletni zakaz odprawiania mszy i uczestniczenia w publicznych uroczystościach na terenie diecezji radomskiej.

Sprawa dotyczyła byłego kapelana „Solidarności”, wychowawcy młodzieży i harcerza. Byli wychowankowie – ministranci i harcerze w wieku od 9 do 12 lat – oskarżyli księdza o molestowanie na biwakach, obozach, wycieczkach oraz w pokoju księdza na plebanii. Jeden z pokrzywdzonych spotkał się z biskupem. W trakcie spotkania w 2013 r. sporządzono raport, który jednak nigdy nie trafił do Watykanu.

Episkopat ani Nuncjatura Apostolska nigdy nie potwierdziły doniesień w sprawie Tomasika. Od 2021 r. nie kieruje on jednak diecezją radomską.

GRZEGORZ KASZAK SOSNOWIEC

Przykład bp. Grzegorza Kaszaka jest wyjątkowy, ponieważ w jego sprawie nie toczyło się ani jedno postępowanie. Hierarcha zrezygnował, kiedy opinia publiczna dowiedziała się o orgii zorganizowanej w plebanii bazyliki Najświętszej Maryi Panny Anielskiej w Dąbrowie Górniczej. Kilku księży zorganizowało imprezę, na którą zamówili męską prostytutkę. Mężczyzna zasłabł, a księża nie chcieli wpuścić na teren Kościoła służby medycznej.

Ks. Isakowicz-Zaleski mówił, że rezygnacja nie była inicjatywą biskupa Kaszaka. – Moim zdaniem to Watykan o nią poprosił. Zgodnie z prawem kanonicznym Stolica Apostolska może się zwrócić do biskupa, by złożył rezygnację.

Po raz pierwszy w Polsce za pontyfikatu Franciszka doszło w ten sposób do odwołania biskupa ze względów obyczajowych. ●

FOT. REUTERS/REMO CASILLI, CEZARY ASZKIEWICZ, MICHAŁ RYŃIAK, TYMONI MARKOWSKI, MICHAŁ LEPECKI, TOMASZ FRITZ, SEBASTIAN RZEPIEL, ADAM STEPIEN, DAWID CHALIMONUK / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Groby zabitych przez Iskandera jeszcze nie porosły trawą

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZAPL(G)

TEŻ TU MOGLĄM LEŻEĆ

Sierotami już się zaopiekowaliśmy, teraz trzeba odkryć, kto doniósł Rosjanom

Agata Kondzińska, Roman Imielski

Bramą do Grozy jest cmentarz. Przed wojną niewielki, teraz poszerza granice. Tuż przy wjeździe do wsi, świeże groby widać już z daleka. Kopce z ziemi jeszcze nie pozarastały. Mienia się niebiesko-żółtymi barwami ukraińskiej flagi. Na każdym data: 5 października 2023. Tego dnia Rosjanie posłali Iskandera na lokalną kawiarnię. Zginęło 59 osób: całe rodziny, matki, żony, mężowie, córki, synowie, dziadkowie...

Dina Nosowa od grudnia jest starościna, wybrali ją ludzie. Zastąpiła 60-letniego Aleksandra Niewczoloda, jedną z ofiar ataku. – Długo nie mogliśmy w zgłiszczach znaleźć potwierdzenia, że tam był. Domyślaliśmy się jedynie, bo obok stał jego samochód. Dopiero po badaniach DNA, udało się. Do trumny włożyliśmy w sumie 20 szczątków jego ciała – opowiada.

Przed tragedią zajmowała się dokumentami w lokalnej administracji. – Też mogłam tu leżeć – zasępiła się. Trzy godziny przed atakiem wyjechała ze wsi. Po drodze spotkała młodą mieszkankę Grozy, była elegancka, powiedziała jej, że ładnie wygląda, tak świeżo. – To grób tej dziewczyny – wskazuje na jeden z ponad 50 kopców. Hanna Czukało, młoda szatynka z wesoły-

mi oczami. – Usłyszałam wybuch, ale pomyślałam, że to gdzieś daleko. Zadzwoiła znajoma. Plakała, mówiła, że stała się straszna tragedia. Natychmiast przyjechałam.

Na ziemi leżały pierwsze białe worki. Obok zrozpaczeni bliscy.

OFIARY

5 października miał być dla wsi świętem, choć to może zabrzmieć dziwnie: tego dnia w Grozie chowano 49-letniego Andrija Kozyra. Był to jego drugi pogrzeb.

Przed laty razem z synem Denisem wyjechali do Polski, do pracy. Wrócili po inwazji Putina na Ukrainę, zaciągnąć się do woj-ska. Jeszcze w tym samym roku Andrij zginął w walkach na Dniepropietrowszczyźnie i tam go pochowano. Rodzina nie mogła sprowadzić ciała do wsi, bo do września 2022 r. było pod okupacją.

Ale gdy Rosjan przepędzono, żona i syn zdecydowali, że Andrij Kozyr wróci do Grozy. Że pochowają go raz jeszcze tu, gdzie mieszka jego rodzina, gdzie się wychował i każdego znał. Na pogrzeb przyszło kilkudziesięciu mieszkańców, spotkali się w centrum wsi. W marnej lokalnej kawiarni, która przez ścianę graniczyła z małym sklepem, chcieli oddać hołd mężowi, ojcu i teściowi, krewnemu, sąsiadowi.

O 13:24 przyleciał Iskander, który może przenieść nawet 720 kg ładunku wybuchowego. I już nie było sklepu ani kawiarni, tylko gruz. Wybuch uszkodził też sąsiedni budynek z punktem felczersko-akuszerskim. Stoi tak do dziś, na drzewie obok zawisł kawał blachy. Nikt go nie ściąga, bo i po co?

W ataku zginęła żona Andrija Kozyra, jego syn Denis i synowa. Zginęła cała rodzina

sąsiadów, została tylko 6-letnia dziewczynka. Większość ofiar to kobiety.

– To byli bardzo wartościowi ludzie, patrioci, najbardziej zaangażowani w życie gromady, którzy nie ugięli się w czasie rasy-stowskiej okupacji – podkreśla Serhij Starikow, naczelnik wojaskowej administracji okręgu Szewczenkowe. Stoimy na miejscu tragedii, gruzu już nie ma, jest za to świeżo wylany fundament. Starikow: – Tu będzie pomnik poświęcony ofiarom tragedii. Zginął co piąty mieszkaniec, bo w chwili ataku w Grozie żyły 282 osoby.

ZDRADA

Starikow, Nosowa i mieszkańcy wsi są pewni: to był zaplanowany atak przeprowadzony z wielką precyzją. Rosjanie wystrzelili Iskandera z okolic Białogrodu, jakieś 100 km na północ od Grozy. Balistyczny pocisk może lecieć ponad 7 tys. km na godz. i manewrować tak, że bardzo trudno go zestrzelić.

To Iskanderami, które można wyposażyć w głowicę nuklearną, od lat Rosja straszyla Polskę, rozmieszczając je w obwodzie królewieckim. – Ktoś nas wydał Rosjanom, powiedział, że mieszkańcy się zgromadzą w Grozie – przekonuje Starikow.

– Kto? – Nie wiem. Może jest wśród nas, może jest już w Rosji, może na zachodzie Europy.

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy ustaliła, że za atakiem stoi dwóch braci Mamonów: 30-letni Władimir i 23-letni Dmitrij. W trakcie okupacji przeszli na stronę Rosjan i z nimi uciekli jesienią 2022 r., gdy ukraińska armia przeprowadziła na Charkowszczyźnie kontrofensywę. SBU uważa, że Mamonowie stworzyli siatkę wywiadowczą i zbierali informacje o pochówkach żołnierzy, na które schodzą się ich koledzy z wojska. Chodzą-

ło o to, by zabić jak najwięcej wojskowych, osłabić ich morale.

– Ale tu nie było wojskowych, byli pokojowi cywilni ludzie – podkreśla Dina Nosowa. A mieszkańcy, którzy przyszedli się z nami spotkać, to potwierdzają. Wyliczają: to była moja żona, to mój syn, córka, wnuk... – Straciłam całą rodzinę. Męża, córkę, syna, wnuka. Bardzo trudno żyć po takiej tragedii – Walentyna Kozyr ociera łzy.

SBU oskarżyła Mamonów zaocznie o zdradę, a prokuratura wszczęła w ich sprawie śledztwo. Ale wciąż nie wiadomo, kto doniósł Mamonom, być może mieszka przez plot.

GROBY

Pochówki zaczęły się szybko, już 7 października. Pomogła administracja, dała traktor i koparkę.

Kopce ziemi rosły szybko, a z nimi wracały emocje.

11 października na cmentarz przyjechała trumna 8-letniego Iwana Kozyra. Pochowano go pośród ojca, ciotki i dziadka. Kozyr to popularne we wsi nazwisko.

Kilka osób pogrzebano w pobliskim Szewczenkowe oraz okolicznych wioskach. W Grozie groby kopano przez dwa tygodnie, trwały jeszcze badania DNA szczątków ofiar.

Dziś drewniane krzyże zdobi napis „wieczna pamięć” i zdjęcia zabitych. Dina Nosowa prowadzi nas od mogiły do mogiły, uważnie omija błoto. Tu też zima już odpuściła. W nocy jeszcze temperatury spadają poniżej zera, ale potem sięgają nawet 9 stopni. Ziemia jest miękka jak gąbka i lepka. – Nawet pan nie wie, jak strasznie było to wszystko oglądać... Przychodzili ludzie i mówili, to moja trumna, a ta wasza, to moi, a to



• 1 marca, mieszkańcy Grozy odbierają paczki ufundowane przez czytelników „Wyborczej”



• Plac zabaw obok miejsca, gdzie uderzyła rosyjska rakietą, zabijając 59 osób, w tym dziecko. 14 innych zostało sierotami



• Okolice Białopola, niespełna 12 kilometrów od granicy z Rosją. Po trafieniu rosyjską rakietą pali się miejscowość przy trasie, którą jechaliśmy z pomocą humanitarną



• Wrak czołgu przy drodze Kupiańsk-Charków, pozostałość po zeszłorocznej ukraińskiej kontrofensywie

wasi. O, a tu, rodzina Muchowatych leży: żona, syn, synowa – pokazuje Dina Nosowa. W oddali dudnią wybuchy. 30 km dalej jest Kupiańsk, gdzie trwają ciężkie walki.

SIEROTY

14 sierotami zaopiekowali się najbliżsi: czasami dziadkowie, czasami wujostwo. Wołodmyr Muchowaty, starszy ogorzały mężczyzna, na cmentarzu pochował najbliższych. Dwójką dzieci po synu zajęli się dziadkowie od strony synowej. – Co mam powiedzieć? Ciężko jest – wzdycha. Lubow Kozyr, czarnowłosa kobieta w średnim wieku, zaopiekowała się trójką dzieci siostry: 17, 16 i 10 lat. – Na początku było bardzo ciężko, ale życie toczy się dalej, coś możemy zrobić? – pyta Lubow Kozyr. Po ataku Iskanderem nikt nie chciał wsi opuścić. Dzieci też nie chcą wyjechać. – Starsza uczy się online w szkole w Charkowie, pozostałe na miejscu – tłumaczy Lubow.

5 października 2023 roku Rosjanie posłali Iskandera na lokalną kawiarnię. O 13:24 zginęły całe rodziny, matki, żony, mężowie, córki, synowie, dziadkowie. Zostało 14 osieroconych dzieci

Nikt tu nie załatwiał papierów na opiekę nad dziećmi. Mieszkańcy podzielili się, kto które dziecko bierze. Najwięcej obowiązków spadło na krewnych.

POMOC

Wieś jest biedna, jak wiele na wschodzie Ukrainy. Spod błota gdzieniegdzie wyzierają resztki asfaltu. Najwięcej jest jednak dziur. Nie ma już kawiarni ani sklepu, uszkodzony jest punkt felczersko-akuszerskiego. Ale przetrwała klubokawiarnia z drewnianym wychodkiem na zewnątrz i styropianową deską sedesową. To tu podjeżdżamy z pomocą humanitarną, którą kupiliśmy dzięki wpłatom czytelników i sympatyków „Wyborczej”. To ponad 2 tony żywności, środków higienicznych, podpasiek, pampersów. Przed budynkiem jeszcze pusto. Czekają jedynie Serhij Starikow i Dina Nosowa. – Ale ludzie też przyjdą, wiedzą, że jesteście, tylko nie chcemy robić dużego publicznego spotkania – wyjaśnia starościna. Jak zwykle na wschodzie Ukrainy większość to starsi ludzie, przede wszystkim kobiety. Dina dyryguje: najpierw ci, którzy stracili bliskich w ataku Iskandera, potem

inwalidzi, potem pozostali. Każdy dostaje dwie reklamówki, czasami zabierają dla sąsiadów i rodziny. Część zostawiamy na później w klubokawiarni. – Po tragedii było głośno o Grozie, to mieliśmy trochę pomocy humanitarnej, teraz o nas zapomniano – mówi Dina Nosowa. I bardzo nas przeprasza, że „porządnie was nie ugościliśmy.” Ale w pobliżu frontu lepiej zbyt długo nie stać w jednym miejscu, tym bardziej gromadnie. Ktoś wciąż może donosić Rosjanom, co dzieje się we wsi.

ZBOŻE

Przed 2022 r. w całym kupiańskim rejonie mieszkało 135 tys. ludzi. Zostało 35 tys. Wyłudniła się też wieś – przed wielką agresją było tu ponad 500 mieszkańców. – Rosjanie szybko nas zajęli, bo już 26 lutego, dwa dni po ataku. I szybko ich, bo już po kilku miesiącach, przegnano – opowiada Serhij Starikow. Ludzie powyjeżdżali na zachód Ukrainy, do Polski czy Niemiec, ale też przenieśli się do Rosji, w trakcie okupacji i gdy armia Putina uciekała. W gromadzie Szewczenkowie żyje 12 tys. osób. Z 11 szkół tylko trzy nie są uszkodzone. Działa przychodnia. – Moim głównym zadaniem jest sprawne działanie służb komunalnych, bo to też praca dla ludzi – dodaje Starikow.

Ma jeszcze jeden wielki ból głowy: wznowienie produkcji rolnej. To teren agrarny, 80 gospodarstw rolnych, głównie takich od 2 do 80 hektarów. One też dawały pracę. – Problem w tym, że musimy przeczesać ponad 1 tys. hektarów pól, sprawdzić czy nie ma min. Bo choć Rosjanie bardzo naszego terenu nie zaminowali, to lepiej uważać. W drodze do Grozy saperzy sprawdzają właśnie kilkanaście hektarów ziemi. Podzielili teren palikami i taśmami, szukają min. Czasami podpalają trawę, by łatwiej zauważyć ładunek. – Wiemy, że Polska ma problem z naszym zbożem, że jest niszczone. Nie rozumiemy tego, dla nas to bolesna sprawa. Ale, jak widzicie, Polacy wciąż nam pomagają i wspierają – Serhij Starikow przemawia do mieszkańców, którzy przyszli po pomoc. Biją brawo, dziękują.

KONIEC WOJNY

Pytam Serhija, jak może zakończyć się wojna z Rosją. – 2023 miał być rokiem naszego zwycięstwa, ale nie udało się. Ale Ukraina wytrzyma – odpowiada szef gromady szewczenkowskiej, nawiązując do nieudanej ukraińskiej ofensywy z lata zeszłego roku. To samo pytanie zadajemy Dari Nosowej. – Wiecie, spotkałam ostatnio chłopców z naszego desantu morskiego. Piękni, silni, uśmiechnięci. Powiedzieli, żeby się nie martwić, że będzie dobrze. Tak, my tu wszyscy w Grozie i okolicznych wsiach wierzymy, że pokonamy Rosję. Pamiętamy okupację i nikt nie chce żyć pod butem Putina. ●

Nie chcę ani na Bidena, ani na Trumpa, bo

WKURZA MNIE ZMYWACZ DO PAZNOKCI ZA 5 DOLARÓW

Trump to amerykański sen.

OK, może dostał trochę pomocy od rodziców – no kto nie dostaje? – ale pokazał, że każdy może zostać prezydentem. A teraz próbują go pogrążyć, chociaż nic nie znaleźli

Maciej Czarnecki

Rodeo Restaurant and Sports Bar w Williams – trzytysięcznym miasteczku w Arizonie, które jest bramą do Wielkiego Kanionu – wygląda mniej więcej tak, jak można by sobie wyobrazić: na ścianach oprawione malunki jeźdźców na wierzgających wierzchowcach, z głośników płynie country, na palaszujących skrzydełka z kurczaka goście tuż za oknem czekają ogromne pick-upy.

Jednak w piątkowy wieczór pojawiają się nowe akcenty. Obok wciśniętej w ozdobną donicę palemki staje Trump. Z non-szalancko rozpiętą marynarką, nosi oba kciuki do góry i lekko się uśmiecha, jakby już wiedział, że obecni darzą go wielkim szacunkiem.

Gdyby tekturowy, naturalnej wielkości Trump sięgnął wzrokiem ponad głowy biesiadników, ujrzałby pod sufitem flagi: czarną amerykańskich sił kosmicznych, białą straży przybrzeżnej, a także Navy Jack marynarki wojennej ze słynnym hasłem „Don't tread on me”, „Nie deptaj po mnie”, które upowszechniło się podczas wojny o niepodległość, współcześnie jest wykorzystywane przez wszelkiej maści libertarian, a 6 stycznia 2021 r. znalazło się na sztandarach uczestników szturm na Kapitol.

Anturaż pasuje jak ulał do gwiazdy wieczoru: Marka Lamba, znanego szerzej jako Szeryf Lamb, który zaszczyca Williams swoją obecnością, bo marzy, by w listopadzie dostać się do Senatu z ramienia Partii Republikańskiej.

– Ktoś tam wreszcie musi zrobić porządek – mruga do mnie towarzysząca milkliwego kowboja z kremowym kapeluszem i sumiastym wąsem, który po drugiej stronie stołu popija piwo.

Co ja tu, do diabła, robię? Otóż przyleciałem do Arizony, bo to jeden z kluczowych stanów, które zadecydują o wyniku wyborów prezydenckich.

W 2020 r. Joe Biden pokonał w nim Trump o niecałe 11 tys. głosów. Od lat 50. był ledwie drugim Demokratą – po Billu Clintonie – któremu udało się tu wygrać z Republikaninem. W listopadzie wynik jest sprawą otwartą. W sondażach o kilka punktów prowadzi Trump.

W ponad siedmiomilionowym stanie jak w soczewce, choć o bombastycznej skali, można obserwować trendy, które dotyczą całego kraju: zmiany demograficzne, spory o imigrację, podważanie uczciwości wyborów, przejmowanie Partii Republikańskiej przez ruch MAGA – Make America Great Again, czyli wyznawców Trumpa.

– Arizona była jednym z ostatnich stanów włączonych do Unii. To dziedzictwo



• Kari Lake, trumpsowska kandydatka na gubernatora Arizony, przybywa na Conservative Political Action Conference – coroczny miting prawicowych aktywistów z całej Ameryki. FOT. REUTERS/ELIZABETH FRANTZ

i mit niezależności nadal tu rezonują – tłumaczy mi prof. Francisco Pedraza, politolog z Centrum Badań na Latynosami i Latynoskami oraz Amerykańską Politykę Uniwersytetu Stanowego Arizony.

– Ponieważ to jeden z kluczowych stanów w bitwie o Białą Dom, inwestuje się tu ogromne pieniądze i uwagę. To oznacza, że w codziennych rozmowach naprawdę ciężko uciec od polityki. A obie partie robią, co mogą, by mobilizować swój elektorat – dodaje.

Parę minut przed pojawieniem się Szeryfa Lamba sala jest już niemal pełna. Zaufany człowiek kandydata taszczy stand z jego podobizną: Lamb w kowbojskim kapeluszu, dżinsowej koszuli i kamizelce kuloodpornej, przepasany jest amerykańską flagą, która wygląda na dodaną w Photoshopie.

– Nie jestem politykiem, tylko stróżem prawa, który kocha Boga, rodzinę i konstytucję – mówi szeryf, gdy staje tuż przy tekturowym sobie i wygląda, jakby występował u boku przerośniętego brata bliźniaka.

– Nie jesteśmy demokracją, tylko republiką konstytucyjną. Demokracja to rządy motłochu. Jako szeryf mam obowiązek czuwania nad przestrzeganiem konstytucji – ciągnie, a ludzie kiwają głowami.

Lamb jest przedstawicielem powiązanego ze skrajną prawicą ruchu „konstytucyjnych szeryfów”, którzy wyznają wygodną zasadę, że szeryfowie są w kraju wolnych ludzi najwyższą władzą i nie muszą – ba, nie mogą! – przestrzegać praw, które uznają za niekonstytucyjne.

W tym duchu ostentacyjnie nie egzekwował w swoim półmilionowym, spalonym przez południowe słońce hrabstwie Pinal nakazów noszenia maseczek czy lockdownów. Za to chętnie opowiada w prawicowych stacjach Fox News czy Newsmax o swojej twardej postawie wobec imigrantów.

– Największym zagrożeniem dla naszego kraju nie jest to, co dzieje się w Ukrainie czy na Tajwanie, tylko na naszej południowej granicy. To prawdziwa inwazja – przekonuje teraz.

Ludzie zadają pytania.

– Czy jest możliwe, by młodzi ludzie w okolicy skrzyknęli się pod komendą szeryfa i stworzyli milicję, które będą łapać i wyrzucać z kraju nielegalnych?

Lamb odpowiada, że tak, ale „wiele zależy od jurysdykcji”. Przypomina, że sam stworzył taki oddział podczas fali protestów po zamordowaniu przez białego policjanta George'a Floyd (nie mówi o morderstwie, tylko „śmierci” Floyd). Nie dodaje, że akurat w jego hrabstwie protestów nie było.

Opowieści o obcych szturmujących granicę, fali przestępstw i upadku kraju pod rządami Bidena przeplata cytatami z Biblii i anegdotkami z życia rodzinnego. Spotkanie kończy się wspólną przysięgą faldze USA i modlitwą.

Szczerze mówiąc, na samym Lambie zależy mi niespecjalnie – sondaże sugerują, że przegra w republikańskich prawyborach z Kari Lake, pierwszą damą trumpizmu w stanie, która po przegranych wyborach na gubernatora w 2022 r. urządziła powtórkę z rozrywki, oświadczając, że głosowanie zostało sfalszowane.

Przyjechałem tu, żeby posłuchać jego wyborców.

– Rząd nie praktykuje już tego, na czym zbudowano nasz kraj – mówi mi Zina Huber, pracowniczka lokalnego sklepu z pamiątkami i wolontariuszka chrześcijańskiej fundacji Habitat for Humanity.

– Naprawienie tego będzie wymagało sporo pracy. Chcę powrotu do dawnych zasad: rodzina, kościół, ciężka praca; a nie rozdawnictwa pieniędzy przez rząd. Chcę mieć prawo do tego, by podejmować własne decyzje: jak nie chcę samochodu elektrycznego, to go nie kupuję. Nie chcę, by cokolwiek mi narzucano. A dzieci znów powinny uczyć się w szkole o naszej historii, by wiedziały, jak wspaniały jest ten kraj. I ile determinacji, odwagi, siły i przekonania naszych ojców założycieli i przodków trzeba było, żeby go zbudować! Dzieci są bardzo ważne, bo to nasza przyszłość – wyrzuca z siebie Huber.

Gdy pytam, co jest dla niej najważniejszą kwestią w kampanii, odpowiada bez wahania, że imigracja. – W końcu wydarzy się coś strasznego, bo naruszane jest nasze bezpieczeństwo narodowe przez kraje, które chcą nas zetrzeć z powierzchni ziemi.

Na spotkaniu zadała pytanie o Chińczyków, którzy przeprawiają się do Stanów przez granicę z Meksykiem. Lamb przyznał, że to problem. Statystyki służb granicznych pokazują, że w roku podatkowym 2023 (do końca września) zatrzymywano ich tam 52,7 tys. razy. Huber martwią też Rosjanie (57,1 tys. zatrzymań).

– Uważasz, że Ameryka powinna dalej pomagać Ukrainie? – dopytuje.

– Cóż, to delikatna kwestia. Ukraina słynie z problemów z korupcją. Najpierw

trzeba posprzątać ten bajzel. Ale oczywiście nie chcę, żeby Rosja podbiła Ukrainę. Republikanie tak naprawdę nie chcą blokad pomocy, tylko nie mogą pozwolić, by była wykorzystywana do tego, by wpuszczać do naszego kraju każdego, jak leci.

Huber chodzi o to, że republikańscy kongresmeni uzależniają zgodę na pomoc dla Ukrainy od praktycznego rozmontowania systemu azylowego.

O imigracji mówi tu każdy. Nie z osobistych doświadczeń, bo Williams leży ponad pół tysiąca km od granicy, tylko tak jak Huber – czyli ogólnie. Drugim często poruszanym tematem są sprawy światopoglądowe.

– Czy w Polsce macie dużo transpłciowych? Co mówi na to wasz rząd? – dopytuje mnie Nicole, która przedstawiła mi się jako „domowa bogini”, a kiedy zrobiłem wielkie oczy, wytłumaczyła, że po prostu siedzi w domu.

– Jak jesteś dorosły, rób co chcesz – to mnie nie obchodzi. Bądź tylko trochę... grzeczniejszy, te wszystkie tatuaże, kolczyki to oznaki problemów psychicznych. No i dzieci! Nie przenoś na nie swoich wariackich chorób, niepełnosprawności, defektów po szczepionkach. Nasz system szkolnictwa został zawłaszczony. Dzieci nie myślały o tych wszystkich rzeczach, których uczą im szaleni dorośli. To mambo-dżambo-gówno! Należy je uczyć tego, jak być pożytecznymi członkami społeczeństwa. Mają być niezależne i wolnomyślące, a są małymi robotami, nawet nie tymi pożytecznymi, tylko takimi, które siedzą na kanapie, grają w gry wideo i czekają na czek od rządu – peroruje Nicole.

Chwilę później zdradza, że przebywa w Williams tylko tymczasowo, ale czuje się tu jak „dobrej, starej Ameryce”.

– A właściwie nie starej, tylko po prostu w Ameryce. I powiem ci, co jeszcze jest ważne: mój głos musi się liczyć! Wiem, że to brzmi jak teoria spiskowa, ale to, co działo się w 2020 roku... Oglądałeś Scooby Doo? Udało nam się zerwać maskę z twarzy tych oszustów!

– Przecież sądy orzekły, że wybory były uczciwe – wtrącam.

– Niestety, nasza władza sądownicza, podobnie jak wykonawcza i ustawodawcza, jest skorumpowana. Bardzo mi przykro. Skorumpował je Obama. On mnie przebudził.

Pytam, skąd czerpie informacje. Fox News? Newsmax?

– Nic z tych rzeczy. W dniu, w którym ukradli nasz kraj – 3 listopada 2020 roku [data wyborów], włączyłam telewizor i włączyłam zmysły. Nadstawiłam uszy. Śledzę konta na Instagramie i Telegramie. Tam są prawdziwi dziennikarze obywatelscy, którzy nie zniekształcają wiadomości, tylko je uczłowiczają. Media robią z nas jakichś szaleńców. Długo nie słyszałam nic od mojego prezydenta, kiedy Twitter usunął jego konto. Pomógł mi Telegram.

– I Truth Social? – podpowiadam (to portal społecznościowy Trumpa).

– Żartujesz? Oczywiście! Byłam nawet na liście oczekujących. Donald Trump to amerykański sen. OK, może dostał trochę pomocy od rodziców – kto nie dostaje? – ale pokazał, że każdy może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. I zasłużył na to na 1000 procent. A teraz próbują go pogrążyć, chociaż nic nie znaleźli.

Wyborcy Lamba to jednak tylko część opowieści o Arizonie. Przenieśmy się ponad 250 km na południe, do słonecznego i ciepłego nawet w marcu Phoenix – jednej z najszybciej rozrastających się metropolii w USA.

Cztery lata temu zwycięstwo w stanie Wielkiego Kanionu zapewniła Bidenowi koalicja młodych, często progresywnych mieszczuchów, Latynosów (jedna trzecia elektoratu) i rdzennych mieszkańców (ponad 5 proc.).

Teraz ta koalicja się chwieje – i stąd słabsza pozycja Bidena w sondażach. W grudniowym badaniu Reuters/Ipsos Trump zrównał się z nim poparciem

w kraju wśród Latynosów. Pedraza uważa, że przy urnach Latynosi znów w przeważającej części poprą obecnego prezydenta. Choć nie jak jeden mąż.

– Latynosi to nie Afroamerykanie, którzy głosują na Demokratów w stosunku 9 do 1. Mówimy raczej o 2 do 1. Ludzie pytają: „jak niektórzy z nich mogą głosować Trumpa, skoro wypowiada się tak o imigracji?” – mówi Pedraza.

Tłumaczy, że zakłada się, że Latynosi to jednorodna grupa, a tak nie jest. Część społeczności identyfikuje się jako niełatynoscy biali – tym chętniej, że „w Ameryce hierarchie władze uwzględniają kryteria rasowe i etniczne, więc taka samoidentyfikacja przynosi zauważalne korzyści”.

– Jedną z grup, które mają tendencje do wyłamywania się z głosowania na Demokratów, są mężczyźni mogący uchodzić za białych, mówiący po angielsku, a niezbyt dobrze po hiszpańsku, i mający poczucie, że wiecie im się gorzej niż rodzicom.

Jako drugi przykład wymienia licznych latynoskich pracowników systemu ośrodków imigracyjnych i prywatnych więzień, którzy są zainteresowani w utrzymywaniu i rozbudowie takich systemów.

Na kampusie w Tempe pod Phoenix też słyszę opowieści, które mogłyby zaniepokoić Bidena.

19-letni Matthew Duma: – Dużym problemem jest dla mnie ludobójstwo, do którego dochodzi w Palestynie. Żaden z kandydatów nie ma dobrych rozwiązań w tej kwestii, zresztą w innych też nie. Wyborcom takim jak ja pozostawia się wybór mniejszego zła, to nie w porządku.

– Trumpa obciążają bardzo poważne oskarżenia. Nie można mu ufać. Ale Biden też nie jest dobrym kandydatem – ciągnie. – Obaj są za starzy na prezydenta. Nie chodzi mi o sam wiek, po prostu potrzeba kogoś z nowymi pomysłami. Oni są tacy niedzisiejsi! Zbyt konserwatywni, jeśli chodzi, nie wiem, powszechny dostęp do opieki zdrowotnej, małżeństwa osób tej samej płci, prawo do aborcji.

Korci mnie, żeby powiedzieć, że we wszystkich tych kwestiach Biden jest po jego stronie, tylko że reformę ubezpieczeń zdrowotnych blokują Republikanie w Kongresie, a prawa aborcyjne rozmontował konserwatywny Sąd Najwyższy, ale rezygnuję. Nie chcę wdawać się w dyskusję, tylko wybadać, co uważa. Liczy się, że obaj kandydaci tak mu się kojarzą.

A Duma narzeka na rosnące koszty życia i podupadającą gospodarkę. Gdy przytaczam dane o najniższym od dekad bezrobociu i spowolnieniu inflacji rok do roku do 3,1 proc. w styczniu, opowiada o swojej matce, która mimo dyplomu nie może znaleźć sensownej pracy.

– Ojciec zarabia bardzo dobrze, ale i tak żyjemy od wypłaty do wypłaty. Pieniądze wystarczają na coraz mniej. Wielu znajomych nie radzi sobie z opłacaniem czynszu, oszczędzają na jedzeniu.

Potwierdzają to rozmowy z innymi studentami. 18-letnia Madison Cooper dostaje 10 dol. za godzinę, o 4 dol. i 35 centów mniej niż stanowa płaca minimalna. Która nie dotyczy kelnerek, bo zakłada się, że zarobią więcej z napiwków.

– Tylko że ostatnio ludzie dają znacznie mniej niż zwyczajowe 20 proc., bo też nie zarabiają tyle, ile powinni. Wszyscy ludzie, którzy pracują ze mną w lokalu, mają drugą pracę, bo z jednej ciężko się utrzymać.

Z polskiej perspektywy wydaje się, że Cooper i tak zarabia nieźle. Tyle że płaci na spółkę z drugą osobą 2,5 tys. dol. czynszu za trzypokojowe mieszkanie.

– Do tego wzrosło czesne za studia. Paliwo było już tak drogie, że kiedy spadło do 4 dol. za galon, to wszyscy cieszyli się jak opętani. Ceny w sklepach? Za zwykły zmywacz do paznokci płacę 5 dol., a parę lat temu kupowałam za 1 dol. 99 centów.

Taylor McManus-Sanchez, również 18-letnia: – Tak się nie da żyć, kiedy trzeba mieć dwa etaty. Mama tak pracowała, ja też muszę, żeby zapłacić za studia i jedzenie. Pracuję w szpitalu jako asystentka.

Pedraza: – Nie tylko w Arizonie, ale w całych Stanach rośnie przepaść dzieląca bogatych, którzy utrzymują się z kapitału, od zwykłych pracowników. Studenci martwią się, czy kiedykolwiek będzie ich stać na dom i zakotwiczenie w klasie średniej. Wielu moich studentów pracuje na pełen etat, próbując pogodzić to z nauką. Nie wydają na luksusy, podróże i tak dalej, tylko próbują utrzymać się na powierzchni.

Sondaże pokazują, że ludzie bardziej ufają w kwestiach gospodarczych Trumpowi niż Bidenowi (według badania „Financial Times” 42 proc. do 31 proc.). Może dlatego, że spoglądając wstecz, lepiej oceniają stan gospodarki za rządów tego pierwszego (to z kolei wniosek z sondażu CBS News).

Czyżby zatem Trump miał wygrać w Arizonie? Niewykluczone, ale badania pokazują, że też mierzy się z potężną niechęcią części swojego elektoratu. Nie wszyscy Republikanie odnoszą się do niego z taką czcią, jak ci z Williams.

– Ten człowiek nigdy nie powinien być już prezydentem. Czekam, aż go skażą – mówi mi uczestnik klubu dyskusyjnego w 180-tysięcznym Tempe.

Po czym dodaje, że „wygląda to trochę jak wyścig dwóch żółwi, którym ktoś dodatkowo położył worek kamieni na skorupach”.

– Niestety Partia Republikańska znalazła się w objęciach skrajnie prawicowego, izolacjonistycznego populizmu, który jest związany z jedną osobą. To już nie jest tradycyjne ugrupowanie, jakie znamy z historii ma-

*Matthew, 19 lat,
student z Phoenix:*

*– Dużym problemem
jest dla mnie ludobójstwo,
do którego dochodzi
w Palestynie.
Żaden z kandydatów
nie ma dobrych rozwiązań
w tej kwestii.*

*Wyborcom takim jak ja
pozostawia się wybór
mniejszego zła,
to nie w porządku*

instreamowej polityki USA – ocenia Evelyn Farkas, dyrektorka Instytutu McCaina, który upamiętnia słynnego republikańskiego senatora z tego stanu.

Trudno o większy kontrast niż ten między McCainem a obecną twarzą Republikańców w Arizonie, Kari Lake. McCain potrafił sprzeciwiać się własnej partii, budował mosty, szukał kompromisów z Demokratami. Lake to wcielenie ślepej wierności trumpizmowi; napędza podziały i odwołuje się do coraz bardziej radykalizującego się elektoratu.

Niepokorny senator zaskarbił sobie szacunek milionów Amerykanów podczas wojny w Wietnamie, gdzie służył jako pilot. Zestrzelony, spędził w niewoli pięć i pół roku. Mimo tortur nie zdradził żadnych istotnych informacji. Był państwowcem, który przekładał interesy kraju ponad własne i ponad partyjną lojalność, słynął z inteligentnego poczucia humoru, szanował przeciwników, nawet jeśli ostro się z nimi spierał.

Gdy w 2008 r. kandydował na prezydenta, podczas wiecu jego zwolenniczka nazywała Obamę „Arabem”. McCain chwycił mikrofon: „Nie, proszę pani. To przyzwoty, rodzinny człowiek i obywatel, z którym przypadkiem nie zgadzam się w fundamentalnych kwestiach”.

Latem 2017 r., w pełnym pasji przemówieniu w senacie, krótko po zdiagnozowa-

niu u niego glejaka, McCain ubolewał nad rosnącą polaryzacją i „trybalizmem” politycznym. Przekonywał, że kooperacja jest wpisana w amerykańskie mechanizmy legislacyjne i zwyczaje w Waszyngtonie.

Tymczasem Lake, która przez ponad 20 lat prowadziła w Phoenix programy telewizyjne, zapowiada totalną wojnę z Demokratami w sprawach imigracji, „markсистowskiej” agendy w szkołach, szczepionek i innych sprawach bliskich zwolennikom MAGA. Konsekwentnie podkopuje zaufanie wyborców do systemu głosowania, powtarzając twierdzenia o rzekomych oszustwach. Trump nazwał ją jedną z „najtwardszych bojowniczek naszego ruchu”.

Jej pojedynek o mandat senatora z kandydatem Demokratów Rubenem Gallego może zadecydować, kto będzie kontrolował Senat. To kolejny powód, by bacznie obserwować Arizonę.

Na razie Demokraci (i wspierający ich senatorowie niezależni) mają przewagę 51 do 49. Minimalną.

Trump, i Lake tyle narzekali na rzekome oszustwa wyborcze, że... może się to obrócić przeciwko nim. No bo po co iść do urn, skoro dzieją się nad nimi cuda? Po co wysyłać głos pocztą, jeśli wiadomo, że nie zostanie policzony?

Dlatego republikańscy aktywiści zaczęli być trochę ostrożniejsi z taką retoryką.

– Uważam, że z głosowaniem w 2020 roku było wiele problemów. Za dużo korzystano z maszyn. Większość z nas chce przyjść do lokalu, wrzucić kartę i wiedzieć, że zostanie zliczona tego samego dnia. Jednak uczulamy ludzi, że muszą zagłosować. Jeśli zostaniesz w domu, na pewno nam się to nie przysłuży – mówi mi Patricia Phillips, republikańska komisarz jednego z okręgów w Williams, który obejmuje ok. 1,3 tys. ludzi.

To partyjna funkcja, Demokraci mają swojego komisarza. Phillips dba, by republikańscy wyborcy zarejestrowali się w spisach, mieli informacje niezbędne do głosowania i nie przegapili wyborów, organizuje spotkania z kandydatami.

W Arizonie jest też wiele organizacji, które mobilizują określone grupy wyborców jednej i drugiej strony: republikańskie kobiety, społeczność LGBT, rdzennych Amerykanów...

Ponadto już od 1998 r. działa ponadpartyjna Obywatelska Komisja ds. Uczciwych Wyborów, której celem jest zapewnianie wyborcom wiarygodnych informacji o wyborach i czuwanie nad przestrzeganiem regul finansowania kampanii.

Tylko jak pozostać ponadpartyjnym, kiedy tylko jedna partia szerzy kłamstwa o głosowaniu?

– Sporo nauczyliśmy się na ten temat w 2020 roku – przypomina Avery Xola, menedżer komisji ds. edukacji wyborców. – Rozwiązaniem jest rzetelne informowanie. Kiedy wybuchła Sharpiegate – ludzie powtarzali, że maszyny do zliczania głosów nie mogły poprawnie odczytać tych skreślonych flamastrami firmy Sharpie, a to była nieprawda – ta teoria rozprzestrzeniła się jak pożar. Wtedy się z nią współzawodniczy, informuje, jak jest naprawdę.

Xola odbierał wtedy telefony od wyborców, którzy uważali, że wybory zostały oszukane.

– Jedyne, co mogłem zrobić, to podać im rzetelne informacje. Ale ciężko przekonać ludzi, którzy wierzą w kłamstwa.

– Obawiacie się, że w tym roku może być podobnie?

Xola: – Tak, chociaż jeszcze bardziej boimy się w Arizonie deep fake’ów, fałszywych nagrań, telefonów od robotów. Zdarzało się to już w 2020 roku, a teraz technologia jest znacznie bardziej zaawansowana. Ludzi, którzy wierzą w oszukane wybory, i tak się nie przekona. A w 2024 roku czekają nas nowe niespodzianki i nowe teorie spiskowe. ●

Amerykanów obchodzą Amerykanie

DLATEGO TRUMP
JEST GROŹNY

• 2 marca, Trump wita wyborców z Północnej Karoliny na wiecu w Greensboro FOT. REUTERS/JONATHAN DRAKE

Wielu wpływowych Republikanów opowiadających się przeciwko pomocy Ukrainie wcale nie twierdzi, że Amerykanie powinni wspierać Putina

Z AMERYKAŃSKĄ POLITOLOŻKĄ
PROF. LORĄ ANNE VIOLĄ*
ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

JAKUB KIBITLEWSKI: Obawa przed kolejną prezydenturą Trumpa doczekała się w europejskiej publicystyce już własnego określenia – „Trumpdämmerung”. Najogólniej, chodzi o lęk przed zerwaniem przez Amerykę z sojuszniczą solidarnością. Trump od dawna powątpiewa w NATO, ale po ataku Rosji na Ukrainę takie jego wypowiedzi, jak niedawne stwierdzenie, że nie będzie bronił tych krajów, które nie wydają wymaganych 2 proc. PKB na armię, nabierają innego ciężaru. Faktycznie są powody do obaw? **PROF. LORA ANNE VIOLA:** – Kwestia podziału obciążeń pomiędzy członków Sojuszu Północnoatlantyckiego, tzw. burden-sharing, jest przedmiotem sporów od samego początku.

Źródłem tarć jest oczywiście to, że USA wzięły na siebie lwią część tego ciężaru.

Nie zrobili tego bezinteresownie.

– Oczywiście. Zdawano sobie sprawę, że nawet jeśli europejscy sojusznicy mogą mieć pewne problemy z rozbudową zdolności obronnych, Stany Zjednoczone są skłonne zapłacić tę cenę za wszystkie inne korzyści wynikające z możliwości przewodzenia sojuszowi oraz kształtowania powojennego porządku międzynarodowego. Amerykańscy prezydenci zawsze to rozumieli – aż na scenie pojawił się Trump. To, że większość sojuszników nie dotrzymuje zobowiązań budżetowych, nie było żadną tajemnicą, ale USA godziły się na taki stan rzeczy ze względu na dominującą pozycję w sojuszu. Mówi się, że Trump nie w pełni tę logikę rozumie – ale raczej nie wydaje się być szczególnie zainteresowany jej zrozumieniem.

Dlaczego?

– Ponieważ w przeciwieństwie do poprzedników, Trump kieruje się przede wszystkim interesem wewnętrznym. Reprezentuje skrajne skrzydło Partii Republikańskiej, które uważa, że Stany Zjednoczone są w jakiś sposób wykorzystywane przez resztę świata. Grając na tego typu resentymencie, Trump pokazuje swoim wyborcom, że jest silnym przywódcą broniącym narodowych interesów przed wszystkimi, którzy próbują nadużywać amerykańskiej hojności.

Natomiast ogólnie rzecz biorąc, Stany Zjednoczone – i elity, i opinia publiczna – w przeważającej mierze popierają NATO. Trump przemawia do skrajnej i stosunkowo niewielkiej, przynajmniej na razie, części społeczeństwa. Mozolne przepychanie przez Kongres finansowego wsparcia Ukrainy wydaje się przeczyć tej obserwacji, ale w rzeczywistości w Kongresie też jest szerokie poparcie zarówno dla Ukrainy, jak i dla amerykańskiego członkostwa w NATO. Potwierdzają to dwie rzeczy: po pierwsze, przewidując, że Trump może próbować wycofać USA z Sojuszu Północnoatlantyckiego, Kongres uchwalił w zeszłym roku przepisy uniemożliwiające prezydentowi opuszczenie NATO bez zgody Senatu lub specjalnej ustawy. Nie sądzę, by to wystarczyło do powstrzymania zdeterminowanego prezydenta, ale dostaliśmy sygnał, że amerykańska elita polityczna nadal jest za Sojuszem.

A po drugie, jest przecież opiewający na 95 mld dolarów pakiet pomocowy dla Izraela i Ukrainy. Przewiduje on dodatkowe 60,1 mld dla Kijowa, zwiększając amerykański udział w dozbajaniu Ukraińców do ponad 170 mld dolarów. Skrajne skrzydło Republikanów wywiera presję na spikera Izby Reprezentantów, aby nie dopuścił do głosowania, właśnie dlatego, że w głosowaniu pakiet zostałby przyjęty.

Tak więc presję na członków NATO wywiera tak naprawdę niewielka część Partii

Republikańskiej. Ale to bardzo wpływowa frakcja, której znaczenie może rosnąć.

Wielu analityków widzi w retoryce Trumpa taktikę negocjacyjną. Zweryfikujmy ten błąd. Czy ewentualne opuszczenie NATO naprawdę leży w amerykańskim interesie?

– Nie jestem pewna, czy Trump faktycznie używa swoich gróźb jako narzędzia negocjacji.

Retoryka poddająca w wątpliwość transatlantycką solidarność oczywiście powoduje, że europejscy sojusznicy kierują uwagę ku alternatywom dla architektury bezpieczeństwa opartej o amerykański arsenał – tak jak ostatnio, kiedy w odpowiedzi na groźby Trumpa jeden z niemieckich ministrów zasugerował, że Unia Europejska powinna rozważyć zakup własnej broni nuklearnej. A trend wzrostu wydatków na obronność widzimy co najmniej od 2016 roku. To oczywiście skutek agresywnych działań Rosji, ale także rosnącej świadomości, że amerykański parasol bezpieczeństwa nie jest dany raz na zawsze. W przypadku wszystkich państw graniczących z Rosją budżety obronne rosną, dobijając do 2 proc. PKB, Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia już ten próg osiągnęły, a Polska szybko zbliża się do 4 proc. Ale sojusznicy, którzy tradycyjnie polegali na amerykańskim parasolu, jak Niemcy, również wydają coraz więcej.

Więc retoryka Trumpa miała wpływ na zmianę kalkulacji krajów NATO, ale nie jest pewna, czy to jego ostateczny cel. Mimo wyraźnej tendencji wzrostowej w wydatkach na obronność, Trump nie spuścił przecież z tonu, prawda? Nie tylko dalej grozi wycofaniem się z NATO, ale dodatkowo zaostrza retorykę. Myślę więc, że powinniśmy potraktować jego słowa poważnie.

Trump ma inny powód, by chcieć wycofać się z NATO – nie amerykański interes, lecz kalkulację, że to wzmocni jego wizerunek silnego przywódcy. Przecież on ten argument o wykorzystywaniu Ameryki powtarza w odniesieniu do wszelkiego rodzaju zobowiązań USA dotyczących współpracy na arenie międzynarodowej. Raczej rozumie, że Stany Zjednoczone korzystają na silnej i stabilnej Europie, ale wie, co rezonuje wśród jego wyborców.

Amerykanie mawiają, że choć w kampaniach wyborczych dominuje poezja, władzę sprawuje się prozą. Czy Trump kandydat różnił się znacząco od Trumpa prezydenta w swojej postawie wobec NATO?

– Jest różnica między retoryką Trumpa a działaniami USA pod jego rządami w latach 2017-21. Waszyngton nie zmniejszył wtedy zobowiązań wojskowych wobec NATO czy Europy. Było wręcz odwrotnie. Trump w żaden istotny sposób nie zaszkodził NATO, ba, po czterech latach jego rządów NATO stało się silniejsze.

Pytanie brzmi, czy stało się tak z powodu, czy pomimo jego prezydentury. Myślę, że trudno to rozdzielić. Z jednej strony, Trump z pewnością zaszkodził wiarygodności Sojuszu Północnoatlantyckiego i Stanów Zjednoczonych. Ale decydenci w jego administracji dopilnowali, by sojusz nie ucierpiał przynajmniej materialnie – w kwestii zasobów wojskowych, obecności amerykańskich żołnierzy w Europie czy szkoleń.

Ale to nie znaczy, że za drugim podejściem jego retoryka nie przełoży się na decyzje. Pierwsze kadencje nie są dobrą miarą, choćby dlatego, że prezydenci dopiero orientują w możliwościach i ograniczeniach urzędu, za to w drugiej kadencji dobierają sobie choćby współpracowników na podstawie doświadczeń pierwszej.

John Bolton, który doradzał Trumpowi w Białym Domu, był zdecydowanym zwolennikiem NATO i ciężko pracował za kulisami, aby utrzymać zaangażowanie Stanów, co wyraźnie sygnalizował, nawet gdy prezydent mówił coś zgoła przeciwnego. A teraz z ust Boltona słyszymy, że powinniśmy traktować zapowiedzi Trumpa o wycofaniu się z NATO bardzo poważnie.

Z ekonomicznego punktu widzenia, to nie przyniosłoby Stanom Zjednoczonym żadnych oszczędności. USA nie wydają pieniędzy bezpośrednio na wsparcie Sojuszu, ale raczej wspierają go, przeznaczając dużą część PKB ogólnie na obronę. Ameryka ponosiłaby ogromne wydatki militarne, nawet gdyby nie była członkiem NATO. USA dysponuje największym budżetem wojskowym na świecie i wydaje na obronność więcej niż Chiny, Rosja, Indie, Arabia Saudyjska, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Korea Południowa, Japonia i Ukraina razem wzięte.

Ale destabilizacja Europy po wyjściu Amerykanów oznacza też destabilizację gospodarczą. A to już miałoby negatywne konsekwencje dla USA

– Tylko czy na pewno wycofanie się USA odcisnęłoby się na gospodarce Europy? To nie jest takie oczywiste. Faktycznie, w przypadku szeroko zakrojonej rosyjskiej ekspansji na terytoria innych krajów europejskich, destabilizacja gospodarcza jest nieunikniona – ale nie sądzę, byśmy musieli brać ten scenariusz serio pod uwagę.

Spójrzmy, jak kalkuluje Trump. Nakładając karne cła na import chińskich towarów, zarzucił Państwu Środka nieuczciwe praktyki handlowe, w tym kradzież własności intelektualnej i amerykańskiej technologii. Argumenty jak najbardziej uzasadnione, ale idąc na wojnę handlową z Chinami, Trump chciał jednocze-

śnie zasygnalizować swoim wyborcom, że jest twardym przywódcą, który nie boi się podejmować trudnych decyzji. Wiele analiz ekonomicznych wykazało natomiast, że koszty cel spadły przede wszystkim na barki amerykańskich konsumentów, którzy musieli płacić wyższe ceny za towary, których chcieli i potrzebowali. Więc jeśli chodzi o interesy wyborców, Trump niekoniecznie przedkłada je ponad własny piar.

Innymi słowy, percepcja medialna i retoryka mają dla Trumpa większe znaczenie niż konsekwencje gospodarcze, bo te widać dopiero w dłuższej perspektywie, a i wtedy dla wielu są trudniejsze do zrozumienia, jeśli idzie o ciąg przyczynowo-skutkowy. Doniesienia prasowe na temat karnych cel przeciwko Chinom miały skutek natychmiastowy, gdy skutki takich decyzji są bardziej rozproszone i rozciągnięte w czasie, trudniej jest je dostrzec lub zmobilizować przeciwko nim elektorat, czasem nawet uwidaczniają się już za kolejnej administracji.

To ile w końcu jest prawdy w tym, co mówi się o powrocie Ameryki do izolacjonizmu?

Trump raczej rozumie, że Stany Zjednoczone korzystają na silnej i stabilnej Europie, ale wie, co rezonuje wśród jego wyborców

– Stany Zjednoczone nigdy nie były izolacjonistyczne i nie mogą być izolacjonistyczne ze względu na swoje rozległe i zróżnicowane interesy oplatające cały świat. Były zaangażowane w jakiś rodzaj zbrojnego konfliktu niemal bez przerwy, od samego początku swojej 248-letniej historii. Mają przy tym rozległe interesy handlowe i dysponują olbrzymim aparatem wojskowym rozmieszczonym na całym świecie. Gdy mówimy o okresach amerykańskiego izolacjonizmu, mówimy tak naprawdę o tym, w jakim stopniu USA były skłonne wziąć na siebie rolę lidera w tworzeniu światowego porządku.

Sam fakt, że przez ostatnią dekadę, jeśli nie dwie, USA wahały się w tej kwestii, zmniejszył stabilność systemu międzynarodowego. I na takim rozdrożu obecnie się znajdujemy. Z jednej strony Stany Zjednoczone nie były aktywnie zaangażowane w rozwiązanie konfliktu wywołanego rosyjską aneksją Krymu w 2014 roku, z drugiej bez ich pomocy Europa nie byłaby w stanie zareagować na pełnoskalową inwazję na Ukrainę w 2022 r. Z trzeciej, stale angażują się w utrzymanie porządku w wielu mniej widocznych miejscach, jak na szlakach żeglugowych. Przykładem jest aktywne zwalczanie wspieranych przez Iran bojowników Huti, którzy atakują statki na Morzu Czerwonym. A jednocześnie z własnych, wewnętrznych powodów wycofują się z przywódczej roli.

Skoro mowa o przyczynach wewnętrznych: jak doszliśmy do punktu, w którym walka z rosyjską agresją – czyli coś, co przez dekady nie dzieliło Republikanów i Demokratów, różnice mogły dotyczyć skali zaangażowania czy metod – stała się kwestią przynależności partyjnej?
– Jest takie stare zimnowojenne powiedzenie: polityka kończy się tam, gdzie zaczyna się ocean. To znaczy, że w obliczu zagrożenia z zewnątrz wszystkie wewnętrzne spory są wstrzymywane. Oczywiście to nigdy nie była w 100 procentach prawda, ale od zakończenia zimnej wojny ta zasada ulega coraz

większej erozji. Polityka wewnętrzna ma coraz większy wpływ na kształt amerykańskiej polityki zagranicznej. W ogromnym stopniu dotyczy to właśnie tej radykalnej części Partii Republikańskiej, która widzi korzyści wewnętrzne płynące z upolitycznienia zobowiązań zagranicznych.

Spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson – którego śmiało można scharakteryzować jako zadeklarowanego trumpistę – przecież otwarcie mówi, że sam popiera wysiłki Ukrainy w walce z rosyjską agresją, a wsparcie finansowe Stanów Zjednoczonych widzi jako sprawę priorytetową. Ale nie chce doprowadzić do głosowania nad pakietem pomocowym, ponieważ znalazłby się pod presją partyjnych ekstremistów, tak jak jego poprzednik.

Mamy więc Partię Republikańską, która jest podzielona i przechodzi przemianę, w wyniku której populistyczny odłam zyskuje coraz większe wpływy. To z kolei oznacza, że jeśli reszta partii chce być u władzy, musi przystać na ich żądania. I to właśnie widzimy w przypadku Ukrainy. Ludzie tacy jak Matt Gaetz i J.D. Vance, obaj należący do populistyczno-trumpistowskiego skrzydła, opowiedzieli się przeciwko dal-

szemu wsparciu Ukrainy, zaznaczając, że są gotowi rozpętać kryzys w partii, aby ponownie walczyć o stanowisko spikera.

Skąd ten radykalny zwrot?

– W 2016 r. Partia Republikańska zmagala się z kryzysem tożsamości. Miała do wyboru kilka ścieżek. Jedna upatrywała przyszłego sukcesu w dywersyfikacji swojej bazy, na przykład w próbach dotarcia do wyborców latynoskich. Drugą opcją była droga oferowana przez Trumpa, polegająca na wzmacnianiu skrzydła populistów, co znakomicie rezonowało z mniejszą, ale bardzo zmobilizowaną bazą wyborców.

Okazało się, że polityka Trumpa przełożyła się na zwycięstwo, i to najbardziej spektakularne, bo prezydenckie, więc partia przesunęła się w tym kierunku. A gdy politycy popierający Trumpa zdobyli urzędy, mogli wziąć resztę partii jako zakładnika. Co prawda Trump przegrał kolejną kadencję, ale wielu z tych bardziej skrajnych czy populistycznych polityków wygrywa wybory i dochodzą do władzy, a potem z powodzeniem paraliżują Izbę Reprezentantów, uniemożliwiając przyjęcie jakichkolwiek legislacji, nawet w kwestiach, na których im zależy, jak kontrola granic. Jednocześnie wielu bardziej umiarkowanych, tradycyjnych, bardziej reaganowskich Republikanów odchodzi już na emeryturę.

Czy Tucker Carlson byłby dobrym rzecznikiem prasowym w nowym gabinecie Trumpa?

śmiech

Pytam poważnie.

– Kiedy Trump został wybrany, w mediach pojawiły się pogłoski, że niektóre osoby związane z prawicową telewizją Fox News otrzymały propozycję objęcia tego stanowiska. Carlson ofertę odrzucił. Ale teraz, kiedy już nie pracuje dla Fox News, może się skusi.

Pamiętajmy jednak, że na fali kontrowersji związanych z propagowaniem przez Fox News teorii spiskowych dotyczących ostat-

nich wyborów prezydenckich – rzekomo sfalszowanych na niekorzyść Trumpa – do prasy wyciekła wewnętrzna korespondencja pracowników stacji, w tym niepochlebne komentarze Carlsona na temat byłego prezydenta. A jak dobrze wiemy, Trump nie jest zbyt odporny na krytykę, za to pamiętliwy.

Pytam o Carlsona rzecz jasna w kontekście jego słynnego wywiadu z Putinem, o którym mówił cały świat, a przynajmniej cały Zachód. Jak zareagowała na niego amerykańska opinia publiczna?

– Większość Amerykanów nie oglądała tego wywiadu ani nie zwróciła na niego uwagi. Z kolei wielu wpływowych Republikanów opowiadających się przeciwko większej pomocy Ukrainie, jak właśnie J.D. Vance czy Matt Gaetz, wcale nie twierdzi, że Amerykanie powinni wspierać Putina. Mówią, że na pierwszym miejscu powinny być amerykańskie interesy i bezpieczeństwo, a niekończące się zaangażowanie na rzecz Ukrainy się do tego nie przyczynia. Ich poglądy różnią się nieco od poglądów Carlsona czy Trumpa. Trump jest nastawiony wobec Putina o wiele bardziej przyjaźnie, niż gros Republikanów, w tym trumpistów – i to jest niebezpieczne, a nie pojedynczy wywiad, choćby najbardziej nieprofesjonalny i stronniczy.

Ważniejsza jest, nazwijmy to, synergia – to, czy po wyborach prezydenckich przekaz alt-prawicowych influencerów wzmocni przekaz samego Białego Domu, mniej krytyczny wobec Putina. Wtedy pojawi się groźne sprzężenie zwrotne. Bo prezydent jest bardzo silnym czynnikiem kształtującym opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych. Dowód mieliśmy całkiem niedawno – choć Republikanie tradycyjnie nie są nastawieni przychylnie wobec Rosji, kiedy Trump podczas kampanii wyborczej i prezydentury wypowiadał się ciepło o rosyjskich prezydentach, sondaże pokazały, że republikańscy wyborcy również stali się bardziej przychylni Putinowi.

Nie możemy więc ignorować wpływu, jaki pozytywnie nastawiony do Rosji prezydent może mieć na zmianę opinii w Stanach Zjednoczonych, ponieważ Amerykanie są głównie zainteresowani sprawami o znaczeniu lokalnym i nie zwracają dużej uwagi na politykę międzynarodową. W tej kwestii wyborcy kierują się opinią swoich liderów.

A więc jeden wywiad Carlsona nie miał dużego znaczenia, natomiast jeśli w przesłaniu publicznej będziemy mieli więcej ludzi takich jak on, skłonnych szczerze lub interesownie, dla zasięgow, przedstawiać Putina w korzystnym świetle, a wzmocni ich prezydent dający w swojskim stylu do zrozumienia, że ci Rosjanie nie tacy straszni, a może nawet da się z nimi dogadać – amerykańskie społeczeństwo może zmienić nastawienie i przestać postrzegać imperialną politykę Rosji jako problem. ●



FOT. ARNE SATTLER

Prof. Lora Anne Viola

• współkieruje Wydziałem Politologii Instytutu Amerykanistyki im. Johna F. Kennedy'ego na Freie Universität Berlin. Jest członkinią Komisji Nadzorującej Stałej Grupy ds. Stosunków Międzynarodowych w ECPR – Europejskim Konsorcjum Badań Politycznych, międzynarodowej organizacji naukowej zrzeszającej takie uczelnie, jak m.in. SciencesPo, Uniwersytet Lozański, Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, Australijski Uniwersytet Narodowy, Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, Oxford, Uniwersytet Jagielloński.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Rosja odnosi sukces w wojnie hybrydowej

NIEMCY
CORAZ BARDZIEJ PODZIELENI

– Jesteśmy narażeni na rosyjskie ataki hybrydowe – mówi szefowa komisji obrony Bundestagu.
– Tymczasem tryb kryzysowy nadal nie jest włączony. Nagrania rozmów naszych wojskowych to czerwony alarm.

Thorsten Jungholt
Clemens Wergin

welt

Wojna hybrydowa, czyli cyberataki, szpiegostwo, sabotaż i dezinformacja, to już regularne zagrożenie dla Europy. Jednak afera z podsłuchanymi przez Rosjan niemieckimi oficerami dobitnie pokazała, że hybrydowa od-

porność – świadomość zagrożeń i kontrwywiadowcza struktura – w Niemczech kuleje, choć od co najmniej dwóch lat wiadomo, że jest niezbędna.

„Już od lat wiemy, że jesteśmy narażeni na rosyjskie ataki hybrydowe” – mówi Marie-Agnes Strack-Zimmermann (FDP), szefowa komisji obrony Bundestagu. „Tymczasem nasze instytucje jeszcze się do tego nie przystosowały, ani technicznie, ani mentalnie. W tym sensie ujawnione nagrania naszych wojskowych to czerwony alarm”.

Dwa lata po ogłoszeniu „Zeitenwende”, epokowego zwrotu w niemieckiej polityce bezpieczeństwa, nadal brakuje strategii jego przeprowadzenia. Generalny inspektor armii Carsten Breuer regularnie wzywa do „mentalnej reorientacji sił zbrojnych”. „To niezbędny warunek do „sprostania symultanicznym wyzwaniom w scenariuszu konfliktu nowej ery, z siłami zbrojnymi bliskiego wroga gotowymi do wojny”, mówi gen. Breuer. Według niego obowiązek zwiększenia odporności „obejmuje całe społeczeństwo, politykę i gospodarkę, bo od podstawy każdego obywatela zależy bezpieczeństwo kraju”.

W piątek rosyjska telewizja państwowa opublikowała nagranie poufnej konferencji telefonicznej, która najwyraźniej została podsłuchana przez kremłowski wywiad. Nagrano inspektora sił powietrznych Ingo Gerharta, który 19 lutego rozmawia z trzema innymi wysokiej rangi oficerami o możliwym użyciu przez armię ukraińską niemieckich pocisków manewrujących Taurus przeciwko rosyjskim najeźdźcom.

Celem narady było przygotowanie raportu dla ministra obrony Borisa Pistoriusa na temat potencjału i ograniczeń związanych ze wsparciem Ukrainy taurusami.

Pistorius broni armii

Moskwa przygotowała publikację zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki swojej propagandy. Niemcy zostały z miejsca fałszywie oskarżone wprost o przygotowywanie ataku na Rosję, a niemiecki rząd – wezwany do złożenia wyjaśnień. Rzecznik Kremla, Dmitrij Pieskow, zadał w poniedziałek pytanie, czy kanclerz Olaf Scholz „nadal kontroluje swoje siły zbrojne”. Ambasador w Moskwie został wezwany na dywanik, poinformował Pieskow – choć Alexander Lambsdorff natychmiast temu zaprzeczył, zaznaczając, że była to od dawna planowana dyskusja na tematy dwustronne, a nie żadne specjalne wezwanie.

Lambsdorff zareagował profesjonalnie – w przeciwieństwie do uczestników nagranej wideokonferencji. Została ona przeprowadzona przy użyciu amerykańskiego oprogramowania Webex. Jeden z nagranych oficerów – generał brygady, szef operacji w Dowództwie Sił Powietrznych – połączył się z hotelu w Singapurze, gdzie przebywał na targach zbrojeniowych. Webex jest dozwolony w Bundeswehrze do użycia przy najniższym poziomie tajności: „tylko do użytku służbowego”. Podczas połączenia mawiano jednak ze szczegółami parametry dotyczące dokładności taurusów, a przede wszystkim wspomniano o obecności brytyjskich i amerykańskich wojskowych na Ukrainie, co niewątpliwie wymaga wyższej kategorii poufności.

Minister Pistorius, stając w obronie wojskowych, uznał, że większość informacji z podsłuchanej przez Rosjan dyskusji „i tak była już publicznie znana”. Odrzucił wyciąganie personalnych konsekwencji w tym momencie: „To byłoby pochopne i zbyt daleko idące”. Chce poczekać na wyniki śledztwa podjętego przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego (MAD). Ale w końcu będzie musiał podjąć jakieś kroki dyscyplinarne, zwłaszcza że procedury bezpieczeństwa powinny być wyryte w kamieniu w sytuacji, gdy niemieckie oddziały są rozlokowywane na wschodniej flance NATO, zwłaszcza na Litwie.

Na porządku dziennym jest również teraz pytanie, czy reort obrony w wystarczającym stopniu dba o procedury an-



• Kanclerz Niemiec Olaf Scholz
FOT. REUTERS/LIESA JOHANNSEN

tyszpiegowskie. Najnowszy raport roczny wywiadu stwierdza, że „wzmocnienie kontrwywiadu i zwalczanie szpiegostwa i zapobieganie sabotażom jest pilniejsze niż kiedykolwiek wcześniej”.

Ale poza tym Pistorius powiedział wiele słusznych rzeczy w swoim pierwszym oświadczeniu w sprawie afery. Stwierdził, że podsłuch stanowi element rosyjskiej „wojny informacyjnej” i że Niemcy od dawna ją zwalczają. Federalne MSZ dopiero co ujawniło kampanię dezinformacyjną, w ramach której ponad 50 tys. fałszywych kont na platformie X wyprodukowało ok. 200 tys. postów z prorosyjską propagandą tylko w ciągu czterech tygodni na przełomie roku, a ich cel to manipulowanie opinią publiczną w Niemczech. Niezidentyfikowane drony regularnie pojawiają się nad niemieckimi poligonami, na których szkolą się Ukraińcy. Kontrwywiad rejestruje nasilenie rosyjskich ataków propagandowych, „które mają na celu wywołanie niepewności i podważenie zaufania do państwa”. Pistorius uważa, że Putin próbuje zasiał podziały w Niemczech: „To hybrydowy atak mający na celu dezinformację – chodzi o podważenie naszej jedności. Nie możemy dać się nabrać, za to reagować rozważnie i stanowczo”.

Ale w Berlinie nie ma zgody co do tego, co to oznacza.

Kanclerz mówi za dużo

Rząd i partie zasiadające w Bundestagu wyraźnie nie mają strategii radzenia sobie z wojną hybrydową, zamiast tego dominują nerwowe reakcje. Opozycyjna CDU/CSU wykorzy-

stuje wahania w działaniach Scholza w sprawie Ukrainy do ostrego atakowania kanclerza. Scholz ma zostać wezwany na specjalną sesję komisji obrony w przyszły poniedziałek, a niewykluczone, że w parlamencie powstanie specjalna komisja śledcza. W „Der Spiegel” szef frakcji bawarskich chadeków w Bundestagu, Alexander Dobrindt, oskarżył kanclerza o „prawdopodobnie fałszywe przedstawianie faktów”. Ekspert CDU ds. polityki zagranicznej Roderich Kiesewetter wezwał do wyjaśnienia, „dlaczego kanclerz upublicznia niejawną informację”.

W skrócie: CDU i CSU, a także część FDP i Zielonych, podsycają debatę na temat odrzucenia przez Scholza opcji dostawy Ukrainie pocisków manewrujących Taurus. Podsłuchana rozmowa oficerów ujawniła, że jeden z podstawowych argumentów kanclerza – dotyczący konieczności wysłania na Ukrainę niemieckich żołnierzy do programowania i obsługi taurusów – jest nieprawdziwy, bo wystarczy podstawowe szkolenie techniczne, by Ukraińcy sami radzili sobie z użyciem systemu Taurus.

Jednak Scholz podtrzymał swoje stanowisko. „Niedopuszczalne jest dostarczanie systemu broni, który sięga bardzo daleko, bez możliwości kontrolowania jego użycia. A taka kontrola jest możliwa tylko wtedy, gdy zaangażowani są w to niemieccy żołnierze, co jest to całkowicie wykluczone” – powiedział kanclerz. „Moja decyzja jest jasna i obowiązująca”.

Pociski manewrujące Taurus mają zasięg do 500 kilometrów, a zatem używany z terytorium Ukrainy mogą osiągać cele

głęboko w Rosji. Dla Scholza rozmieszczenie personelu Bundeswehry w Ukrainie jest czerwoną linią. Ale jego decyzja stanowi także przy okazji wotum nieufności wobec Ukrainy. Nie może jednak powiedzieć tego wprost. Prawdopodobnie dlatego przez wiele miesięcy prowadził politykę niepodawania powodów odmowy dostarczenia taurusów, chociaż podobnej klasy pociski – ale pozbawione równie wyrafinowanej technologii pozwalającej unikać rosyjskiego zakłócania elektronicznego – wysłały Ukraincom Francja i Wielka Brytania. Dopiero pod naciskiem posłów SPD – a być może także z powodu toczącej się już de facto kampanii wyborczej – kanclerz w zeszłym tygodniu jednak zaczął wyjaśniać swoje stanowisko, co faktycznie dało paliwo opozycji.

Ale gorzej, że przy okazji „zdekonspirował” związane z obsługą pocisków Storm Shadow i Scalp działania Brytyjczyków i Francuzów na Ukrainie, stawiając interes ważnych sojuszników niżej niż swój własny interes polityczny. Scholz i SPD wnieśli tym samym znaczący wkład w realizację celu Putina, jakim jest podzielenie sojuszników Ukrainy w Niemczech i samej niemieckiej polityki.

Wolfgang Hellmich, rzecznik SPD ds. polityki obronnej, krytykuje opozycję: „Żądanie CDU dotyczące komisji śledczej jest populistyczne. Zwłaszcza w czasach, gdy integralność Niemiec jest wystawiana na próbę przez Rosję, potrzebujemy zjednoczonego frontu zamiast uprawiania taktyki partyjnej”. Czyli, według SPS, populiści to zawsze inni, a kreowanie się Schol-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

za na „antywojennego kanclerza” kosztem sojuszników w jego własnej trójpartyjnej koalicji wcale nie jest PR-owym chwytym.

Stefan Bayer, profesor w Niemieckim Instytucie Obrony i Studiów Strategicznych na Uniwersytecie Bundeswehry w Hamburgu, wzywa do zupełnie innego podejścia do dezinformacji i ataków hybrydowych. „Ich celem jest dzielenie opinii publicznej i destabilizacja polityczna”, przypomina Bayer. „A więc nasza reakcja powinna to uwzględniać. Sytuacja, gdy znajdujemy się w centrum zainteresowania rosyjskich służb, nie powinna już nas zaskakiwać. Radzenie sobie z tym wymaga dwóch rzeczy: strategicznie sprytnej reakcji w przypadku udanego rosyjskiego działania, którego nie da się całkowicie wykluczyć, oraz skoordynowanych wysiłków mających na celu uniknięcie takich incydentów w jak największym zakresie”.

Być może Bundeswehra rozumie to już lepiej, niż jej cywilne kierownictwo. Swen Jacob, dowódca niemieckiego kontyngentu nadzoru przestrzeni powietrznej NATO w krajach bałtyckich, mówi: „Tutaj, tak blisko Rosjan, musimy cały czas zakładać, że nasze komunikaty są przechwytywane”. Jednak żołnierze w terenie są na to przygotowani, wdrożone są także zapobiegawcze środki techniczne.

W ubiegłym czwartek specjaliści armii zaprezentowali swoje pomysły w Cyber Innovation Hub Bundeswehry – wszystkie dotyczą wykorzystania zaawansowanego oprogramowania, sztucznej inteligencji i rzeczywistości rozszerzonej, aby zmniejszyć biurokrację, przyspieszyć przepływ informacji, a tym samym uczynić armię lepiej przystosowaną do nowoczesnej wojny. I bezpieczeństwo systemów cyfrowych przed ingerencją wroga jest głównym ich punktem.

Brytyjczycy: Scholz się nie nadaje na takie czasy

Ale w Londynie i Paryżu rosną wątpliwości co do wiarygodności Berlina w kwestiach bezpieczeństwa. Zachodni sojusznicy od lat ostrzegają, że Niemcy za łatwo pozwalają działać rosyjskim służbom.

Były brytyjski minister obrony Ben Wallace długo był odpowiedzialny za brytyjską politykę wobec wojny na Ukrainie. Teraz zarzucił Scholzowi „manipulowanie faktami”. Zachowanie Scholza pokazuje, że „jest on niewłaściwym człowiekiem na swoim stanowisku w niewłaściwym czasie”. „Wiemy, że Niemcy są silnie spenetrowane przez rosyjskie służby wywiadowcze, co obniża nie tylko ich wiarygodność, ale także europejskie bezpieczeństwo” – mówi Wallace w „Timesie”. Ta gazeta pisze w komentarzu, że „wycieki informacji mogą zagrozić transferowi broni na Ukrainę i niezbędnemu użyciu przez nią pocisków manewrujących”.

Niedawne rewelacje The Insider, „Der Spiegel”, ZDF i „Der Standard”, według których dyrektor Wirecard Jan Marsalek pracował przez dekadę jako rosyjski szpieg, a Urząd Nadzoru Finansowego zachowywał bierność, również podsyliły wątpliwości co do szczerości zapewnień Berlina o zwalczaniu rosyjskich ingerencji. ●

Gwardia Rewolucyjna już czeka

Iran zmierza w stronę dyktatury wojskowej

To nie musi być zła wiadomość.

Robert Stefanicki

Przez cały okres rządów ajatollaha Chameneiego wpływy duchowieństwa malały, a wojska rosły. To wskazuje prawdopodobny kierunek, w jakim Iran podąży po śmierci Najwyższego Przywódcy.

Wybory parlamentarne z 1 marca były kolejnym etapem degrengolady irańskiej quasi-demokracji i porażką sterującej nim władzy klerykalnej. Co z tego, że parlament został obsadzony niemal w całości przez konserwatystów, skoro stało się to dzięki wycięciu z wyborczych list wszystkich „nielojalnych”. Frekwencja była rekordowo niska. W sondażu państwowej telewizji wyszło, że połowa Irańczyków nawet nie znała daty wyborów.

70 proc. Irańczyków chce rozdziálu religii od państwa

Jeszcze niedawno, pomimo licznych konstytucyjnych ograniczeń, Iran można było uznać za drugą po Izraelu demokrację w regionie. Stolik był przechylony, tak żeby reformiści nie mogli przejąć realnej władzy, niemniej toczyły się prawdziwe kampanie wyborcze, stronnictwa polityczne rywalizowały ze sobą, a wynik głosowania nie był z góry znany. W ostatnich kilkunastu latach, w obliczu narastającego niezadowolenia społecznego, ajatollah Ali Chamenei ściągnął cugle.

Rządy klerykałów trwają obecnie dzięki brutalnym represjom. Kosztem setek zabitych i tysięcy rannych władzy udało się spacyfikować protesty wywołane śmiercią w areszcie Mahsy Amini, młodej Kurdyjki zatrzymanej przez policję obyczajową za noszenie „nieodpowiedniego” hidżabu. Irańczycy tak bardzo nienawidzą systemu, że zdzierali turbany przypadkowym duchownym na ulicach i wzywali na demonstracjach do położenia kresu rządóm ajatollahów. Z niedawnego sondażu, który wyciekł do BBC, wynika, że poparcie dla rozdziálu religii od państwa wzrosło z 31 proc. w 2015 r. do 73 proc. obecnie.

W tej chwili jest to nierealne. Wprowadzona po rewolucji islamskiej Chomeiniego zasada wylajał al-fakih każe, aby najwyższą władzę sprawował uczony teolog w imieniu „ukrytego” 12. imama, który zgodnie z wiarą szyicką zjawi się w odpowiednim czasie jako Mahdi (prowadzony przez Boga) i ustanowi na ziemi królestwo sprawiedliwości. Najwyższy ma ostatnie słowo we wszystkich kluczowych sprawach, pełni funkcję naczelnego dowódcy sił zbrojnych, obsadza kluczowe instytucje swoimi ludźmi, zwykle także duchownymi.

Szansą na zmianę będzie śmierć Chameneiego

Wieści się ją od lat, wyliczając liczne choroby 84-letniego przywódcy, tymczasem on dalej jest aktywny. Ale nie jest nieśmiertelny.

Teoretycznie proces sukcesji jest jasny. Zadanie wyboru następcy Chameneiego należy do 88-osobowego Zgromadzenia Ekspertów. Proces przypomina papieskie konklawe – organ obraduje tak długo, jak to konieczne, w kolejnych głosowaniach eliminując kandydatów, dopóki nie wyłoni się jeden popierany przez większość.

Wynik obrad jest trudny do przewidzenia. Inaczej niż kardynałowie w Watykanie, niewielu członków zgromadzenia to liczące się, autonomiczne postacie. Są raczej pełnomocnikami czołowych polityków, dowódców wojskowych i instytucji. Ta elita jest podzielona, w niemal stałym konflikcie.

Poucządzająca jest historia, jak Chamenei został następcą ajatollaha Chomeiniego w 1989 r. Nie był faworytem. Był duchownym średniej rangi bez wymaganych przez konstytucję kwalifikacji do zostania Najwyższym Przywódcą. Nawet Chomeini swego czasu stwierdził, że Chamenei nie rozumie właściwie doktryny religijnej i nie powinien wydawać orzeczeń w istotnych sprawach.

Chamenei przez lata 80. piastował stanowisko prezydenta Iranu, jednak ma ono ograniczone prerogatywy. W tym czasie w rządzących elitach istniał podział na – uwzględniając kontekst irański – lewicę i prawicę. Chamenei był prawicowcem, a władzę sprawowała lewica. Ajatollah Chomeini powierzył lewicy najważniejsze stanowiska kierownicze, w tym prezesa sądu najwyższego, prokuratora generalnego oraz Komitetów Rewolucyjnych, czyli bezpieki.

Finalne posiedzenie Zgromadzenia Ekspertów odbyło się za zamkniętymi drzwiami. Według przecieków, w głosowaniu odpadli najwybitniejsi duchowni, w końcu członkowie zaczęli sugerować przypadkowe nazwiska, wśród nich Chameneiego. Jeden z pokonanych faworytów opisał później jego wygraną jako „spontaniczną boską interwencję”.

Po wyborze Chameneiego nadano mu brakujący tytuł ajatollaha i zmieniono konstytucję, tak aby miał władzę niemal absolutną, co zostało następnie ratyfikowane w wielce kontrowersyjnym referendum. W ciągu pierwszych trzech lat przywództwa Chamenei usunął ludzi przeciwnej opcji z niemal wszystkich kluczowych stanowisk. Zmarginalizował też większość konkurentów wewnątrz duchowieństwa, umacniając się jako niekwestionowany autorytet.

Chomeini przed śmiercią mianował następców, których potem utracano w rezultacie walk frakcyjnych. Chamenei nie chce tego robić. Nieoficjalnie mówi się, że sprzyja obecnemu prezydentowi Mohammedowi Raisiemu, faworytowi konserwatystów. Według jednego z urzędników już mianował Raisiego do trzyosobowej komisji, która ma wybrać jego następcę. Pozostali dwaj jej członkowie nie są znanymi postaciami.

Powołanie takiego pozakonstytucyjnego ciała, jeśli to prawda, może świadczyć o obawie Chame-

neiego, że Zgromadzenie Ekspertów nie będzie zdolne podjąć decyzji. Jeden z członków zgromadzenia stwierdził wręcz, że proces wyboru kolejnego przywódcy został już zakończony, ale jego nazwisko nie zostanie ujawnione, ponieważ „zagraniczni agenci mogliby go zamordować”.

Iran nie ma partii władzy

Historia pokazuje, że śmierć tyra- na bardzo rzadko powoduje koniec reżimu i prawie nigdy nie oznacza wprowadzenia demokracji. Zinstytucjonalizowane procesy sukcesji, np. w arabskich monarchiach lub systemie dynastycznym, takim jak w Korei Północnej, zapewniają stabilność przez pokolenia. W wielu innych autokracjach kotwicą systemu jest partia władzy.

Republika Islamska to przypadek szczególny. Były tam próby budowania dynastii, ale tylko przez samych zainteresowanych. Chomeini ukrócił ambicje swojego syna Ahmeda, choć ten na co dzień był jego prawą ręką. W ciągu ostatnich 15 lat politycy z różnych frakcji napomykali, że syn Chameneiego Mojtaba – też duchowny – mógłby zostać następnym Najwyższym Przywódcą. Ale Mojtaba nie dostał błogosławieństwa ojca. Iran nie ma tradycji dynastycznych.

Nie ma też partii władzy, w przeciwieństwie do innych reżimów o rewolucyjnym rodowodzie, takich jak Chiny, ZSRR czy Wietnam. Ma instytucje państwowe, które w teorii reprezentują cały kraj, jednak w praktyce ciała te są ze sobą w nieustannych sporach kompetencyjnych, np. MSZ i Gwardia Rewolucyjna toczą walkę o kształt polityki zagranicznej. Obsadzenie kluczowych instytucji zajmuje miesiące, bo frakcje kłócą się, kopią dolki, oskarżają, zaciekle rywalizują o stolki. Sędzią jest Chamenei. Co będzie, jak go zabraknie?

Najsilniejszą instytucją jest Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej, zwany potocznie Gwardią Rewolucyjną. To nie tylko formacja militarna, ale też największy kartel gospodarczy w Iranie, posiadający przedsiębiorstwa i nieruchomości, kontrolujący również znaczną część czarnego rynku. Jest wysoce prawdopodobne, że po Chameineim Gwardia przejmie stery państwa. Pewnie nie bezpośrednio, bo konstytucja stanowi, że Najwyższy Przywódca musi być duchownym. Ale może być marionetką wojska. Iran byłby jak Pakistan, gdzie rząd zazwyczaj jest cywilny, ale armia wiecznie pociąga za sznurki.

Przez cały okres rządów Chameneiego wpływy wojska stale rosły w porównaniu z wpływami duchowieństwa – jako klasy społecznej, bo Najwyższy obsadził rząd i najważniejsze instytucje lojalistami w turbanach. Ale nie jest to jednolita struktura, lecz zbiór jednostek, które stanowiska zawdzięczają Chameneiemu. Gdy ich patron odejdzie, będzie można ich wymienić, jeśli okażą się nielojalni wobec nowych władców.

Natomiast Gwardia Rewolucyjna jest zwartą instytucją, wy-

posażoną w broń, fundusze, media i więzienia, co pozwala im skutecznie wpływać na dynamikę polityczną. Nowy przywódca, aby skonsolidować swoją władzę, będzie musiał na niej polegać.

Armia może poluzować rygory obyczajowe, ale...

Nie można nawet wykluczyć, że koniec Chameneiego będzie początkiem końca władzy kleru w Iranie. Skoro duchowni cieszą się coraz mniejszym prestiżem, wojsko może się od nich odciąć.

„Jeśli przywódca Gwardii nie będą już postrzegać duchowieństwa jako źródła legitymizacji, okroją jego wpływy. Dadzą Irańczykom pewne wolności osobiste, choć nie polityczne. Pozwalając Iranom na noszenie minispódniczek, a młodzieży na seks, narkotyki i rock and roll, dyktatura wojskowa kupi sobie co najmniej dziesięć lat u władzy”, powiedział portalowi The Intercept Ali Alfoneh, autor książki „Sukcesja polityczna w Islamskiej Republice Iranu”.

Nie ma mowy o tym, by Iran stał się prawdziwą demokracją. Ale rządy wojska mogłyby być bardziej pragmatyczne niż rządy ajatollahów. Alfoneh przypomina, że Gwardia utrzymywała w przeszłości doskonale stosunki z Izraelem i USA: kupowała od nich broń i angażowała się w taktyczne sojusze przeciwko talibom i Państwu Islamskiemu. Jego zdaniem, Iran rządzony przez wojsko mógłby przypominać dzisiejszą Arabię Saudyjską, liberalizującą się społecznie, ale nie politycznie, będącą w sojuszu z USA, a zarazem prowadzącą niezależną politykę nakierowaną na utrzymanie statusu regionalnego mocarstwa.

Ten scenariusz jest prawdopodobny również dlatego, że Chamenei jest ostatnim przywódcą z pokolenia, które uczestniczyło w rewolucji, nienawidzącego Zachodu za poparcie szacha. Bez obciążenia ideologicznego Teheranowi łatwiej będzie dogadać się z USA, jeśli będzie wola i po drugiej stronie. Porozumienie i złagodzenie sankcji pozwoliłoby zażegnać kryzys gospodarczy, który jest podstawowym powodem niezadowolenia społecznego. To, w połączeniu z liberalizacją obyczajową, dałoby juncie silny mandat do rządzenia.

Oczywiście kryzys sukcesyjny może mieć całkiem inne rozwiązania. Trzeba pamiętać, że w krajach, które, tak jak Iran, niedawno doświadczyły protestów i niestabilności wewnętrznej, występuje zwiększone ryzyko zamachów stanu i kolejnych protestów po śmierci przywódcy. Tymczasem elity szyickie – o czym ostatnio napomknęło paru notabli – modlą się, aby Chamenei żył tak długo, aż ukryty imam zstąpi na ziemię i obejmie przywództwo, eliminując w ten sposób potrzebę wyznaczania następcy. ●



KALKULATOR Z MIĘSA

LICZY WOLNIEJ, ALE SPRYTNIEJ

Z niemieckiego instytutu badającego AI przywożę dwie wiadomości, dobrą i złą. Dobra jest taka, że sztuczna inteligencja nie przerobi ludzi na spinacze. Zła, że wszystko będzie po staremu: wrogowie będą nas oglupiać, a plutokraci oszukiwać i zarabiać



– Sami informatycy? Co ty. Gdybyśmy zatrudniali ludzi wykształconych tylko w jednej dziedzinie, nasza działalność nie miałaby sensu. Mamy ekonomistów, socjologów, ludzi od polityk publicznych. W końcu zajmujemy się technologią, a ona nie istnieje w próżni, tylko w społeczeństwie. Musimy wiedzieć, jaki ma wpływ na ludzi pod każdym możliwym względem.

Leonie Dorn, szefowa działu komunikacji Instytutu Weizenbauma, czeka na mnie w oświetlonym późnoludowym słońcem korytarzu. Żeby się do niej dostać, muszę przejść przez recepcję i dwie pary drzwi blokowanych interkomem. Z zewnątrz położony w zachodniej części Berlina instytut wygląda niepozornie: jasnoszary, brutalistyczny budynek z wielkimi oknami. W środku, już za podwójną gardą, panuje kłępująca wręcz cisza. Kiedy Leonie rozpoczyna oprowadzanie, mam wrażenie, że wszedłem do wojskowego laboratorium z filmów o Jamesie Bondzie, a nie do miejsca, w którym ponad setka młodych naukowców spędza całe dnie na badaniu zagrożeń wynikających z nowych technologii.

Instytut Weizenbauma powstał w 2017 r. jako wspólna inicjatywa berlińskich szkół wyższych. To one na początku zrzucały się na badanie skutków cyfrowej rewolucji. Dziś pracuje tu 188 osób, w tym 143 naukowców, a 90 proc. budżetu – 10 mln euro rocznie – zapewnia ministerstwo edukacji.

Od samego początku w centrum zainteresowań naukowców była sztuczna inteligencja – do której podchodzą ze sporym dystansem. Tak, jak chciałby ich patron.

Joseph Weizenbaum urodził się w 1923 r. w Berlinie, w rodzinie zasymilowanych Żydów. Pochodzący z Galicji ojciec handlował futrami, na czym zbił spory majątek. Matka, z wiedeńskiej klasy średniej, była oschłą i wymagająca. Przyszły twórca badań nad sztuczną inteligencją wspominał później, że czuł się przez rodziców odrzucony, nigdy dość dobry, by zasłużyć na ich szacunek. Ojciec miał

mówić mu wprost, że jest głupi i do niczego w życiu nie dojdzie.

To pierwsze doświadczenie, które nazaczyło jego postrzeganie rzeczywistości. Drugim było dojście Hitlera do władzy i rozlewająca się nienawiść do Żydów. Z powodu ustaw rasowych musiał zmienić szkołę, trafił do placówki całkowicie żydowskiej, w dodatku zdominowanej przez Żydów ze wschodu Europy, znacznie gorzej sytuowanych, rozmawiających w jidysz, a nie po niemiecku. Młody Joseph nie umiał zlać z nimi kontaktu, więc uciekł w matematykę.

Z komfortu algebrycznych ćwiczeń wyrwał go Holocaust. Ojcu udało się załatwić paszporty dla całej rodziny, uciekli do Stanów Zjednoczonych. Osiedli w Detroit. Ben Tarnoff, amerykański dziennikarz technologiczny, który opublikował w „Guardianie” esej o Weizenbaumie, jest zdania, że przeprowadza do robotniczego miasta z ogromną liczbą czarnych mieszkańców miała decydujący wpływ na polityczną formację naukowca, w kolejnych dekadach mocno zaangażowanego w ruchy lewicowe i pacyfistyczne. W przesładowanych, marginalizowanych pracownikach fabryk widział odbicie losów europejskich Żydów.

Ale najpierw wstąpił do armii. Pracował w biurze meteorologicznym, dosłużył się nawet kilku wyróżnień. Wspominał, że wojsko spełniło jego marzenia o idealnym środowisku do pracy, bo mógł jednocześnie poświęcić się matematycznym kalkucjom i walczyć z Hitlerem.

Po wojnie dokończył studia, wziął ślub, ale po kilku latach małżeństwo się rozpadło, a Weizenbaum stracił prawo do opieki nad córką. Kariera naukowa rozwijała się natomiast odwrotnie proporcjonalnie do życia rodzinnego. Techniczne wykształcenie i pasja do algebry pchnęły go ku rodzącej się wówczas nowej dyscyplinie – naukom informatycznym. W latach 40. i 50. praca z komputerami wymagała nie tylko wybitnych zdolności matematycznych, ale też sprawności technicznej, z czym Weizenbaum, prymus na zajęciach manualnych w każdej szkole, do której uczęszczał, radził sobie doskonale. Zyskiwał

coraz większą renomę, budował maszyny wykorzystywane przez Bank of America i General Electric. Ale wtedy jeszcze niespecjalnie przejmował się konsekwencjami, które rozwijana przezeń technologia przyniesie całemu społeczeństwu.

Przełom przyniosła kolejna dekada, kiedy Weizenbauma, znanego już wtedy w całej Ameryce pioniera nowych technologii, zaprosił do prowadzenia badań na słynny MIT – Massachusetts Institute of Technology. Dołączył do zespołu pracującego nad projektem MAC, sponsorowanym przez Pentagon wielomilionowym planem stworzenia komputera szybszego i bardziej kompaktowego niż dotychczasowe liczące szafy.

Praca na bostońskiej uczelni przypadła na czas ogromnych politycznych turbulencji w Ameryce, a Weizenbaum, od zawsze bardzo świadomy społecznie, nie pozostawał na nie obojętny. Szalę przechyliła wojna w Wietnamie, przeciwko której protestowali jego studenci. Jednocześnie MIT zaczęło dostawać od armii coraz więcej pieniędzy, a sekretarz obrony Robert McNamara uważał zdobycze informatyczne za kluczowy element amerykańskiej strategii militarnej.

Weizenbaum nie przerywał badań, ale coraz częściej martwiły go ich skutki. A jeszcze bardziej niepokoił fakt, że był jedynym, który w ogóle o nich myślał.

Inni badacze z jego zespołu czy nawet całej amerykańskiej społeczności naukowej nie zadawali sobie pytań o moralne konsekwencje progresu informatycznego. Coraz bardziej rozdygotanemu emocjonalnie Weizenbaumowi odpowiadali, że jeśli pieniędzy nie otrzyma MIT, popłyną na inną uczelnię, a poza tym wykorzystanie wyników badań to już zadanie polityków, a nie informatyków. Słuchał ich z coraz większym przerażeniem, bo, jak pisze Tarnoff, słyszał w ich słowach echo niemieckich naukowców, którzy poddali się nazistowskiemu reżimowi, uznając, że nauka nie ma nic wspólnego z ideologią i pozostanie od niej niezależna.

To być może najważniejsze zdanie w całej biografii Weizenbauma, który w 1966 r. dał światu Elizę, dziś powszechnie uznaną za prostą wersję modeli funkcjonujących na bazie generatywnej sztucznej inteligencji w rodzaju sławnego ChatGPT czy Gemini. Pierwszym zadaniem, które jej powierzył, była rozmowa utrzymana w tonie konwersacji z psychoterapeutą.

Eliza nie wypływała elokwentnych odpowiedzi, nie dawała złożonych rad, ale Weizenbaum bardzo szybko zorientował się, że ma jeden atut: brzmi jak człowiek. Jego zdaniem nie wynikało to jednak z zaawansowania technologicznego programu, ale z tego, jak ludzie podchodzili do komputerów. Zaobserwował zjawisko, które nazwał „Efektem Elizy”, a którego dynamika była ludzaco podobna do tego, co w psychologii i psychoterapii nazywa się przeniesieniem. Ponad pół wieku przed Weizenbaumem Zigmunt Freud i Carl Gustav Jung zauważyli, że pacjenci projektują na terapeutę swoje uczucia, fantazje czy niespełnione relacje, na przykład z jednym z rodziców. Projekcja jest nieświadoma, ale prowadzi do wyimaginowanej relacji, takiej, jaką pacjent chciałby kiedyś mieć z osobą będącą tej projekcji źródłem.

Weizenbaum obserwował ludzi wchodzących w interakcje z Elizą i doszedł do wniosku, że robią z komputerem to samo, co wiedeńska socjeta robiła z Freudem w jego gabinecie – tworzą sztuczną relację. Wtedy po raz pierwszy przestraszył się tego, jak łatwo ludzie są w stanie sami siebie oszukać, zaczynając traktować komputer jak drugiego człowieka.

Od tego momentu jego proces myślowy nabrał rozpędu i klarowności. Skoro interakcja z komputerem daje nam to samo odczucie, co kontakt z drugą osobą, możliwy jest świat, w którym ludzie i maszyny będą wzajemnie zastępowalne.

Taka wizja przeraziła Weizenbauma, bo był zdania, że komputery nigdy nie zdołają rozwinąć takiej samej inteligencji jak człowiek. Swoje rozumowanie opierał na filozofii języka: komputer nigdy nie zrozumie człowieka, tak jak dwóch ludzi nigdy nie dojdzie do wzajemnego pełnego zrozumienia, bo wszyscy składamy się z unikatowych zbiorów doświadczeń, które mają konkretne, nieprzekazywalne znaczenie tylko dla nas. Niemożliwe jest ich całkowite wyrażenie „w jakiegokolwiek przestrzeni poza sobą samym” – napisał w 1967 r.

Rosnąca opozycja wobec ignorowania etycznych konsekwencji rozwoju technologicznego, połączona z coraz większym zaangażowaniem w ruchy antywojenne przysporzyła mu wielu wrogów. Im bardziej Weizenbaum walczył o odróżnienie człowieczeństwa od algorytmu, tym głośniejsi byli jego krytycy, uważający ludzi mózg za „maszynę z mięsa”, bez żadnych unikatowych atrybutów, których nie dałoby się przekazać komputerem.

Szczytem jego kariery naukowej była opublikowana w 1976 r. książka „Computer Power and Human Reason: From Judgment to Calculation”. Wyłożył w niej swoje credo, w którym ponownie argumentował, że pomiędzy człowiekiem a maszyną istnieją nieprzekraczalne granice. Wynikają one ze sposobu, jakim nabywamy wiedzę, na podstawie której podejmujemy decyzje. U człowieka wiedza ta wywodzi się z akumulowanych życiowych doświadczeń, których nie da się skodyfikować i przenieść na równania matematyczne. Mówiąc najzwyczajniej, to wartości jakościowe, a nie ilościowe. Maszyny z kolei dochodzą do konkluzji wyłącznie na bazie obliczeń – kalkulacje z tytułu książki to dla nich jedyne źródło informacji. W przeciwieństwie do człowieka nie mogą kierować się wartościami, bo ich po prostu nie znają. Te wywodzą się z doświadczeń, których maszyny nie przeżyły.

Drugą tezę pracy Weizenbauma było przekonanie, że są obszary życia społecznego, w których nawet nie powinno się myśleć o zastępowaniu człowieka programem komputerowym – a co dopiero próbować to robić. Skoro bowiem maszyny nie są zdolne do decyzji wynikających z etyki, oddelegowanie im prawa do ich podejmowania jest zwyczajnie nieetyczne. Nigdy nie powinny więc zastępować psychologów, ale też generałów w wojsku czy prezesów w firmach. Oddawanie w ręce maszyny losów tysięcy pracowników czy milionów cywili zwalniałoby przywódców i zarządców z odpowiedzialności, bo każde podjęte w ten sposób działanie dałoby się obronić jako racjonalne. Weizenbaum porównał zafascynowanych rozwojem sztucznej inteligencji proroków technologicznych do pilota, który nie czuje się winny za śmierć małych dzieci w zbombardowanej przez niego wiosce, bo zrzucał ładunek nie widząc swoich ofiar, na podstawie decyzji podjętych przez przełożonych z pewnością wiedzących, co robią.

Te tezy zostały spisane ponad pół wieku temu – i na dekady zapomniane, także dlatego, że postęp w dziedzinie sztucznej inteligencji gwałtownie zwolnił. Przyspieszył na nowo w ostatnich kilkunastu latach. A im bardziej chat boty i generatywna AI wdzierały się w ludzkie życie, tym więcej osób zaczęło dostrzegać ryzyka z nimi związane. A przez to – wracać do Weizenbauma, zmarłego w 2008 r.

W tym renesansie pomogły też zbiegi okoliczności. Jak chociażby ubiegłoroczna historia młodego mężczyzny z Belgii, który popełnił samobójstwo po długich rozmowach z chatbotem na temat przyszłości ludzkości w dobie katastrofy klimatycznej. Belg bał się, że odwrócenie negatywnego trendu klimatycznego jest już niemożliwe, a bot utwierdzał go w tym przekonaniu. Te rozmowy pogorszyły jego stan psychiczny i najpewniej pchnęły w kierunku samobójstwa. Aplikacja, z której korzystał, nosi nazwę Chai. Chatbot, który pogłębił jego depresję, przedstawiał się jako... Eliza.

Duch Weizenbauma unosi się nad berlińskim instytutem w sposób trudny do zignorowania. Czasem można odnieść wrażenie, że pracujący tu ludzie mówią cytatami z jego książek.

– Macie u siebie w kraju radę do spraw sztucznej inteligencji, w której nie ma żadnego etyka albo reprezentanta strony społecznej? Auć. Słabo.

Dr Milagros Miceli pracuje „u Weizenbauma” od sześciu lat. Jej wykształcenie idealnie wpisuje się w misję placówki – studiowała informatykę i socjologię. Prowadzi grupę badawczą zajmującą się tzw. data work, czyli różnymi pracami wykonywanymi w celu przygotowania baz danych, którymi karmione są później tzw. LLM-y, duże modele językowe.

Twórca badań nad sztuczną inteligencją wspominał, że czuł się przez rodziców odtrącony, nigdy dość dobry, by zasłużyć na ich szacunek

Od początku rozmowy dr Miceli pokazuje, że w rozwoju AI dostrzega całą masę zagrożeń. Dopiero później zrozumie, że są to tak naprawdę zagrożenia zupełnie innej natury niż popularne dziś kasandryczne wizje zagłady ludzkości dokonanej przez kierującą się swoimi niepojętymi celami, obojętne, śmiercionośne sztuczne świadomości.

– Tak, to prawda, mamy już potężne modele o mocy obliczeniowej nieporównywalnej z niczym w historii. Ale pamiętaj, że dane używane do ich trenowania nie rosną na drzewach. Biorą się z konkretnych działań, najczęściej ludzkich. A stworzenie całkowicie neutralnej bazy danych jest niemożliwe.

Jednym z głównych zainteresowań dr Miceli jest ludzki komponent trenowania algorytmów. W tej pracy wykorzystuje się dziesiątki tysięcy fatalnie opłacanych pracowników, najczęściej w krajach Globalnego Południa. – Outsourcing w tym obszarze jest powszechny – mówi badaczka. Robią to wszyscy, nawet najwięksi giganci Doliny Krzemowej. W ubiegłym roku magazyn „Time” opublikował śledztwo dziennikarskie opisujące warunki, w których pracownicy kenijskiej firmy Sama, podwykonawcy słynnej firmy OpenAI, pracowali nad filtrowaniem treści internetowych. Dane zidentyfikowane jako szkodliwe nie wchodziły do baz danych, którymi karmiono potem ChatGPT.

Reporterzy opisali niewykonane cele stawiane pracownikom, brak dostępu do opieki psychologicznej, szokująco niskie wynagrodzenie. Za godzinę pracy Kenijczycy otrzymywali 1,5 dolara. Dwa dolary to stawka dla bardziej doświadczonych – choć w kontrakcie z OpenAI Sama zapisała 12,5 dolara. Stawka za dziewięć godzin czytania liczących nawet 1000 słów fragmentów tekstu, często z obscenicznymi, szokującymi treściami, była niższa od tej, którą otrzymują recepcjoniści w kenijskich hotelach i sporo niższa od średniej krajowej.

– Nie musisz szukać tak daleko, żeby znaleźć podobne historie – mówi mi dr Miceli, kiedy pytam o inne przykłady wykorzystania taniej siły roboczej

przez największe korporacje świata. Dodaje, że wybór podwykonawcy nigdy nie jest przypadkowy, a strategię identyfikowania społeczności, z których łatwo będzie rekrutować osoby czyszczące bazy danych, są bardzo zaawansowane.

– To zawsze są państwa, w których jest wysoka inflacja i bezrobocie, gdzie toczy się wojna lub gdzie jest sporo uchodźców. Przy czym każdy przypadek jest inny. W Wenezueli i Argentynie, dwóch krajach z kompletnie zrujnowanymi gospodarkami, tak zwani platform workers to głównie młode osoby bez perspektyw na inną formę zatrudnienia. W Turcji to przede wszystkim uchodźcy z Bliskiego Wschodu, w krajach afrykańskich kobiety. Bardzo często też firmy outsourcingowe biorą na cel samotne matki albo osoby niepełnosprawne.

Na czym dokładnie polega ich praca? – To Zależy od spółki, która ich zatrudnia. Czasami, tak jak w Kenii w tej historii z OpenAI, to czytanie tekstu i dobieranie właściwych etykietek: czy jest obraźliwy, czy opisuje przemoc, do czego się odnosi. Inne firmy trenują za pomocą platform workers swoje modele identyfikujące obraz lub dźwięk. Pracownicy muszą na przykład wrzucać do sieci własne selfie i potem weryfikować, czy system dobrze zidentyfikował ich pochodzenie etniczne, a nawet narodowość. To samo robi się z językiem – technologie napędzane sztuczną inteligencją są wykorzystywane do identyfikacji akcentów i dialektów, żeby powiązać głos z faktycznym miejscem, z którego pochodzi dana osoba.

– I to naprawdę jest powszechna praktyka? – Wszyscy tak robią, tylko rzadko się do tego

przyznają. Ale żeby było jasne – ja nie uważam, że to powinno być zakazane. Nie jestem przeciwko istnieniu platform workers. Nie w tym tkwi problem.

– A w czym? – W dwóch rzeczach: narracji i regulacji. Narracja jest fałszywa, bo udaje, że tych ludzi nie ma. A przecież dane trzeba wyprodukować i ktoś to musi zrobić. Wszyscy ewangeliccy sztucznej inteligencji opowiadają o niej, jakby to była technologia samonapędzająca się w jakiś cudowny sposób. Tak nie jest, przynajmniej na razie. Regulacje natomiast mogłyby po prostu zlikwidować te koszmarnie warunki pracy – czy raczej zwykły wyzysk. Giganci z USA zarabiają miliardy, a ludzi, którzy współtworzą ich algorytmy, często nie stać na nic.

Dr Miceli właściwie na każde pytanie odpowiada w takim stylu, że równie dobrze mogłaby czytać fragmenty prac patrona swojej placówki. Czy pytam o AI jako koło zamachowe wzrostu gospodarczego, czy o wyrównywanie szans w edukacji, czy o zastąpienie człowieka w najbardziej nużących i nieproduktywnych pracach, swoją wypowiedź zaczyna od tych samych słów: pozwól, że będę sceptyczna.

Najwięcej sceptycyzmu okazuje jednak, kiedy rozmowa schodzi na temat unijnych regulacji sztucznej inteligencji.

– W tej dyskusji źle rozkładamy akcenty. Rozmawiamy na temat apokalipsy, maszyn, które przerobią nas na spinacze, a nie widzimy znacznie poważniejszych problemów, które już teraz trzeba rozwiązać.

– To znaczy? – Interesów korporacyjnych wpisanych w już istniejące prawodawstwo. Pamiętasz, jak rok temu szef OpenAI Sam Altman pielgrzymował po Europie i bajerował dosłownie każdego, kto miał na cokolwiek wpływ?

– Pewnie, był nawet w Warszawie. Niektórzy zachowywali się, jakby do Polski przyjechała krzyżówka papieża i Taylor Swift.

– No właśnie, i wcale nie byliście wyjątkiem. Na tym polega problem, że Altman i jemu podobni przy

stole, na którym tworzą się regulacje dotyczące ich własnych firm, są traktowani jak guru, celebryci, VIP-y, a nie równoprawni uczestnicy debaty. Dlatego uważam, że brak osób zajmujących się etyką w radzie konsultacyjnej przy waszym ministerstwie cyfryzacji, to niedorzeczność. Takie ustawienie problemu upowszechnia przekonania, że spółki technologiczne nie tylko mogą, ale też powinny regulować się same.

– A co, jeśli inaczej się nie da? Coraz częściej słychać głosy, że nawet autorzy modeli AI nie do końca wiedzą, jak one działają. To jak miałoby to wytłumaczyć regulatorowi? – pytam, próbując być adwokatem diabła.

– To trudne pytanie – przyznaje dr Miceli – bo jakiej odpowiedzi bym ci nie dała, ona będzie w interesie OpenAI czy Google’a. Jeśli uznamy, że rzeczywiście te modele to zamknięte tajemnicze skrzynki i nie wiemy co w nich jest – tylko jeszcze bardziej nakręcimy zająwkę na AI. Będziemy ją mitologizować, mówić o niej, jakby była nadprzyrodzonym zjawiskiem. Poza tym to odrzucanie odpowiedzialności. Każdy z tych menedżerów może powiedzieć, że nie przewidywał zachowania swojego modelu, więc nie można go winić za skutki jego aktywności. Natomiast jeśli każemy im wszystko ujawniać, to zbudują narrację o prześladowanych korporacjach i przypuszczą ofensywę lobbingsową albo nawet wezmą zabawki i sobie pójdą. Tak czy siak zyskają.

Jej zespół w Instytucie Weizenbauma regularnie spotyka się z przedstawicielami administracji publicznej, żeby pokazać im zagrożenia płynące z bezrefleksyjnego używania AI. Po zakończeniu każdej sesji Bundestagu odbywają się spotkania w formacie „Pizza z...”, gdzie w nieformalnej atmosferze, ale za zamkniętymi drzwiami prezentowane są wyniki badań naukowców. Najświeższym punktem spornym jest zastosowanie technologii z wykorzystaniem sztucznej inteligencji w polityce migracyjnej.

Dr Miceli: To jedno z miejsc, w których AI w ogóle nie powinno być, kropka. Wykrywanie emocji, biometryka głosu, identyfikacja akcentu – teoretycznie nie wolno w tych dziedzinach stosować podobnych technologii, ale dla migracji robi się wyjątek, bo klasyfikuje się ją jako kwestię bezpieczeństwa narodowego. A te modele nie są obiektywne. No i wielu rzeczy zwyczajnie nie da się zmierzyć.

– Akurat detekcja emocji z mowy i mimiki twarzy jest coraz bardziej popularna. W Polsce w czasie ostatniej kampa-

Kenijscy podwykonawcy OpenAI pracujący nad filtrowaniem treści, którymi karmiono potem ChatGPT, za godzinę otrzymywali 1,5 dolara. Stawka za dziewięć godzin czytania obscenicznych, szokujących materiałów, była niższa od tej, którą otrzymują recepcjoniści w kenijskich hotelach

nii wyborczej takie skanowanie podczas rozmów wynajętych badaczy z wyborcami było hitem.

– Nie ma czegoś takiego.

– Tysiące ludzi tego używa.

– To, że ktoś wierzy w jakieś rozwiązania technologiczne wcale nie znaczy, że nauka potwierdza jego skuteczność – śmieje się dr Miceli. Poza tym przy tych wszystkich czytnikach biometrycznych kluczowe są założenia. Jak zdefiniowano nerwowość? Jak zdefiniowano kłamstwo? Jakie dane weszły do tego modelu? No i jaki jest margines błędu. Zobacz na swoim przykładzie. Ty jesteś Włochem, prawda?

– W połowie.

– A mówisz po włosku?

– Tak, chociaż nigdy tam nie mieszkalem.

– No widzisz. Więc twój akcent jest dość dziwny, na pewno nie należy do typowych. Gdyby automat na jakieś granicy poprosił cię o wypowiedź, mógłby nie uznać cię za Włocha. A przecież masz paszport i prawnie nim jesteś. To teraz sobie wyobraź ludzi z Bliskiego Wschodu, którzy mają wieloletnią historię migracji między różnymi krajami i być może są na przykład z Syrii, ale po 10 latach w Turcji czy Libanie nie brzmią już jak Syryjczycy – więc system ich odrzuci. Naprawdę

chcemy, żeby maszyna podejmowała zerojedynkowe decyzje w takich sprawach?

Nieetyczna sztuczna inteligencja, krytyka wielkiego biznesu, obawa przed delegowaniem odpowiedzialności – czysty Weizenbaum.

Echa jego poglądów odnajduję też, rozmawiając z dr Elizawetą Kuznetsovą, która zajmuje się badaniem dezinformacji w internecie. Jej CV to kolejny dowód na holistyczne – co redaktor poprawił mi na całościowe, komentując, że sam nieświadomie poddałem się technokratycznej nowomowie – podejście berlińskiego ośrodka do technologii: magisterka z dziennikarstwa, doktorat z nauk politycznych, staże na Harvardzie i Boston University. I podobny sceptycyzm, a może realizm: według niej regulacje technologiczne niewiele zmieniają, bo największe firmy i tak się do nich nie stosują. Podaje przykład X, dawnego Twitera, który nie przekazuje badaczom informacji na temat wewnętrznych mechanizmów walki z fake newsami, chociaż jest do tego prawnie zobligowany.

Kiedy pytam o zagrożenia płynące z deep fake’ów i dezinformacji napędzanej AI, dr Kuznetsova wzrusza ramionami.

– Tak naprawdę niewiele to zmienia.

– Jak to? Przecież te obrazki, Trump w kajdankach, papież w puchówce, są coraz bardziej realistyczne. Niedawno w New Hampshire głos Bidena w słuchawce zniechęcał do udziału w wyborach.

– Zmienia się forma, treść zostanie taka sama. Spójrz na rosyjską propagandę. Ona nie jest w ogóle wyrafinowana, czasami to są wręcz zrzuty ekranów z gier komputerowych. Problemem nie jest zaawansowanie kłamstw, ale ich ilość. Tym Rosjanie wygrywają – że zalewają internet kłamstwem. Treści kłamliwych i zmanipulowanych jest dzisiaj w sieci więcej niż prawdy.

Według dr Kuznetsovej o problemie dezinformacji można mówić wyłącznie całościowo i z lotu ptaka, bo na każdej platformie ma ona inną postać. Telegram to skupisko prymitywnych fejków, których pochodzenia nie da się zidentyfikować. Na Facebooku propaganda jest bardziej zaawansowana, a na X już nie ma botów – kłamstwa szerzą ludzie, realni użytkownicy. Z jej badań wynika, że platformy inwestują coraz więcej w identyfikowanie fake newsów, ale niemal wyłącznie tych anglojęzycznych. W innych językach, na czelu z rosyjskim, jest fatalnie. Polskojęzyczna propaganda też wymyka się mechanizmom filtrującym.

Obie badaczki, choć wyrażają je w różny sposób, zdają się mieć jedno marzenie: żeby do technologii podchodzić ze wszystkich stron naraz. Dr Kuznetsova mówi o potrzebie edukacji medialnej i cyfrowej, dr Miceli – o porzuceniu pomysłu jednej globalnej regulacji dla AI i zastąpienia jej siecią mniejszych, ale skuteczniejszych aktów.

Robią, co mogą, żeby to marzenie spełnić. W lutym Instytut Weizenbauma zawiózł do Brukseli pierwszą w historii delegację platform workers, którzy spotkali się z deputowanymi do Parlamentu Europejskiego.

– Musimy zmusić korporacje, żeby przestrzegały prawo – mówi dr Kuznetsova.

– Nie można pozwolić, żeby same się audytowały, potrzebna jest zewnętrzna kontrola – dodaje dr Miceli.

W tle wszystkich tych rozmów majaczy Joseph Weizenbaum. Dosłownie, bo jego podobizna jest wszędzie w instytucie. Ale też w przenośni, bo pół wieku od publikacji jego najważniejszej książki wszystkie opisane tam zagrożenia już nie są tylko mglistą wizją przyszłości. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295976

**19 MARCA,
GODZ. 18:00**

**SPOTKANIE Z AUTOREM
POPROWADZI
MARIUSZ SZCZYGIEŁ**

Faktyczny Dom Kultury,
Warszawa,
Gałczyńskiego 12

WSTĘP WOLNY

PRIMADONNA
BIOGRAFIA
BOGUSŁAWA KACZYŃSKIEGO

BARTOSZ ŻURAWIECKI

**SZCZERY I BEZKOMPROMISOWY
PORTRET GWIAZDY
TELEWIZJI I ESTRADY**

Bogusław Kaczyński był mistrzem autokreacji. Po raz pierwszy zasłone jego anegdot i zmyśleń przenika Bartosz Żurawiecki – krytyk filmowy i pisarz, pokazując ikonę świata muzyki z jego kompleksami, tajemnicami i niespełnionymi marzeniami. Takiego Bogusława Kaczyńskiego nie mieliśmy okazji poznać.

PREMIERA 13 MARCA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



ADAM MICHNIK POLECA: **CO SIĘ DZIEJE W SERBII**

FOT. OLIVER BUNIC/APPE/FAST NEWS



CHCEMY PRAWDZIWYCH WYBORÓW

Prezydent Serbii negocjuje członkostwo w UE. A zarazem utrzymuje przyjacielskie stosunki z Rosją, Chinami, Węgrami

Magdalena Petryńska

Po raz pierwszy od lat ludzie wyszli na ulice Belgradu i innych serbskich miast w maju 2023 r. po dwóch kolejnych strzelaninach w szkołach w Belgradzie i Mladenovac (18 ofiar śmiertelnych, wielu rannych). Marsze milczenia pod hasłem „Serbia przeciw przemocy” przerodziły się w protesty przeciw rządowi, który zlekceważył wydarzenia, uznając je za działania antyrządowe, i jako winnych zakłócania porządku wskazując organizacje pozarządowe wspomagane przez Zachód.

Prezydent Aleksandar Vucić tym razem docenił siłę ulicy i zapowiedział rozwiązanie parlamentu i przedterminowe wybory parlamentarne i lokalne.

Partie uczestniczące w protestach zawiązały koalicję pod sprawdzoną już nazwą Serbia Przeciw Przemocy. Znalazło się w niej

15 partii, dużych i małych, od socjaldemokratów poprzez centrystów po Zielonych i partie mniejszości narodowych. Wszystkie deklarowały proeuropejską orientację, a wśród haseł, z jakimi poszły do wyborów, była walka z korupcją, praworządność, wolność mediów.

Wybory odbyły się 17 grudnia, wygrała je Serbska Partia Postępowa pod wodzą prezydenta, startująca z listą „Aleksandar Vucić – Serbia nie może się zatrzymać”. Kampania potwierdziła podporządkowanie wszystkich organów państwa partii rządzącej i jej przywódcy.

Opozycja natychmiast zainicjowała liczne manifestacje. Przeciw sfałszowaniu wyborów już 18 grudnia protestowała młodzież, głównie studenci. Masowe manifestacje odbywały się na ulicach, pod parlamentem, Sądem Konstytucyjnym, siedzibą telewizji.

Szczególne oburzenie wywołały wybory do władz Belgradu, gdzie opozycja miała szansę wygrać – pod lokale wyborcze zwie-

ziono ludzi z Republiki Serbskiej (części Bośni i Hercegowiny, a więc obywateli innego kraju), na listach wyborców znalazły się osoby zmarłe, nieistniejące lub błędne adresy. Opozycja złożyła skargi do Sądu Konstytucyjnego. Zagraniczni obserwatorzy potwierdzili nieprawidłowości w przeprowadzeniu wyborów.

Protesty odbywały się nadal w każdy weekend.

Opozycja domaga się unieważnienia wyborów, demokracji, równego dostępu do mediów, walki z korupcją i przestępczością zorganizowaną. Prezydent zapewnia, że wybory były uczciwe i nikt tak jak on nie poprowadzi Serbii w świetlaną przyszłość.

Vucić jest prezydentem od 2017 r., wcześniej był współzałożycielem Serbskiej Partii Postępowej i jej przewodniczącym, premierem (2014–17), a jeszcze wcześniej, w latach wojen bałkańskich (od 1993 r.), działaczem nacjonalistycznej Serbskiej Partii Radykalnej Vojislava Szeszelja.

W czasie protestów przeciw rządowi Miłoszevicia (2000), które doprowadziły do jego upadku, jako minister informacji był autorem przepisów nakładających kary na antyrządowych dziennikarzy i uniemożliwiających pracę mediom zagranicznym. Przeprosił za to w 2014 r., będąc wicepremierem.

Dzisiaj deklaruje się jako polityk proeuropejski, negocjuje członkostwo w UE, a jednocześnie utrzymuje przyjacielskie stosunki z Rosją, Chinami, Węgrami czy Turcją. Unia domaga się od Serbii m.in. normalizacji stosunków z Kosowem, którego Serbia wciąż nie uznaje jako państwa. Nie dołączyła także do sankcji wobec Rosji – przeciwnie, stosunki tych państw stale się zacieśniają.

Tymczasem lokalny parlament w Belgradzie wciąż nie może się ukonstytuować, bo trzeci już raz (3 marca) zabrakło kworum, a partia rządząca nie jest w stanie stworzyć większości. Vucić zmuszony jest więc do ogłoszenia nowych belgradzkich wyborów. Opozycyjni przywódcy uważają datę 3 marca za początek przegranej jego partii.

ADAM MICHNIK POLECA: CO SIĘ DZIEJE W SERBII

SPRZEDALI NASZĄ ZIEMIĘ, WODĘ, POWIETRZE

Jeśli obywatele nie zwyciężą w walce z kradzieżą grudniowych wyborów,
to w Serbii więcej wyborów nie będzie

Dragan Velikić*

Ostatni Mohikanie

Wybory z 17 grudnia pokazały, że policja i sądownictwo zabezpieczają w Serbii bezprawie. Obywatele są zakładnikami mafijnego reżimu, który nawet nie próbuje już tego ukryć. To, co stało się w wyborach, jest otwartą przemocą i kradzieżą. Anarchia to sposób, w jaki prezydent Vuczić sprawuje władzę.

Wybory w Serbii przypominają mecz piłki nożnej, kiedy jedna drużyna szanuje reguły gry, a druga wychodzi na boisko z kijami do baseballa. Bandzie rozbijaków ze środowiska kiboli przewodzi sekretarz serbskiego rządu. Na kierowniczych stanowiskach w policji i agencji bezpieczeństwa więcej jest kryminalistów niż odważnych inspektorów.

Co stało się ze zgłoszeniem przestępstwa przeciw Nikoli Petroviciowi, świadkowi ślubnemu Vuczicia, oskarżonemu o to, że pod wpływem narkotyków spowodował wypadek, w którym dwie osoby zostały ranne? Co stało się z Milanem Radoiczić, inicjatorem akcji „Kiedy serbskie wojsko wróci do Kosowa” – ale on nie wyzwał serbskiej świętej ziemi, tylko zwiedza plantacje marihuany na północy Kosowa.

[Radoiczić – b. wiceprzewodniczący partii kosowskich Serbów, przyznał się do serbskiego ataku w Kosowie, w którym zginęły cztery osoby, zatrzymany w październiku 2023 r.].

Wypowiedź premierki Any Brnabić, że zagraniczni obserwatorzy destabilizują Serbię, to klasyczny przykład destabilizacji zdrowego rozsądku. Toksyczność, jaką wytwarza ta postać, od dawna przekroczyła wszelkie granice. Jej jedyną rolą jest produkowanie nieznośnej irytacji właściwej tylko pierwotnemu złu. Niebywałą ilością kłamstw zalewa przestrzeń publiczną po to, żeby utrzymać wysoki poziom napięcia w głęboko podzielonym społeczeństwie.

*Największy złodziej i kłamca przechadza się po tarasie
pałacu prezydenckiego, gdy policja aresztuje dzieciaki
na pokojowych protestach*

Hasło Serbskiej Partii Postępowej „Serbia nie może się zatrzymać” pokazuje tak naprawdę strach lidera tej listy, przed strajkiem generalnym – tego boi się najbardziej. Żeby Serbia po 11 latach błądzenia po bezdrożach ruszyła wreszcie prostą drogą, musi się najpierw zatrzymać.

Vuczić, znalazłszy się na czele listy SPP, jawnie pokazał, że nie jest prezydentem wszystkich Serbów. Przez całą kampanię wyborczą stwarzał w swych wyborcach wrażenie, że uczestniczą w wyborach prezydenckich. Był jej najaktywniejszym oficjalnym nieuczestnikiem.

Vuczić zrobił z Serbii mafijny raj. Poruszająca jest jego troska o majątek Serbii w postaci kilku wybitnych szyb w gmachu ratusza. A co z rabunkiem, jakiego dokonuje już od 11 lat? Sprzedał Serbię – ziemię, wodę, powietrze!

To jest walka o istnienie enklaw normalności, w których żyją ostatni Mohikanie. Jeśli obywatele Serbii nie zwyciężą w walce z kradzieżą grudniowych wyborów, to wyborów więcej nie będzie. Bez dostępu do publicznego radia i telewizji nie ma wyborów. Alternatywą jest strajk generalny.

Komendant główny policji oświadczył – dzień przed desantem jego hord na spokojnych obywateli, kiedy pozwolił stadom prowokatorów swobodnie opuścić plac przed ratuszem – że żandarmi i policja najpierw zostali zaatakowani, a dopiero potem zareagowali. Zapowiedział również, że żadne akty przemocy, blokady komunikacji i mostów, które wywołują niepokoje i zakłócają „normalne” życie obywateli, nie będą tolerowane.

Czy ten człowiek wie, co mówi? Broni gangu przestępców, którzy za pomocą kłamstwa i korupcji uzurpują sobie władzę w Serbii. To oni wywołują niepokoje i budzą gniew obywateli. Największy złodziej i kłamca przechadza się po tarasie pałacu prezydenckiego, gdy policja aresztuje dzieciaki na pokojowych protestach.

Prowokatorzy wyrrywają kostkę brukową, rozbijają szyby w ratuszu, a potem w cudowny sposób znikają na ulicy Królowej Natalii. Kordon ich przepuszcza – bo wszyscy mają jedno zadanie, utrzymać wysypisko śmieci, jakim jest Serbia. ●

Tekst ukazał się 3 stycznia w belgradzkim tygodniku „NIN”. Tytuł: „Wyborcza”

***Dragan Velikić** – ur. w 1953 r., serbski pisarz, publicysta i dziennikarz, był redaktorem w belgradzkim radiu B’92. Autor 11 powieści (cztery ukazały się w Polsce), opowiadań i esejów. Oba jego teksty przełożyła Magdalena Petryńska.

Męcząca jest ta zmarszczona twarz

W dniu, kiedy wydarzyła się tragedia [strzelanina] w szkole podstawowej im. Vladislava Ribnikara w Belgradzie, prezydent Vuczić na konferencji prasowej wypowiedział zdanie: „Myślę, że najważniejsze jest powstrzymanie szerzenia kłamstw”.

Mówi to osoba, która codziennie wypowiada tyle kłamstw, że obywatele dawno oślepli. Prezydent nie ma konkurencji jako inicjator hiperinflacji kłamstw. Jego naruszenia prawa i konstytucji nie są już żadną wiadomością. Wszystko, co robi, służy jedynie promocji własnej osoby.

Dlatego jestem przekonany, że tragedie [w szkołach], jakie wydarzyły się w ciągu zaledwie 48 godzin, mocno rozgniewały prezydenta. Bo zagrożona została jego mantra, że żyjemy w złotej erze, że emerytury i płace nigdy nie były wyższe, że jesteśmy w regionie liderem, że nigdy nie budowano w Serbii tylu dróg i mieszkań, że cały świat nam zazdrości, a wszystko to dzięki niemu, że on nieustannie pracuje i nigdy nie odpoczywa.

I nagle, jak grom z jasnego nieba zabójstwa, które wstrząsnęły Serbią. Zamiast wpisać się do księgi kondolencyjnej, wygłosić przemówienie do narodu i pozwolić służbom robić to, czego się od nich oczekuje, prezydent chce być sędzią najwyższym i nie schodzi z ekranów. Męcząca są te pauzy, te chwile ciszy, coraz dłuższe, to złe aktorstwo, to szeptanie i zmarszczona twarz, za czym – to pewne – ukrywa się jakaś diagnoza.

Jest niedopuszczalne, aby prezydent, premierka i członkowie rządu zwracali się do obywateli z telewizji Pink, tego rozsądnika języka nienawiści. Czy zapomnieliśmy, że w tej telewizji o ogólnokrajowym zasięgu od lat wskazuje się jako cel tych, którzy nie są mili reżimowi?

*Żyjemy w kraju, w którym zbrodniarze wojenni z wyrokiem
mają status idoli. A władza wycofuje się przed bojówkarzami,
których sama stworzyła*

Człowiek, który nie jest w stanie sklecić pięciu zdań, nie skracając w kampanię wyborczą, naprawdę jest obrazą dla zdrowego rozsądku. Manipulator, który nie traci okazji, żeby się załapać na szantaż. Do kogo się zwraca, wypowiadając same banały, obraźliwe nawet dla kogoś o skromnym IQ?

Rozbraja Serbię, grozi nierealnym. Zajmuje uwagę tanimi trikami, proponuje to, czego ludzie lubią słuchać, i zaraz dodaje, że wtargnięcia policji do mieszkań i rewizje są niezgodne z europejskimi standardami.

„I teraz dopiero będzie!” – grozi prezydent. – Nie jesteśmy mordercami, jesteśmy tu po to, żeby walczyć z mordercami. Zabić dzieci i po dwóch latach sobie spacerować. Dziś zaproponowałem premierce Brnabić karę śmierci, ale tego się nie da zrobić według tych jakichś tam mądrych konwencji”.

Kogo prezydent wzywa do tablicy? Unię Europejską? I wyznaje, że sam kiedyś był przeciw karze śmierci, ale dziś gorzko tego żałuje.

Żyjemy w kraju, w którym zbrodniarze wojenni z wyrokiem mają status idoli, a władza wycofuje się przed hordami bojówkarzy, których sama stworzyła, żeby policzyć się z obywatelami, tymi, co jej nie popierają. W kraju, który neguje ludobójstwo. W kraju, w którym ta sama władza przed 30 laty prowadziła ludzi na wojnę, a dziś prowadzi ich do UE.

Czy pan jest normalny, panie prezydencie? Jakim prawem jest pan pierwszym czytelnikiem kartotek chorych? Pierwszym widzem filmów z kamer kontrolnych? Czy kiedykolwiek zastanowił się pan nad swoim wkładem w katastrofalną sytuację w Serbii? Na tej samej zasadzie, na jakiej chronił pan ministra finansów Siniszę Mali i Bratislava Gaszicia, szefa bezpieczeństwa, dziś uniewinnia pan telewizję Pink i Hepi – Sodomę i Gomorę Serbii – bastiony zła, na których opiera się pańska władza.

Niech się pan wstydzi, że dopiero po siedmiu latach od wyburzenia ulicy Hercegovackiej [tę stara mieszczańską ulicę zrujnowała grupa bandytów, policja nie interweniowała] publicznie się pan przyznał, że to pan wydał rozkaz przeprowadzenia akcji. Niech się pan wstydzi, że dwa dni później zaprzeczył pan, jakoby kiedykolwiek pan to powiedział. Ale jest to zgodne z pana oszukańczą logiką. To pana sposób gry. To pan – maskotka obłudy i fałszu! ●

Tekst ukazał się w tygodniku „NIN” 11 maja 2023 r. Tytuł: „Wyborcza”

ADAM MICHNIK POLECA: CO SIĘ DZIEJE W SERBII

ROZSZARPANE CIAŁO KRÓLA

Tożsamościowi bojownicy nieprędko stracą status najważniejszej i najlepiej opłacanej części naszych społeczeństw

Ivan Čolović*

Król Tvrtko I Kotromanić (1338-91) dołączył do długiej listy ważnych postaci z politycznej i kulturalnej historii Bałkanów, o których przynależność narodową prowadzone są tzw. bitwy tożsamościowe. Wspomnijmy tylko najważniejsze: Aleksander Macedoński, Ban Kulin, Skanderbeg, poeci Marin Držić, Njegoš, noblista Ivo Andrić, uczeni Nikola Tesla, Milutin Milanković. Można by powiedzieć, że im ważniejsza postać, tym bardziej dyskusyjna jest jej przynależność narodowa, jakby wielkość zawdzięczała temu, że pasuje do jakiejś „tożsamości narodowej”.

Tvrtko, choć jest w tym towarzystwie jednym z najstarszych, dołączył najpóźniej. Żeby się tam dostać, miał rekomendację świeżo postawionych pomników, w Hercegu Novi (2012), w Tuzli (2013), ale musiał poczekać na trzeci, w Sarajewie (29 września 2023 r.), żeby spory o jego tożsamość stały się politycznie ważne, żeby rozpoczęła się bitwa o Tvrtka.

Dla zwolenników dominującego u nas nacjonalistycznego rozumienia państwa bitwa szczególnie ważna, bo wygrana i ogłoszenie go królem serbskim, bośniackim lub chorwackim oznacza zawłaszczenie średniowiecznego państwa w Bośni, wywieszenie w nim serbskiego, bośniackiego lub chorwackiego sztandaru i obwieszczenie, że było ono i pozostało nasze.

Do pierwszych potyczek doszło już wtedy, kiedy podejmowano decyzję, gdzie stanie sarajewski pomnik. Pierwszymi bojownikami o Tvrtka byli członkowie Komisji Ochrony Pomników Bośni i Hercegowiny.

Architektka Andjelina Ošap Gaćinović, członkini tej komisji jako „przedstawicielka narodu serbskiego”, stanowczo była przeciwna lokalizacji pomnika przed gmachem Prezydium BiH i napisowi „król bośniacki” na postumencie. Jej zdaniem byłoby to zakłamywanie historycznego faktu, że Tvrtko był królem serbskim, co jest „klasycznym zawłaszczeniem dziedzictwa kulturowego narodu, do którego on należy”. Choć z powodu jej sprzeciwu komisja nie wyraziła zgody na budowę pomnika w tym miejscu, to jednak stanął tam jako „rozwiązanie tymczasowe”.

Dla jej kolegi w komisji, „przedstawiciela narodu boszniackiego” architekta Faruka Kapidžića, przybycie „bośniackiego króla Tvrtka

na miejsce przed Prezydium BiH stanowi wielkie i radosne zwycięstwo tysiącletniego bośniackiego państwa”: „Rezultat trwających dwa lata prac wszystkich zaangażowanych w realizację pomnika – napisał na Facebooku – jest widoczny i zachwyca każdego, kto kocha tysiącletnie państwo Bośnię. I wywołuje gniew i gorycz każdego, kto na siłę chce być od niego starszy”.

Bitwa o Tvrtka zaostrzyła się, kiedy włączyli się politycy. Burmistrzini Sarajewa Benjamina Karić, witając króla przybywającego do jej miasta, zwycięskim tonem podkreśliła, że „bośniacki król” dziś jest na właściwym miejscu, przed Prezydium BiH, „tu, gdzie przynależy”. Ostro zareagował na to prezydent Republiki Serbskiej, Milorad Dodik. Uznał pomnik za jeszcze jedną kradzież serbskiej tożsamości, dokonaną tak, jak zwykle postępują złodzieje, pod osłoną nocy. „Wyobraźcie sobie – powiedział w oświadczeniu dla radia Republiki Serbskiej – buduje się to w ukryciu. Czyli kradniecie tożsamość. Nie byliście pewni, jak tego dokonać w ciągu dnia”.

Do walki zaraz dołączył Draško Stanivuković, burmistrz Banja Luki. Na Facebooku zaatakował sarajewską koleżankę. „Przyswajając sobie średniowiecznego serbskiego władcę Tvrtka I Kotromanića, burmistrzini Sarajewa i jej współpracownicy dokonują głębokiej przeróbki historii w celu wypełnienia luk w dziejach swego narodu i zbierają punkty w codziennej polityce, sięgając do samego sedna króla Tvrtka”.

Burmistrz wszczął kontrofen-sywę. Obiecał, że jego miasto „naprawi niesprawiedliwość, którą uczyniło Sarajewo”, i także zbuduje u siebie pomnik, a na postumencie umieści napis o jego prawdziwej, serbskiej przynależności.

W Banja Luce zorganizowano również inne akcje, zmobilizowano innych strażników do ochrony granic wspólnoty serbskiej w Republice Serbskiej. Sarajewski Tvrtko otworzył im oczy: na ich terytorium nie ma nie tylko pomników króla, ale i innych nazw z jego imieniem, oprócz jednej ulicy w Bijelinie i jednej na przedmieściach Banja Luki. Jego imię noszą natomiast ulice w Sarajewie, Mostarze i kilkunastu innych miastach w Federacji, co bojownikom o serbskiego Tvrtka mówi, że byli nieostrożni, że Bośniacy i w ten sposób, poprzez toponimie, zabierają Serbom dawnego króla i „zapełniają nim luki w swojej historii”.

Wygrzebano więc inicjatywę sprzed roku, by Tvrtko i Ban Kulin, także Serb, którego Bośniacy

i Chorwaci zawłaszczają, dostali po jednej ulicy w centrum Banja Luki. Zaproponowano zastąpienie ich imionami nazwy dwóch ulic, Gaja i Lolo Ribara.

Jak wyjaśnił Goran Latinović, profesor nowożytnej historii narodowej, postaci, których imiona noszą te ulice, i tak nie zasługują na to, by pamiętać je w serbskiej Banja Luce. Ljudevit Gaj dlatego, że „chodzi o Chorwata pochodzenia niemieckiego, który przyjmując dialekt sztokawski języka serbskiego jako podstawę chorwackiego standardu językowego, dalekosiężnie przyczynił się do upowszechniania tożsamości chorwackiej wśród Serbów wyznania rzymskokatolickiego”; a Lola Ribar nie ma tu czego szukać, bo był bliskim współpracownikiem Josipa Broza Tity.

Do bitwy o Tvrtka włączył się też Jasmin Imamović, wieloletni burmistrz Tuzli. Jest do tej bitwy znacznie lepiej przygotowany niż większość bojowników, bo latami badał historię Tvrtka i średniowiecznej Bośni oraz napisał o tym powieść. Głównie dzięki niemu Tvrtko dostał pomnik w Tuzli.

Zdaniem Imamovicia żaden z trzech konstytucyjnych narodów w Bośni i Hercegowiny nie ma wyłącznego prawa do Tvrtka; mają je w równym stopniu wszystkie trzy. Na poparcie podaje informacje biograficzne, które pokazują, że Tvrtko był „potomkiem trzech panujących dynastii, bośniackiej, chorwackiej i serbskiej”, dlatego on „ma moralne i formalne prawo twierdzić, że Tvrtko jest i Boszniakiem, i Serbem, i Chorwatem”.

Ktoś mógłby pomyśleć, że Imamović chce zostawić średniowiecznego króla bez „tożsamości narodowej”; byłoby to zgodne z tym, co poważni historycy myślą o władcach i ideach politycznych tego okresu, jak również z orientacją polityczną Imamovicia; jest członkiem Socjaldemokratycznej Partii BiH. Tak się jednak nie stało, ani historia jako nauka, ani socjaldemokracja nie wywarły tak mocnego wpływu na Imamovicia, żeby konsekwentnie Tvrtka zdenacionalizował.

Jeśli chodzi o bośniackich socjaldemokratów i Tvrtka, Dragan Markovina zauważył, że członkostwo w tej partii nie przeszkodziło także burmistrzini Sarajewa, Benjamine Karić, w radosnym odsłonięciu pomnika i wyrażeniu podziwu dla państwa.

W pewnym stopniu ich rozumiem, bo jeśli włączyli się do bitwy, w której główną stawką jest „tożsamość narodowa” Tvrtka, nie mogli powiedzieć, że on czegoś takiego nie ma. To znaczy mogliby, ale szybko zostaliby pokonani. Wiedzą o tym także socjaldemokraci Benjamina Karić i Jasmin Imamović, i dlatego widzą króla jako połączenie i nadbudowę jego trojakiej przynależności

narodowej, widzą w nim, jak mówi Markovina, „króla zjednoczyciela”.

Tak jak wszyscy inni uczestnicy bitwy, i oni uważają, że ten XIV-wieczny król jest dziś bardzo ważny dla ludzi w Bośni, ponieważ pozwala im zrozumieć to, co ponoć ważne, jak starym, pięknym i tragicznym są narodem. Tvrtko – mówi Imamović – jest „ważny z powodu naszej tożsamości”.

Bitwa o Tvrtka to tylko jeden epizod obrachunków narodowo-tożsamościowych rozpoczętych w czasach kryzysu i wojny w Jugosławii, i kontynuowanych do dziś. Dzisiejsi politycy oraz ich ofcjalni i samozwańczy sojusznicy i doradcy żyją z tego, z wielkich czynów i bitewnego stażu w tych

porachunkach. Ich zadaniem jest szerzenie wśród ludzi strachu przed utratą postaci i pomników kultury materialnej i niematerialnej, w których podobno spoczywa „byt narodu”, jego „tożsamość” albo „sedno”.

Jednocześnie starają się dodać narodowi odwagi, mówiąc mu, żeby się nie martwił, ponieważ bojownicy o tożsamość, gnając z jednej bitwy na drugą, nieustrudzenie walczą ze złodziejami naszej tożsamości narodowej.

Bitwa o Tvrtka zapewne nie będzie długo główną wiadomością z bałkańskiego tożsamościowego pola bitwy, przyjdzie kolej na inne. W każdym razie pokoju jeszcze nie widać, tożsamościowi bojownicy mogą się więc nie obawiać, że prędko stracą status najważniejszej i najlepiej opłacanej części naszych społeczeństw. ●

przeł. Magdalena Petryńska

*Ivan Čolović – ur. w 1938 r., znany serbski historyk literatury, etnolog, antropolog kultury, wydawca. Tekst pochodzi z jego nowej książki „Na putu u srpski svet”. Tytuł „Wyborcza”

● Sarajewski pomnik króla Tvrtka I Kotromanića

FOT. VEDAD CERIC / ALAMY
STOCK PHOTO



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ana Blandiana*
Biografia

*Jako dziecko zauważyłam, że liście
Drżą w rytm mojej myśli,
I kiedy się oddalałam, łodygi roślin
Pochylały się, gotowe zerwać się i podążyć za mną.*

*Potem zaczęły sunąć ptaki,
Klucze ptaków nade mną,
Wstrzymując swój śpiew, by posłuchać mojego.
I tylko wtedy, gdy ruszyły też bestie,
By gromadzić się posłusznie na moich śladach,
Przestraszyłam się. Lecz było za późno.*

*Już nie mam prawa się zatrzymać.
Każdy niewypowiedziany wiersz, każde nieznalezione słowo
Stawia w niebezpieczeństwie wszechświat
Zawieszony moimi ustami.
Zwykła cezura wersu
Przerwałaby czar, który rozpuszcza prawa nienawiści,
Przelewając wszystkich, samotnych i dzikich,
Z powrotem do wilgotnej groty instynktów.*

*Ana Blandiana – ur. w 1942 r. poetka i eseistka rumuńska. Zaangażowana w walkę o wolności obywatelskie, w czasach komunizmu znana dysydentka. W 2016 r. laureatka Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności za tom „Moja ojczyzna A4”. Z niego pochodzi wiersz (słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2015, przekład Joanny Kornaś-Warwas).

Tylko Godzilli żal

Radosław Czyż

Lapowiada się na to, że tegoroczna gala wręczenia Oscarów będzie najbardziej przewidywalną od lat. Co prawda niemal co roku bukmacherzy i branżowi eksperci wydają z wyprzedzeniem arbitralne wyroki, a potem Akademia i tak udowadnia, że lubi zaskakiwać, tym razem jednak naprawdę niemal wszystko wydaje się pewne.

Co gorsza, zabraknąć może też wzruszających historii pisanych przez życie, jak choćby zeszłoroczna wygrana Ke Huy Quana za „Wszystko wszędzie naraz”. Oraz innych momentów podczas gali, gdy nieoczekiwanie wygrywało „Wszystko wszędzie naraz”. W tym łamiącym gatunkowe bariery filmie o podróżach między wszechświatami, wielopokoleniowej rodzinie emigrantów i walkach kung-fu w urzędzie skarbowym jest mimo wszystko coś bardziej emocjonującego niż w biografii fizyka. Nawet jeśli jest on ojcem bomby atomowej.

Wszystko rozstrzygnie się w nocy z niedzieli na poniedziałek (10/11 marca). Zapraszamy do śledzenia relacji z wydarzeń w Los Angeles na Wyborcza.pl. A tymczasem powróźmy, co tego wieczoru może się wydarzyć.



Oscary 2024:
kto dostanie
statuetkę,
a kto
powinien?

OBSTAWIA

OSCARY 2024.
NAJLEPSZY REŻYSER

Dostanie: Christopher Nolan („Oppenheimer”) lub Martin Scorsese („Czas krwawego księżycy”)

Powinien dostać: Christopher Nolan („Oppenheimer”)

Christopher Nolan w tej kategorii nominowany był tylko za „Dunkierkę”. Dwukrotnie walczył o Oscara jako scenarzysta („Memento” i „Incepcja”) i w kategorii najlepszy film („Incepcja” i „Dunkierka”). Oscara jednak nigdy nie dostał. Teraz się to zmieni. Oscara za scenariusz adaptowany odda pewnie Cordowi Jeffersonowi za „Amerykańską fikcję” lub Grecie Gerwig i Noah Baumbachowi za „Barbie”, ale statuetka za reżyserię?

Tę Akademia właściwie mogłaby mu już wysłać pocztą.

Czy Nolan na Oscara zasłużył? Poruszający się od zawsze na pograniczu kina popularnego i artystycznego reżyser od lat jest klasą samą dla siebie: niewielu jest w Hollywood filmowców, którzy mogą dyktować warunki wytwórniom i nie obawiać się o kolejne projekty. „Oppenheimer” jest bez wątpienia najdojrzalszym filmem w jego dorobku. Ale czy najlepszym? To już rzecz gustu.

Podobnie można powiedzieć o „Czasie krwawego księżycy” Martina Scorsese. Reżyser ma na koncie wiele wybitnych filmów, Oscara ma jednak tylko jednego (za „Infiltrację”) przy aż 12 nominacjach. W tym roku do tej sumy dodać można jeszcze dwie, ale szansę zmienić się w drugą w karierze statuetkę ma tylko jedna. I to szansę nikłą, bo Oscara za reżyserię Scorsese dostać może tylko, jeśli przeżyłby głosy jego starszych kolegów po fachu. 81-letni reżyser został najstarszym nominowanym w tej kategorii. Akademia nadal ma bardzo wysoką średnią wieku, a że rok temu nagrodzono duet młodych



• Christopher Nolan



• Martin Scorsese

reżyserów, w tym roku stare wygi mogą postanowić głosować na kogoś z własnego grona. Patrząc jednak na dotychczasowy triumfalny pochód twórcy „Oppenheimera”, wiek ustąpi siłę atomu.

OSCARY 2024.
NAJLEPSZA AKTORKA
PIERWSZOPLANOWA

Dostanie: Emma Stone („Biedne istoty”) lub Lily Gladstone („Czas krwawego księżycy”)

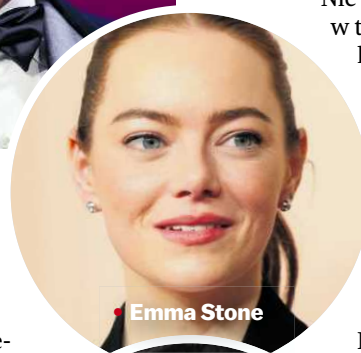
Powinna dostać: Emma Stone lub Sandra Hüller (ale nie za ten film)

Jedyna nierozstrzygnięta w przedbiegach kategoria spośród tych najistotniejszych. O Oscara do ostatnich chwil powalczą równie godne laurów Lily Gladstone („Czas krwawego księżycy”) i Emma Stone („Biedne istoty”). Ta pierwsza jest pierwszą rdzenną Amerykanką nominowaną za rolę pierwszoplanową. Wcześniej o Oscara ubiegały się tylko Chef Dan Georg („Mały wielki człowiek”) i Graham Greene („Tańczący z wilkami”), ale obaj za rolę drugoplanowe.

Wygrana Gladstone byłaby więc wydarzeniem historycznym i kolejnym kamie-

niem milowym w walce z marginalizacją rdzennych Amerykanów w popkulturze, którą sukcesywnie od kilku lat podbijają w filmie i telewizji. Z kolei dla Stone byłby to drugi Oscar (w 2017 r. nagrodzono ją za „La La Land”) i kolejny dowód na to, że jest prawdopodobnie najzdolniejszą aktorką swojego pokolenia.

Ich role są też odbiciem przeciwstawnych wcieleni aktorstwa. Powściągliwa i skromna relacja Gladstone osadza jej bohaterkę w roli serca filmu Scorsese. Choć czasu ekranowego nie ma tyle, co partnerujący jej DiCaprio, a w drugiej połowie filmu jej bohaterka praktycznie nie wstaje z łóżka trawiona chorobą, to i tak nie można o niej odebrać oczu.



• Emma Stone



• Lily Gladstone



• Sandra Hüller

Z kolei rola Stone w filmie Yórgosa Lánthimosy jest niebywale ekspresyjna, techniczna, ewoluująca od szerokich, komicznych gestów po wyważoną, dojrzałą kreację. Wirtuozerski popis zdolności – zwłaszcza, że przez 2 godziny i 20 minut Stone niemal nie znika z ekranu. Bez niej ten film by po prostu nie działał i chyba to jest dla aktorki najlepszym komple-

Nie wolno jednak zapomnieć w tym wyścigu o Sandrze Hüller, która główne role zagrała w obu nagrodzonych Cannes obrazach. Nominację dostała za „Anatomię upadku”, w której wcieliła się w pisarkę oskarżoną o zabicie własnego męża, który wypadł z okna na poddaszu ich alpejskiego domu. Kreacja świetna, ale błędnie przy tej ze „Strefy interesów”, za którą nominacji już nie otrzymała (to by dopiero było!).

Hedwiga Höss, żona komendanta obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, to w interpretacji Hüller postać, której nie ma się sympatii widza, uosobienie pasywnej agresji, zła nigdy niewypowiedzianego wprost, o sercu zastąpionym przez dławiacą jakiegokolwiek przejawy empatii próżnię. A przy tym niezwyklejsza w świecie pani domu, kochająca matka i żona wspierająca karierę męża. Dwie takie role w jednym roku nie powinny przejść uwadze widzów niedocenione.



FOT. RICHARD HARBAUGH / ©AMPAS, UNIVERSAL PICTURES, GUTEK FILM, MATERIAŁY PRASOWE

OSCARY 2024. NAJLEPSZY FILM

Dostanie: „Oppenheimer”
Powinno dostać: „Strefa interesów”
Powinna być nominowana i przegrać o włos: „Godzilla Minus One”

Oscara jak zwykle walczy tu dziesięć filmów. Wygra „Oppenheimer” i jest to niemal stuprocentowo pewne, bo najlepszym filmem okazywał się już na galach Złotych Globów, nagród BAFTA oraz Critics’ Choice. Owszem, Akademia lubi czasem zaskakiwać i najważniejszą statuetkę wręczyć nie faworytowi, a jakiemuś czarnemu koniowi, jak ostatnimi laty było w przypadku filmów „Moonlight” (słusznie wygrał z „La La Land” i „Manchester by the Sea”), „Green Book” (okradł „Faworytę” i „Romeo”) czy „CODA” (stąpił „Psie pazury”).

Film Christophera Nolana wygraną ma jednak w kieszeni z jednego powodu. To był zbyt dobry rok dla kina. Świat oszalał na punkcie „Barbie”, nie krył podziwu i bojaźni przed skalą oraz przesłaniem „Czasu krwawego księżyca”, zakochał się w uniwersalnym czarze „Poprzedniego życia” i „Przesilenia zimowego”, padł na kolana (z podziwu lub zwyczajnie przytłoczony) „Biednymi istotami”.

Teraz w kinach oglądać można (i powinno się!) nagrodzone w Cannes „Anatomię upadku” (Złota Palma) i „Strefę interesów” (Grand Prix). Gdybym Oscary wręczał osobiście, przyznałbym go filmowi Jonathana Glazera już za samą jego przerażającą skuteczność wyrazu. Steven Spielberg mówi, że od czasu jego „Listy Schindlera” nie było równie wymownego filmu o Holokauście. Prawdę mówiąc, nie było go nigdy dotąd.

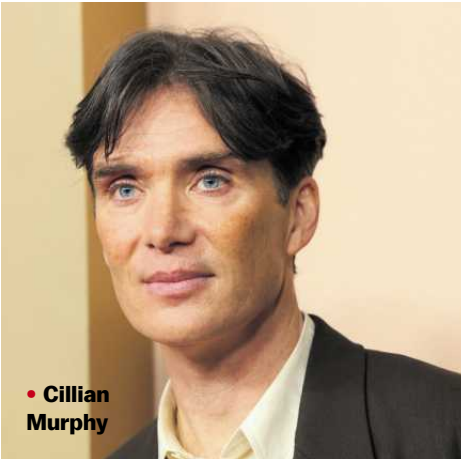
Patrząc jednak na sprawę obiektywnie, każdy z wymienionych wyżej filmów ma w oscarowym starciu równe szanse, każdy też znajdzie wśród członków Akademii swoich fanów. I ich głosy zwyczajnie zaczną się nawzajem znosić, a z ich bitewnego kurzu wyłoni się jeden faworyt — niesiony falą dotychczasowych zwycięstw „Oppenheimer”. I trudno się dziwić. Akademia uwielbia biografie, a tu mamy nie byle jaką!

Historia ojca bomby atomowej opowiedziana jest wciągająco jak w thrillerze. Na korzyść filmu świadczą też dwie wybitne aktorskie kreacje (o tym zaraz), świetny drugi plan, rewelacyjne zdjęcia Hoytego van Hoytemy i muzyka Ludwiga Göranssona. Nic, tylko nagradzać.

Wielka szkoda, że nominację dostał absolutnie przeciętny „Maestro” Bradleya Coopera. Szkoda głównie dlatego, że zabrał zasłużone miejsce „Godzilla Minus One” Takashiego Yamazakiego — filmowi, który jak żaden inny w ostatnich miesiącach pokazał, na czym polega tzw. magia kina. W trwającym dwie godziny obrazie udało się nie tylko pokazać dotykający cywilów i weteranów koszmar wojny i jej społeczne konsekwencje, ale bo „Godzilla Minus One” to też rozdzierający serce melodramat i wciskające w fotel widowisko. A to wszystko za śmiesznie niski budżet ok. 10 mln. dol. Wielkie kino — dosłownie.



• Robert Downey Jr. • Ryan Gosling



• Cillian Murphy



• Paul Giamatti

OSCARY 2024. NAJLEPSZY AKTOR PIERWSZOPLANOWY

Dostanie: Cillian Murphy („Oppenheimer”)
Powinno dostać: Cillian Murphy („Oppenheimer”)

Tu sprawa jest prosta. Cillian Murphy udziela Robertowi Oppenheimerowi nieco swej neurotycznej osobowości, ale kreuje też ojca bomby atomowej na przytłoczonego ciężarem odpowiedzialności superbohatera. Nolan i Murphy nie bez powodu mocno koncentrowali się na garderobie bohatera: kapeluszu i fajce jako jego atrybutach, już z oddali budujących charakterystyczną sylwetkę. Zazwyczaj z dłońmi na biodrach, miną posępną i wiecznie zamyśloną — Oppenheimer jest u Nolana człowiekiem większym niż życie, kimś, kogo należy podziwiać, ale i zazdrościć mu determinacji i intelektu, a przez to z zawiści rzucać kłody pod nogi, jak czyni to Lewis Strauss grany przez Roberta Downeya Jr.

Murphy’emu zagrozić może tylko Paul Giamatti nominowany za „Przesilenie zimowe”. W roli równie zręczliwego co złośliwego nauczyciela, znienawidzonego za

równo przez uczniów, jak i pedagogów, jest naprawdę znakomity. To jego druga nominacja do Oscara — na pierwszą wygraną szansę miał w 2006 r. za drugoplanową rolę w „Człowieku ringu”. Giamatti to zresztą przede wszystkim bohater drugiego planu — los znany większości tzw. aktorów charakterystycznych. Może pora docenić któregoś z nich?

OSCARY 2024. NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Dostanie: Da’Vine Joy Randolph („Przesilenie zimowe”)
Powinno dostać: Da’Vine Joy Randolph („Przesilenie zimowe”)

Tu też nie ma żadnych wątpliwości. Da’Vine Joy Randolph może już robić na regale miejsce dla Oscara. 37-letnia Amerykanka w „Przesileniu zimowym” idealnie uzupełnia Giamattiego, użyczając bohaterce



• Da’Vine Joy Randolph

— szkolnej kucharce, której syn niedawno zginął na froncie w Wietnamie — swojego wdzięku i charyzmy.

Owszem, pewnie część członków Akademii chciałaby wręczyć Oscara Jodie Foster, dla której to pierwsza nominacja od 1994 roku (za „Nell”), ale ona na koncie ma już dwa Oscary („Milczenie owiec” i „Oskarżeni”), więc koleżeństwo nie powinno przeważać nad chęcią wyróżnienia kogoś, dla kogo sama nominacja jest wielkim przełomem w karierze.

OSCARY 2024. NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Dostanie: Robert Downey Jr. („Oppenheimer”)
Powinno dostać: Robert Downey Jr. („Oppenheimer”) lub Ryan Gosling („Barbie”)

Choć Robert Downey Jr. jest jednym z najważniejszych ludzi w Hollywood, dotąd doczekał się jedynie dwóch nominacji. Pierwszego Oscara, za tytułową rolę w „Charliem”, przegrał w 1993 r. z Alem Pacino (nagrodzonym za „Zapach kobiety”). Downey Jr. był wówczas młodym i świetnie zapowiadającym się aktorem.

Pech, że kilka lat później przez uzależnienie od narkotyków stoczył się na dno.

Na nogi stawał dopiero w kolejnej dekadzie i choć występował w kasowych produkcjach, jak „Zodiak” Davida Finchera czy komedia „Jaja w tropikach”, która przyniosła mu drugą nominację, to Hollywood wciąż miało opory, by przyjąć go — czym dobry ojciec syna marnotrawnego. Ale dzięki dekadzie bicia rekordów w kasach kinowych

dzięki komiksowym filmom Marvela został królem Hollywood i zarówno jako aktor, jak i producent, i nie potrzebuje niczego uznania. Dlatego właśnie teraz je dostaje.

Za rolę Lewisa Straussa w „Oppenheimerze” dostał już Złoty Glob, BAFTA, nagrodę Critics’ Choice i statuetkę Gildii Aktorów Filmowych. Oscar już czeka, by do nich dołączyć, a przemowa aż do przesady charyzmatycznego Downeya Jr. może być jednym z najbarwniejszych momentów gali.

Czy ktoś może pokrzyżować mu plany? Trzymam kciuki za Ryana Goslinga, bo jako Ken w „Barbie” dał absolutny popis komediowego wyczucia. Ale na Oscara to chyba wciąż nie jest Kenough. ●



9 marca, 1652 roku. Sobota. W Warszawie obraduje sejm, zwołany jeszcze w 1651 roku, na początku listopada. Posłowie radzą nad ugodą podpisaną niedawno z Kozakami w Białej Cerkwi (po bitwie pod Beresteczkiem) oraz nad uchwaleniem nowych podatków.

Obrady się przeciągały, konkluzji jeszcze nie było, dlatego kanclerz wielki koronny Andrzej Leszczyński zawniioskował o prolongatę, czyli przedłużenie obrad o kolejny dzień.

Wtedy to Władysław Wiktoryn Siciński, poseł z Upyty na Litwie, powołując się na zasadę liberum veto, sprzeciwił się przedłużeniu sejm. Zrobił to zresztą w zgodzie z prawem, bo w szlacheckiej Rzeczypospolitej panowała zasada jednomyślności, której liberum veto (czyli wolne nie pozwalam) było fundamentalną regułą. Wniosek Leszczyńskiego przedłużałby sejm ponad przyjęte w sejmowej konstytucji 6 tygodni, która stanowiła też, że prolongata obrad jest sprzeczna z prawem.

Marszałek sejm. Andrzej Maksymilian Fredro wcale z początku owego protestu nie zauważył. Dopiero inni posłowie zwrócili uwagę na nieobecność Sicińskiego i zażądali przerwania obrad.

Ostatecznie obrady zostały przedłużone do 11 marca (10 marca wypadła niedziela), ale Siciński w poniedziałek się nie pojawił. Nie mógł więc swego protestu odwołać, wobec czego sejm rozwiązano.

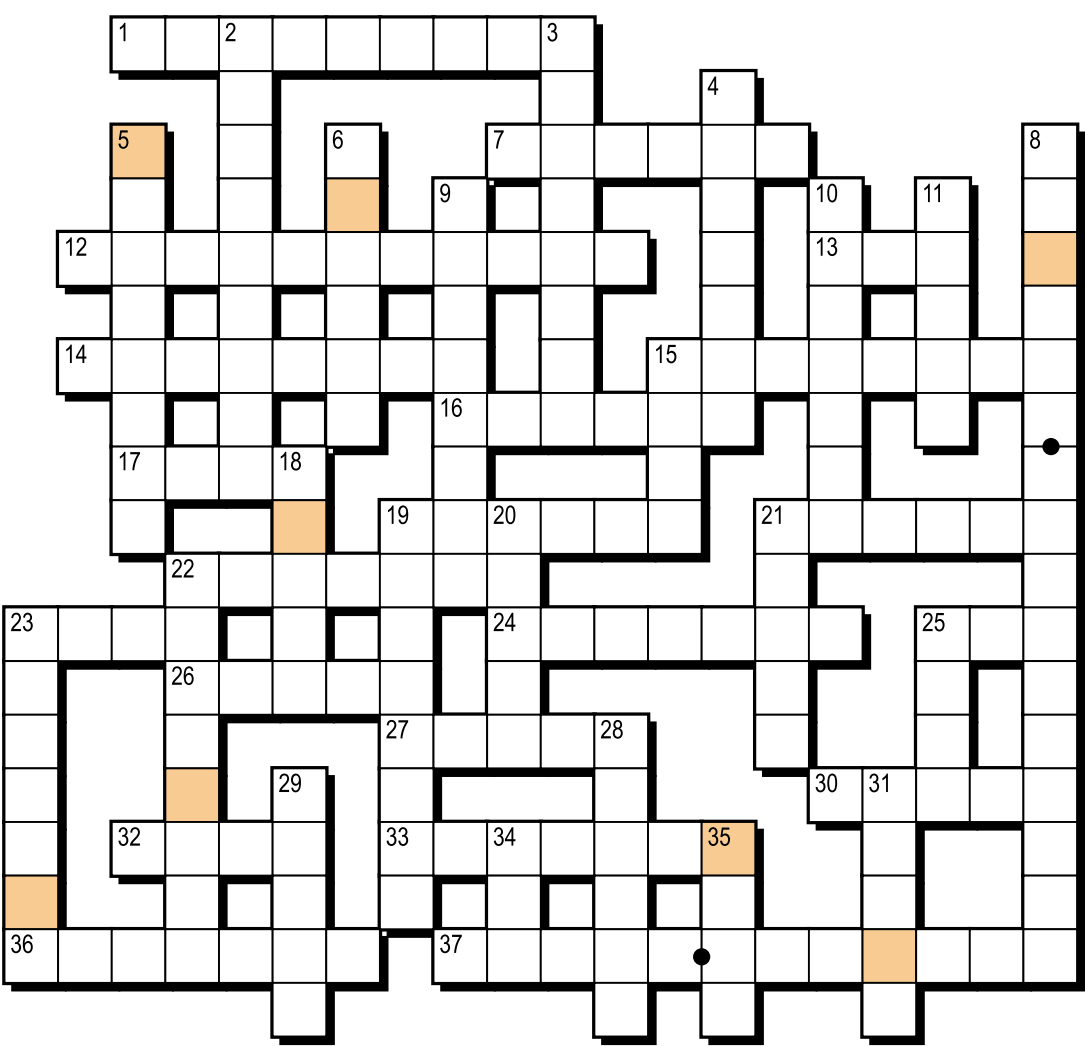
Siciński przeszedł do historii jako człowiek, który jako pierwszy w historii zerwał sejm. Nie do końca to prawda, bo według litery prawa nie zgodził się jedynie na przedłużenie jego obrad. Ty, który jako pierwszy zerwał trwający sejm był Jan Aleksander Olizar, który w 1669 roku zerwał sejm koronacyjny po elekcji Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

Ów Siciński jednak szlachetnych pobudek wcale nie miał. Najpewniej działał na polecenie Janusza Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wielkiego przeciwnika króla Jana Kazimierza. Zresztą trzy lata później był jednym z tysięcy litewskich szlachciców, którzy podpisali się pod Układem w Kiejdanach, na mocy którego Radziwiłłowie (Janusz oraz jego brat Bogusław, których tak dobrze znamy z „Potopu”) oddali Szwedom Wielkie Księstwo Litewskie.

Krążyły plotki, że Sicińskiego za jego haniebny czyn pokarany niebios a i zginął od uderzenia pioruna. Albo że ziemia nie chciała go przyjąć po śmierci. Ponoć jego pochówek, pod progiem kościoła w Upicie, miał zorganizować rosyjski generał Michaił Murawjow, który zasłynął brutalnym tłumieniem powstania styczniowego, czym „zasłużył” na przydomek „Wiesziatiel”, od publicznych egzekucji, które organizował.

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy zatem postaciom historycznym, okrytym ponurą, złą sławą. Bywało, że nie zawsze słuszną, ale cóż – tak to już z łatkami bywa...

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



- Rozwiązanie „Weekendówki” nr 92 z 2.03:**
- Poziomo:**
2) barok 8) Rommel
10) Napoleon 12) Bolesław Krzywousty 13) Sinozęby
15) Ryberiko 16) Dama
17) aktorka 22) Ryszard 23) Kulawy 24) Płwacz
25) Edward 28) syn
31) Swen 32) Bicz Boży
33) Rob Roy 34) Erykowie
35) Magnus 36) Diana.
- Pionowo:**
1) Słoneczko 2) Jan
3) Robert 4) królowe
5) Henryk 6) Palownik
7) Bogaty 9) Mieszko
11) Otyły 14) Bazyli
15) Ragnar 17) Anund
18) Twardy 19) Rzym
20) Trzepaczka 21) Fryderyk
26) Antonina 27) Łysy
28) Stopa 29) Neron
30) Mehmed 32) Baron.
- HASŁO:
PANIE KOCHANKU

ZBÓJOWANIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** nieuczciwy – to np. szef Amber Gold albo każdy z zarządców spółki Art-B
7) śmiertelnie zaskoczył Cezara
12) by zdobyć nieśmiertelną sławę, spalił świątynię Artemidy
13) ... Harvey Oswald, strzelał w Dallas do Kennedy’ego
14) Vidkun, symbol kolaboracji
15) Diego kojarzony z „ręką Boga”
16) doprowadził do Wielkiego Głodu w ZSRR

- 17)** pierwszy bratobójca
19) ... Madoff, kojarzony z gigantycznym oszustwem finansowym
21) Katarzyna Wielka
22) prezydenta Nixona – przekreślona afera Watergate
23) żona króla Zygmunta Starego znenawidzona przez szlachtę
24) dowodzony przez kapitana Edwarda Smitha, poszedł na dno
25) ... Tse-tung
26) ... Armstrong, swe kolarskie sukcesy przekreślił dopingiem
27) zejść na złą ... (wpisujemy w mianowniku)
30) Bonnie Parker i ... Barrow, amerykańscy przestępcy z lat 30.
32) przydomek Mussoliniego

- 33)** podstawa diety zaleconej ludowi przez Marię Antoninę
36) Janusz Radziwiłł lub Judasz
37) popowy duet sprzed lat, bohaterowie głośnego skandalu ze śpiewaniem z playbacku

Pionowo:

- 2)** Samuel, hetman kozacki ścięty na Wawelu
3) ojczyzna postaci z określenia 14 poziomo
4) przydomek podrywacza oszusta, o którym nakręcono serial telewizyjny
5) Seweryn, jeden z przywódców konfederacji targowickiej
6) Philippe, marszałek Francji, stanął na czele

- kolaboracyjnego rządu Vichy
8) sprowadził Krzyżaków do Polski
9) Al Capone
10) ojczyzna dyktatora Hołdy
11) dokonał rzezi niewiniątek
15) ... Tyson, bokser, wielokrotnie na bakier z prawem
18) cesarz, który podpalił Rzym
19) ... Arnold, Amerykanin kojarzony ze zdradą i fortem West Point
20) ... Mładić, wojskowy nazywany „rzeźnikiem Bałkanów”
21) ojczyzna dyktatora Pinocheta
22) cesarz Rzymu, który swego konia mianował senatorem

- 23)** Ben Johnson, Kanadyjczyk, bohater afer dopingowych
25) Krwawa ..., czyli Maria I Tudor słynąca z bezwzględności
28) okrutny wódz Hunów
29) Beatrice, włoska szlachcianka z XVI w., ojcobójczyni
31) Carl, amerykański lekkoatleta, któremu ponoć upiekło się z dopingiem z powodów proceduralnych
34) ... Ağca, dokonał nieudanego zamachu na Jana Pawła II
35) Thomas ... Edison, wynalazca, któremu zarzucano kradzieże patentów, nieuczciwą konkurencję

Leszek Rydz

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ